

Moskwa nie wierzy łzom... **czyli nie samymi przyjemnościami człowiek żyje**

[16.10.2015]

Pierwszego dnia pobytu w stolicy światowego proletariatu poznałem mego współlokatora. Jeszcze zanim przyszedł wiedziałem, że bardzo źle nie będzie, bo jak ktoś ma w lodówce dwie butelki wina i cztery piwa, to są realne szanse, że się dogadamy, w najgorszym razie przy użyciu tych artefaktów. Okazało się to trochę mylące – już nigdy potem aż takiego zapasu nie miał, a co do wina to mej miłości nie podzielał. Jednak gdy pojawił się po godzinie 20, wówczas udało nam się wykrzesać dobrze ponad godzinę na rozmowę, w miarę przyjemnie spędzić czas i ustalić reguły wspólnego użytkowania mieszkania, które to stało się naszym losem. Ledwo tam wszedłem, wiedziałem, że chłop jest dość pedantyczny, bo wszystko miał tak pięknie poukładane, że aż grzech było brać szklanki z szafki. Musiałem się tylko pogodzić z tym, że wziął sobie większy pokój i ma lepszy dywan na ścianie, o balkonie nie wspominając.

Pracodawca nie chciał mnie zająć, a przynajmniej nie od razu. Wszystko zaplanowano tak, że подарowano mi dzień na odpoczynek. Pomyśl ten bardziej ukierunkowany jest na ludzi zza Wielkiej Wody, mnie trudno było mieć ciężki zjazd przy godzinnej różnicy czasu. Potem dowiedziałem się, że w mojej grupie był pacjent, który przybył z Meksyku, jego podróż zajęła około 40 godzin i wymagała bodajże pięciu przesiadek, w tym jednej bonusowej, bo coś się u Niemców porąbało i dostał gratisowy lot Monachium-Berlin. To było dopiero parę dni później. Facet nie istniał, miał przeźroczysty wzrok i poruszał się siłą przyzwyczajenia.

1 września cieszyłem się z nowych, chociaż nieco już znanych mi okoliczności przyrody. Pojechałem na plac o wiadomym kolorze. Przy wejściu była dość solidna kontrola bezpieczeństwa (mieli już skonfiskowane parę piw i pół małej butelki wódki), a na samym placu trybuny rodem z festynu z okolic Duszanbe w latach 60. Wiele się nie działo, kilka dni później dowiedziałem się, że na urodziny Moskwy przyjechało wiele znanych osób.

– Kto, na litość boską?

– Steven Seagal!

W kraju Cwietajewej dla młodej, wykształconej Rosjanki Steven Seagal jest gwiazdą. To już nawet nie to, że w królestwie ślepych jednooki zostaje królem.

Od środy do piątku miałem orientację. Nie miałem nic przeciwko, nie jest źle mieć orientację bardziej rozbudowaną niż „tu są książki, a tam klasy, życzymy powodzenia!”, nawet jeżeli niektóre rzeczy słyszy się po raz któryś. Przez trzy dni od 10 lub 11 do 17 lub 18 siedziałem sobie w salce z grupą mnie podobnych i chłoniliśmy wiedzę na rozliczne tematy – realiów życia (to mnie mniej zadziwiało, ale dla wielu osób cyrylica jest szyfrem na miarę arabskiego dla mnie), jak uczyć tego, a jak tamtego.

Początkowo nie wydawało mi się przesadnie możliwe zadzierzgnięcie wielkich więzów przyjaźni. Od pierwszego dnia wiedzieliśmy, że każde z nas zostanie odprawione w inną część miasta, będziemy uczyli różne poziomy, więc w sumie po co się bawić w rozmowy? Jednak odpowiednia ilość wspólnie wykonanych ćwiczeń, pokreślonych papierków i wymiany zdań sprawiła, że po trzech dniach poszliśmy na piwo. Wydawało mi się, że skończyły się szkolenia, zaczęła się robota.

Częściowo miałem rację. Zaczęła się robota. Nie skończyły się szkolenia... A na piwie byliśmy tak zmęczeni, że ja poszedłem po dwóch, wiele osób po pierwszym. Tak przy okazji, w centrum Moskwy da się kupić piwo w ludzkiej cenie (120 rubli). Tej inwestycji w surowiec płynny można dokonać w barze Kamczatka na ulicy Kuznieckij Most.

Przez następne czternaście dni (w tym dziesięć roboczych) musiałem sadzać swój zad w centralnym biurze o godzinie 10. Potem następowało wspólne planowanie lekcji. O 12:45 opuszczałem to gościnne miejsce, by już o 15 rozpocząć uczenie w wersji aktywnej. Kończyłem je w okolicach 21:15. Z dojazdami wyglądało to tak: wyjście z domu o 9:10, powrót w okolicach 22. Szkoły docelowe

osiągałem około 13:30, miałem więc ponad godzinę na przygotowanie lekcji dla trzech grup. Często udawało mi się wiele zrobić w trakcie wspólnych sesji planowania, jednak nigdy nie wszystko. Piątki były trochę lżejsze, ale też nie do etapu całkowitego wrzucenia na luz. Relaksacyjne w porównaniu do reszty, bo udawało mi się powracać do domu przed 21, ale i tak po 20, no ale nie miałem aż tylu lekcji. Po kilku dniach takiego trybu życia byłem na krawędzi pierdolnięcia tym wszystkim z łoskotem i ucieczki z kontraktu. Powstrzymało mnie kilka rzeczy, głównie oczekiwanie na Neubauten i irracjonalne poczucie, że nie mogę i że nie wypada mi tego zrobić wobec – lista osób, z którymi wspólnie niosłem ten krzyż. Jeżeli zdarzało mi się cudownie mieć 20 minut wolnego, to po prostu się gubiłem, nie wiedziałem, co z tym darem robić. Po kilku dniach nauczyłem się wykorzystywać każdą sytuację. Dom – jedzenie, prysznic, sen. Droga do pracy – w metrze jest wi-fi, więc maile i Facebook, może gazetka, jeżeli aż tak dobrze idzie. Szkoła – FB zablokowane, więc maile, WhatsApp i gazetka.

Co zaś do lekcji... O ile na poranne szkolenia miałem, z czego wykrzesać energię, o tyle w godzinach wieczornych zdarzało mi się niemal gubić, w jakim języku mówię. W ciągu tych dwóch tygodni survivalu dwa razy się prawie wywróciłem, a raz się niemal porzygałem ze zmęczenia. Tylko z wrodzonej dyskrecji udało mi się wtopić w ściany, dostać torsji gdzieś za zasłonami, a potem wrócić z uśmiechem do grupy. Gdy sobie robiłem pranie, to mój współlokator wieszał je za mnie, bo inaczej leżałoby w pralce przez kilkanaście godzin. Gdybym mieszkał sam, to musiałbym chodzić w mokrych gaciach – ramy czasowe nie pozwalały na ich rozwieszenie na czas potrzebny do wyschnięcia.

Gdy szkolenie się skończyło, odkryłem, że ten tryb działania nauczył mnie tego, że 135-minutową lekcję przygotowuję w 20 minut. Może nie jest to jakiś hit, ale do przeżycia wystarczy, a jeżeli trafi się lepszy temat, to bywają przebłyski. W pewnym momencie zaczęło mnie to wkurwiać: ja wiem, że da się lepiej, ale mam 30 godzin lekcyjnych tygodniowo, do tego ponad trzy godziny szkoleń dziennie, kiedy ja to mam zrobić? Już nawet nie mówię, że gdyby tak mieć z godzinę dla siebie... W czterdzieści minut lepiej solidną lekcję, w dwie godziny dobrą, ale wy mi nie dajecie tego czasu! Patrząc na to z perspektywy miesiąca i trochę rozumiem ten model postępowania. Pozbądź się kozy...

Gdy się skończyło, gdy się już wypałem... W sumie poczułem pewną wdzięczność za to wszystko. Taki syndrom sztokholmski. Albo wdzięczność do rabina, który wyrzucił wspomnianą kozę z chaty. Szkolenia były dość dobre, chociaż niektóre rzeczy powtarzały się wymienną ilość razy. Do tego zredukowano mi lekcje, więc w ciągu kilku dni odpadły mi zarówno szkolenia, jak i lekcje. Przy ponad 26 godzinach tygodniowo poczułem niesamowity luz i wrażenie oceanów wolnego czasu. Nigdy jeszcze nie miałem takiej ilości lekcji tygodniowo, ale i tak czułem się niemal jak na wakacjach. Nie wstaję na budzik? Mam czas na jedzenie? Uprać i uprasować? Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Pierwszy miesiąc w nowym miejscu jest zawsze czasem wielkiej radości, stwierdzono to naukowo, nazywa się to fazą miesiąca miodowego – wszystko jest ciekawe, kolekcjonuje się głównie pozytywne doświadczenia, przymyka oko na problemy. Trwa ona do jakichś trzech miesięcy, potem przechodzi się do fazy nienawiści i wściekizny. Po kolejnych paru tygodniach/miesiącach, osiąga się constans. Jest to taki nonsens, najpierw „aaa, kocham!!!”, potem „aaa, kurwa, nienawidzę!!!”, by stanąć na „aaa, może być, da się żyć”. Jak dziwnie by to nie brzmiało, suma doświadczeń mówi, że tak jest. Z początkowych tygodni pobytu w Moskwie na pewno zapamiętam głównie ten morderczy grafik pracy, ale na drugim miejscu będzie ludzka życzliwość. Ilekroć potrzebowałem pomocy, to znajdowała się ona niemal od razu, właściwie każdy z poznanych przełożonych podawał nam maila, a potem odpisywał na nasze zapytania, pewnie często dość trywialne z ich punktu widzenia. Nie wydaje mi się, żeby ktoś tu zostawał przełożonym poprzez zasiedzenie, tylko raczej dlatego, że coś sobą reprezentował. W szoku byłem, gdy po jednym mailu do mej bezpośredniej przełożonej otrzymałem niemal od razu odpowiedź, a z niej urodziło się spotkanie. Ona akurat nie miała żadnego interesu, żeby mnie oglądać, a mnie na widzeniu się z nią dość zależało, bo nie wiedziałem, jak sobie zrobić jedno i drugie. Nie był to przypadek jednostkowy, w naszych rozmowach ciągle przewijało się, że „ty, a ten się wydawał taki i owaki, a wczoraj mi pokazał palcem, gdzie znajdę to i tamto”, „taka antypatyczna

na pierwszym spotkaniu, a na drugim prawie wszystko za mnie zrobiła”. Takie podejście na pewno nie będzie trwało przez cały semestr, jeżeli za miesiąc pójdzie się prosić o pomoc w znalezieniu książki, to pewnie zabiją śmiechem, a może i samą książką. Poziom trudności, podobnie jak i oczekiwania samodzielności, będzie się podnosił, podobnie i wymagania jakościowe. Jednak nie sądzę, że ludzie staną się nagle dziko chamscy, przebiegli i podli. Nie bardzo wyobrażam sobie, żeby ktoś nagle zaczął wrzeszczeć i ciskać w innych przedmiotami. Do podobnych scen – współpracy, niemiotania przedmiotami – dochodziło na płaszczyźnie najniższej, czyli nowych nauczycieli. Nierzadko uczymy tych samych kursów, niektórym zaczęły się wcześniej, innym później, więc dochodzi do współpracy. Podczas spotkań bywa: „a tam w trzeciej lekcji to sobie wywal to ćwiczenie, ja ci podeślę o wiele lepsze”. Spotkania mają miejsce w czasie wolnym od pracy, w weekendy oferta potrafi stać się tak bogata, że trzeba dokonywać wyborów – jedni idą do parku, drudzy do restauracji hinduskiej, inni na piwo, jeszcze ktoś tam chce na spacer po centrum.

Początki nowej drogi życia zapisują się więc hasłami: obłożenie pracą, współpraca, empatia, pokaźna ilość opcji spędzania czasu wolnego. Mając w pamięci wszystkie etapy szoku kulturowego, pozostaje czekać kiedy i co zaczną wściekać.

Wspólnota narodów

[16.11.2015]

Minął drugi miesiąc mego mieszkania w stolicy niehumanitarnej ziemi. Póki co daleki jestem od używania tego terminu. Rosja i Moskwa pozostają mi raczej przyjazne.

Jeżeli chodzi o rozwój zawodowy, dostałem kursy dla VYL, czyli Very Young Learners. Wielu nauczycieli widząc skrót VYL mówi: „o, bogowie, chyba właśnie zachorowałem i nie mogę mieć tej grupy”. Mnie też to kusiło, zwłaszcza, że dostałem to tak:

- Rodzice się skarżą, że grupa nie jest prowadzona przez native’a. Dlatego damy ją tobie.
- To ja jestem native’em?
- Powiesz im, że jesteś, nie zorientują się.

Po 30 sekundach od wymyślenia tego, że miałbym komuś kłamać na temat mego kraju produkcji, wycofano się z pomysłu. Po kolejnych trzydziestu zaczęto mnie przepraszać, że w ogóle taki pomysł się pojawił. Podobnie jak to, że chciano powiedzieć, że za native’a to się płaci więcej, a za takie smutne pieniądze to można dostać Polaka. Nie sądzę, że jeszcze kiedyś tam komuś przyjdzie do głowy powtarzanie takich koncepcji.

Mówili, żeby pisać z problemami do wierzuszki, która ma tyle oblicz, ile ananas oczu. Napisałem do osoby, o której wiedziałem, że zjadła zęby na uczeniu dzieci i może mi pomóc. Zaprosiła na spotkanie. Wyżaliłem się, że dostaję grupę po Rosjance, że tam ludzie mają po pięć lat i że rodzice trują dupę, że nie native. Po co więc ja mam tam iść? Będzie burdel, rodzice się wściekną, mnie nie będzie miło, im podobnie, zrobi się cyrk z trampoliną i słoniami. Użyłem nieco innych słów, ale ewidentnie promieniałem szczęściem. Pogadaliśmy, co tam wypada robić, a czego nie, dostałem od groma wsparcia i tonę pomysłów na to, jak prowadzić ten poziom, żeby nie było zastrzeżeń.

Poszedłem, zrobiłem. Wyszło lepiej, niż myślałem. Byłem pewien, że zapytają o narodowość, ja powiem prawdę, a potem rozpęta się piekło. Oficjalnie nasza szkoła głosi, że nie ma lepszych i gorszych narodowości, że klient zapisuje się na kurs i my dajemy zawodnika, który kurs podaje. Co klient sobie pomyśli, to jego. A nasze, czy zdecyduje się dalejłożyć na nasze wynagrodzenia. Byłem więc niemal pewien, że stadko klientów uzna, że wódka Bieługa jest ciekawszym sposobem wydawania pieniędzy niż lekcje angielskiego.

No i się myliłem. Pierwszą lekcję miałem we wtorek. Coś mi mówiło, że nie będę musiał wracać w czwartek. Musiałem. Poszedłem, w głowie miałem: jak nie wtedy, to teraz będzie dym. Czułem się, jakbym żonglował granatem i odbijał go od przyrodzenia, a najważniejszym pytaniem było, kiedy eksploduje i czy w twarz, czy gdzie indziej.

Po lekcji okazało się, że rodzice przynieśli bombonierkę. Poważnie. Całą, wielką, bombonierkę, wartą straszne pieniądze. Przed kryzysem byłaby warta więcej niż ja, obecnie przelicznik podfrunął zaledwie w okolice wartości moich organów wewnętrznych. Dali tę bombonierkę mnie i Swietłanie. Ponad tydzień jadłem wyrazy uznania. Obecnie chodzę tam bez większego cierpienia, rodzice też się cieszą, uczniowie chyba również nie planują popełnić zbiorowego samobójstwa.

W innym odcinku okazało się, że w jednej grupie mam uczniów z trzech poziomów, wrzuconych jak ruskie ziemniaki w kocioł. Poważnie. Śmiech na sali. Lekcje szły, delikatnie mówiąc, opornie. W końcu wysłałem dwójkę do lepszej grupy, chociaż bałem się, że ich cofną. Szczęśliwie, zostali tam wchłonięci. Po pierwszym teście okazało się, że wyniki nie zabijają, chociaż w sumie to właśnie się okazało, że zabijają, i to z hukiem. Zrobiło się sympatycznie. Było parę rzeczy, które musiałem wziąć na klatę, np. to, że złamałem parę procedur na początku kursu i nie zrobiłem testu wejściowego. No a testu nie zrobiłem, bo mi powiedziano, że oni byli już testowani. Nawet nie tłumaczyłem, że gdy się zaczyna nową pracę, to naprawdę można się pomylić i nie rozumie się, że testujemy dwukrotnie. Posypałem głowę popiołem. Trzy dni później sytuację ogarnięto, a mnie rozgrzeszono.

Wielkie zwycięstwo zanotowałem na froncie walki z ludźmi urodzonymi za ZSRR. Tendencja jest taka, że zamykają się grupy dla dorosłych. Tak się składa, że dorośli najpierw rezygnują z własnej edukacji, a dopiero potem z wysyłania swoich dzieci na kurs do nas. Po drodze mogą jeszcze zastanowić się, czy wolą częściej jeść banany z Ekwadoru, czy jednak kształcić swoją pociechę. Odziedziczyłem grupę dorosłych do wykończenia, były tam tylko cztery osoby, jedna sobie poszła po miesiącu (chwała niebiosom, bo była krańcowo upierdliwa), ale przyszła inna. Myślałem, że napiszemy sobie końcowy test i się pożegnamy. Mieli opcję przejścia do grupy równoległej, ale jest tam już osiem osób, niemniej mają rodowitego Brytyjczyka. Na dwa tygodnie przed wiekopomnym dniem ostatecznego egzaminu wszyscy dorośli zgodnie zażyczyli sobie, że chcą być dalej uczeni i to przeze mnie. Dzieci to jedno, ale jeżeli w tych czasach ktoś tak głośno głosi własnym portfelem, to można poczuć się lepiej.

Podobnie poczułem się po ocenach na koniec drugiego miesiąca pracy, jakby „śródsemestru”. 100% pozytywnych. Najmłodsza osoba oceniająca miała lat 12, najstarsza 56. To są takie momenty, kiedy siada się z administracją, patrzy na siebie i bez słów sobie dziękuje, że to wszystko prowadzi do tego. Wisienką na tym torcie była rozmowa, którą zasłyszałem w sekretariacie dwa dni później. Gdy przychodzą do nas ludzie, to jeżeli to możliwe, stara się ich kierować do grup, o których krążą dobre opinie. Po prawdzie o większości chodzą dobre, ale o niektórych lepsze i z nich ludzie raczej nie odchodzą. Może więc dochodzić do sytuacji, że w grupie wtorkowej jest sześć osób, w poniedziałkowej osiem, ale nowa osoba pójdzie do poniedziałkowej. Bo plany zajęć mają tendencje do zmian, ale jeżeli ktoś już zacznie chodzić, to nawet jak spadnie z grupy przyjemniejszej do takiej mniej radosnej, to pewnie zostanie. Przez tygodnie słyszałem wymieniane personalia różnych osób jako te grupy, które bardzo są polecane. W ostatnim tygodniu października usłyszałem własne. W wersji polskiej. Prawie mi się kartki rozsypały.

To wszystko okupione jest dość dziwnym trybem życia, spędzaniem na zakładzie dość pokaźnej ilości czasu. Poczyniłem pewne postępy, przygotowywanie lekcji idzie mi szybciej, prowadzenie pewniej, ale jeszcze trochę minie zanim będę na całkowitym spokoju wyrabiać jedynie kontraktową liczbę godzin pracy, a do roboty przychodził na pięć minut przed rozpoczęciem zajęć.

Przed uczniami udaję, że nie rozumiem rosyjskiego. Zrobiłem wyjątek dla jednego kursu. Nastolatki, 12-15 lat. Tyle osobowości, tyle ciekawych rzeczy mówionych w trakcie lekcji! Niestety, często po rusku, ale bywa, że mówią takie rzeczy, że im od razu nie zabraniam, bo sam jestem ciekaw, co z tego będzie. Robiliśmy dość złożone ćwiczenie, w jego ramach wyobrażaliśmy sobie, jak będzie

wyglądało nasze życie w roku 2040. Nasi rozmówcy relacjonują to w present perfect. Wywiązała się dyskusja po rosyjsku:

- Kurwa, po co ci dwójka dzieci?
- W 2040 będę miał 40 lat, wtedy dobrze mieć dzieci.
- To zrób sobie wtedy.
- Wtedy przestaje stawać.
- Chyba tobie, mnie będzie stawał.
- Ci się tylko wydaje, nikomu nie będzie stawał.

Rozpoczęła się kłótnia, komu będzie stawał w 2040. Niestety po rosyjsku, myślałem, że się wykończę, jak tego słuchałem i próbowałem sprowadzić ich na tory bliższe lekcji.

- Jaka jest najlepsza praca?
- Piłkarz grający w kadrze.
- Chodzi ci o dumę z reprezentowania kraju na międzynarodowych turniejach?
- Nie, grać nie potrafić nie trzeba, a i tak zarabia się miliony.

Humor z zeszytów szkolnych, grupa dorosłych, pytanie z książki: „czy wiesz, kto wygrał ostatnie wybory w twoim kraju?”. Z sali pada:

– Partia Włodzimierza Putina, Jedinaja Rassija. Przy okazji, mogę powiedzieć, która partia wygra kolejne wybory. Będzie to partia Włodzimierza Putina, Jedinaja Rassija. Wiemy też, kto wygra jeszcze kolejne, będzie to partia Włodzimierza Putina, Jedinaja Rassija .

Myślałem, że nie dam rady zachować profesjonalnej powagi. U dorosłych Putin potrafi zrobić kawałki lekcji. Kiedy indziej temat: kogo chciałaby spotkać osoba z grupy. Pani Olga dostaje od kolegi Putina.

– BOŻE, UCHOWAJ MNIE OD TEGO! – wykrzyczane po rosyjsku. Potem trzy razy się przeżegnała.

Ćwiczenia na pierwszy warunek. Najpierw robimy prawa Murphy'ego („Jeżeli stoisz w kolejce i spieszysz się, to druga kolejka posuwa się szybciej”). Potem uczniowie proszeni są o napisanie praw w oparciu o życiowe doświadczenia: „Jeżeli rosyjski polityk powie ci, że rubel się podniesie, to znaczy, że rubel spadnie”. Daje to poczucie pewnego kręgu zatoczonego przez historię. W czasach głębokiego poprzedniego systemu krążyła taka zagadka:

- Co ma wspólnego ZSRR z USA?
- W obu tych krajach rubel jest bezwartościowy.

Alfabet Smaku

[13.12.2015]

Geniusz sprawujących władzę w Rosji jest powszechnie znany od wielu lat. Na nieszczęście mieszkańców tego pięknego kraju, mogą go oni poznawać empirycznie. Poza granicami Federacji ludzie znają go tylko z anegdot opowiadanych przy wódce. Patrząc na tradycję władców, którzy zapisali się złotymi zgłoskami w historii kraju, Włodzimierz Putin postanowił być nie gorszy. Ba, czas pokaże, Wład może okazać się nawet lepszy niż np. Nikita Chruszczow, chociaż do poziomu Stalina Józefa raczej nie uda mu się dociągnąć.

Na chwilę obecną, definiowaną jako początek grudnia 2015 roku, Rosji udało doprowadzić się do tego, że nie importuje produktów np. z Polski. Po wydarzeniach ostatnich tygodni z listy dostawców wypadła Turcja, co nas dość smuci, ponieważ podobno 20% rosyjskich importów pochodziło z tego kraju. Tyle mówią liczby, ale wnioskując z asortymentu pobliskich nam marketów, to w dziedzinie owoców Turcja mogła stanowić i z 50% importów. Nie będziemy nikomu mydlić oczu i opowiadać,

że jest bajka. Dla połowy z nas jest to czwarty miesiąc mieszkania w stolicy światowego proletariatu, dla drugiej połowy drugi. Sytuacja związana z zaopatrzeniem w owoce cytrusowe i warzywa przesadnie nie rozpieszcza Moskwiczów (w tym tych farbowanych). Jeszcze kilka tygodni temu Turcja była jednym z przyjaciół i sojuszników obłądnego Włada, przybył tu nawet otomański dostojnik otwierać meczet. Obecnie też otwiera, ale nie meczet, a listę wrogów. W związku z tym spodziewamy się zubożenia (i tak średnio zamożnej) sytuacji na półkach sklepowych. Kupowaliśmy tureckie winogrona, pomarańcze i mandarynki. Wielkim pytaniem jest to, czy jeszcze nam się to przydarzy. Dwa tygodnie temu współpracowniczka powiedziała, że w „Aszan” są puste półki po owocach, a na innych leżą buraki i cebula. Przygotowani jesteśmy na to, że parę rzeczy podrożeje, zresztą to wydaje się być stałą tendencją – wszystko ciągle drożeje. Dzięki temu człowiek czuje się jak w domu, ale tu drożeje lepiej – szybciej i więcej. Jeżeli produkty od Turka pójdą w górę, to jeszcze pół biedy, ale za chwilę mogą zniknąć na dobre. Sytuacja nie rozpieszczała nas od samego początku, ale zamiast biernie czekać na kolejne sankcje handlowe, postanowiliśmy się przygotować, przynajmniej mentalnie.

Przeglądając ofertę pobliskich sklepów zaczęliśmy się zastanawiać, co też jest na liście produktów zagrożonych. Banany są najczęściej z Ekwadoru. Kraj jest dość daleko, chyba uda się dotrzeć z nim we w miarę przyjaznych stosunkach do wiosny. Banany więc powinniśmy mieć pod ręką. Pomidory najlepsze – koktajlowe, są z Maroka. To już znacznie bliżej, ale to jednak jest opcja islamska, a dystans między Moskwą a Agadirem wynosi tylko jakieś pięć tysięcy kilometrów. Nie tak daleko jak do Quito, więc nie bierzemy tych pomidorów za dane na zawsze, widać tu możliwość konfliktu z niemal bezpośrednim sąsiadem. Są też pomidory rosyjskie, które usprawiedliwiają istnienie każdego dowcipu świata z puentą, że ruskie jest chujowe.

Winogrona bywały często z Mołdawii, ostatnio nie ma za wiele. No to jest niemal wojna domowa od dekad, wręcz trudno zrozumieć, że jeszcze od czasu do czasu możemy się nimi cieszyć. Przy tym warto zaznaczyć, że termin cieszyć nie jest do końca na miejscu, bo często są one cierpkie, małe i pełne pestek, no ale to owoc winogronopodobny. Kiedy indziej kupiłem winogrona z drugiego kraju, który właściwie należy do Rosji, ale o tym jeszcze nie wie: z Iranu. No to już lekki skandal, że pozwala się na jakąkolwiek wymianę handlową z ajatollahami, ale tu jestem skłonny do pewnych ustępstw, bo były one nieco lepsze niż te z kraju ze stolicą w Kiszyniowie.

Z Chin jest papryka i czosnek. Produkty te dałoby się zastąpić lokalnymi, ale szczęśliwie na razie nie trzeba tego robić. Kształt współpracy Federacji Rosyjskiej z Pekinem jest taki, że jedyne, nad czym można się zastanawiać, to kto i kiedy wbije najlepszemu przyjacielowi nóż w plecy. Przy okazji zubożając tym aktem dietę mieszkańców Moskwy.

Trudno powiedzieć, czym obecnie jest Abchazja. Gruzini powiedzą, że kawałkiem Gruzji, Rosjanie, że wolnym krajem, stanowisko to podzieli Białoruś i Nauru, większość cywilizowanego świata już niekoniecznie. Na potrzebę tych rozważań uznajmy, że Abchazja jest krajem, który przez krótką chwilę zaopatrywał pobliski market w mandarynki. W Polsce mandarynek z Abchazji nie znajdziecie i powinniście się tym cieszyć. Małe, kwaśne, cierpkie, do tego drogie. Przynajmniej jest szansa, że będą, bo Abchazja chyba nie planuje podboju terenów po Morze Białe i wystarczy jej Czarne. Z Abchazji jest też dość dobra lemoniada, ale jej cena też jest dobra, do tego kupić można ją chyba tylko w wybranych restauracjach, przynajmniej na tym kończą się nasze doświadczenia z tematem. Jak już wszystko przepadnie, to jest szansa, że będą te abchaskie mandarynki.

Z Białorusi są wędliny. Jako wegetarianie słabo się z nimi przyjaźnimy, ale zainteresowani tematem mówią, że są znacznie lepsze niż rosyjskie. No, jak widzę rosyjskie pierogi z mięsem za jakieś 45 wróbli, czyli 3 PLN, to mogę tylko zgadywać, z czego one są, ale empirycznie sprawdzać nie mam zamiaru. Szczęśliwie dla mięsożerców, na wojnę z Białorusią się nie zanoszą, Łukaszenko grzecznie składa hołd lenny Władowi, gdy tylko zachodzi taka potrzeba.

Jest też trochę rzeczy z Bałkanów. Bryndza z Bułgarii – nie wiem, jak się to ma do sankcji UE, ale mam nadzieję, że dalej będzie, bo ją regularnie kupujemy. Z Serbii są losowe owoce i warzywa, stanowią jakieś parę procent oferty sklepów. Wydaje się, że i na nich możemy polegać, bo Serbia chyba nie planuje rzucać się w objęcia integracji europejskiej, a współpraca z Rosją (w jakiej postaci by nie była) jest dość stałym trendem kraju ze stolicą w Belgradzie.

Co można importować z Macedonii? Jeszcze kilka dni temu nie miałem pojęcia, że cokolwiek, ale dzięki wizycie w „Aszan” odkryłem, że można przecież importować KAPUSTĘ, a potem sprzedawać ją jakieś cztery-pięć razy drożej niż lokalną. Tłumów bijących się o ten produkt nie stwierdziliśmy. W sumie to może niech wypowiedzą wojnę Macedonii, wielkiej straty nie będzie, jak przestaną handlować, kapusta i tak jest do kupienia na każdym kroku. Gorzej będzie, jeżeli zdecydujemy się na konflikt z Azerbejdżanem – to kolejny kraj, z którego bywają owoce cytrusowe. Se muszą polewać w Baku przy tym, ile Rosjan kasują za te rzeczy. My polewamy nieco mniej, bo za to płacimy.



Macedonia potęgą eksportową

Warto wspomnieć o donośnym akcie odbicia Krymu. Przez dobrych kilka lat jeździłem z drużyną do Ukrainy. W 2004 roku machnęliśmy trzytygodniowy tour po Krymie. W pamięci miałem dobre wina w rozsądnych cenach. Wprawdzie portwajn nie jest czymś, co lubię (do dzisiaj pamiętam, jak strasznie się porzygaliśmy w sewastopolskim porcie po degustacji portwajnu na dość dużą skalę), ale parę domów winnych miało produkty naprawdę na poziomie. Trzeba sobie było nieco przestawić skalę wytrawności i słodkości, było to raczej ciężkie i siadające na żołądku, ale nierzadko spożywaliśmy krymskie wina z przyjemnością.

W roku 2015 w Rosji wina z Krymu stały się dla nas symbolem upadku, syfu, zmarnowanych pieniędzy i zawiedzionych oczekiwań. Po kilku próbach spadły z naszej listy zakupów. Wydawało nam się, że skoro wrzucają je do wszystkich sklepów, to mają ku temu jakieś powody. „Chcą przekonać ludzi, że ta impreza z Krymem się opłacała” – tak sobie pomyślałem, gdy zobaczyłem całe rzędy win z okolic Jałty. O jak się myliłem! Krymskie chardonnay mogłoby być sprzedawane jako riesling, bo i tak żadnego smaku danego szczepu wina w nim nie czuć. Sok z winogron puszczonego na spirycie.



Grafik płakał, jak projektował

Ostatecznym gwoździem do trumny było to, co widać na zdjęciu obok. Stało to u nas w lodówce kilka dni. Wypicie więcej niż 50ml za jednym podejściem graniczyło z cudem. W pewien perwersyjny sposób bawiło nas to, że wino dostało medal w czasach Breżniewa. Pewnie dlatego, że żadnego innego nie było. Gdyby zrobili wino z samych zwłok Loni Breżniewa, to pewnie byłoby lepsze.

Chyba nawet lokalne gaziory tego nie piły, bo mimo w miarę przyjaznej ceny (175 rubli za butelkę) nie schodziło ze sklepowej półki. Nas przełamało w stronę tego, że nigdy więcej, było to chyba wino numer cztery z Krymu, absolutnie najgorsze, ale i te wcześniej testowane nie dawały powodów do mruczenia. Jedno było akceptowalne, dwa nie. Powtórzmy: to był rekord, zdarzało nam się pijać lepsze chińskie wina. Chyba że na Kremlu mają plan, że dając ludziom alkohol takiej jakości, odzwyczajają ich od picia. Jeżeli to cały trend, to strach się bać, co zrobią z wódką i płynem do chłodnic.

Pamiętam, jak swego czasu niektórzy mówili, że Rosja jest taka zajebiście mądra, bo wprowadzając embargo na produkty importowane, wesprze lokalnych producentów. To się na pewno udało, w efekcie tworzą oni produkty, które są raczej niskiej jakości, a do tego w dziwacznej pojemności, często też oszukanej. O, jak się poprawia humor, gdy sobie kupisz kefir i po otwarciu odkrywasz, że brakuje z dobrych stu mililitrów. Trzy razy z rzędu zdarzyło mi się kupić zepsute mleko. Może nie robimy codziennych zakupów w Aleye Parusa, ale jednak byłoby miło otrzymać produkty jakiegokolwiek rozsądnej jakości za cholernie ciężko zarobione pieniądze.

Wydawałoby się, że dla zaopatrzenia pobliskich marketów nie byłoby źle, gdyby Rosja podbiła parę okolicznych krajów. Wówczas mandarynki chodziłyby jako towary lokalne, a orzeszki z okolic Isfahan stałyby się produktami krajowymi (choć opakowanie stugramowe okazywałoby się ważyć 80 gramów). Problem jest tylko taki, że w sumie nie ma zbyt wielu sąsiadów, których moglibyśmy podbić. No bo na co nam taka Finlandia? Ni bananów, ni cytryn, ni mandarynek. Mongolia? Japonia? Uzbekistan? Kazachstan? Rosja to cholernie wielki kraj, problem tylko taki, że rozłożył się w części świata, w której nie ma zbyt wielu przydatnych rzeczy, no jest śnieg, są też kamienie.

Suma doświadczeń polskich związanych z ekspansją rosyjską skłania do sformułowania wniosków, że czego by Rosjanie nie chwycili, to by popsuli. Chcielibyśmy napisać, że to nie jest tak, że mieszkańcy naszej ojczyzny są uprzedzeni, że to wszystko nieprawda. Że mieszkając w Moskwie, odkryliśmy zakamarki rosyjskiej duszy, które stawiają całą sprawę w innym świetle. Mamy jednak w pamięci to straszne wino z Krymu i mandarynki z Abchazji. Dlatego też żywimy nadzieję, że Rosja nie podbije Turcji, Iranu i Mołdawii przed latem 2016 roku. Bo jeżeli to robi, to nie wiemy, skąd weźmiemy owoce.

[27.12.2015]*Jestem zmęczony.**Jestem przepracowany.**Potrzebuję odpocząć.**Przydałoby się iść na urlop.*

Gdybym dostawał 10 rubli za każdym razem, gdy słyszę od współpracowników którąś z powyższych fraz, to zebrałbym drugą pensję. Wspomniane odczucia pojawiały się już w październiku, ale z nastaniem listopada przybrały na sile, a grudzień stał się miesiącem Męki Pańskiej podniesionej do sześcianu (choć na Zachodzie mówią, że grudzień jest miesiącem narodzin). Pokutuje przekonanie, że praca nauczyciela jest lekka i przyjemna, wali się przyrodzeniem w błąd, potem powtarza lekcję rodem z 1973 roku, idzie do domu i ma wywalone na wszystko. W pewnych realiach można powiedzieć, że tak jest – nie sądzę, że wielu moich licealnych nauczycieli wypruwało sobie żyły, przygotowując lekcje (a raczej – nie przygotowując ich), ale w tej części świata i w tych realiach ekonomicznych kwestia obowiązków zmienia się diametralnie.

Podstawowy kontrakt obejmuje 30 godzin lekcyjnych, godzina zaś definiowana jest jako 45 minut, nie wydaje się to więc przesadnie groźne. Gdyby to jednak było takie proste... Nie da się nie dołożyć kolejnych kilkunastu godzin tygodniowo, jeżeli chcemy zapewnić jakość tego, co przynosimy naszym uczniom. Prawdę mówiąc, wiele osób nie chce, bo uznaje, że jednak fajnie mieć jakieś życie poza pracą. Po jakimś miesiącu paru nieszczęśników, którzy rozpoczęli zatrudnienie równo ze mną, postanowiło przejść na kontrakt w wersji *light*, czyli 24 godziny tygodniowo. Nie jest to ruch, który sprawia, że rośniemy w oczach administracji. Poprzedzają go rozmowy, czy jest się pewnym, że przecież nie jest źle, że daje się radę, że jak się tak zrobi, to będzie się znacznie mniej zarabiał, jak również, że straci się urlop, więc to przecież taki niemądry pomysł. Nie brakuje jednak osób, które dołożyły starań, żeby ten niemądry ruch stał się ich udziałem i miały nieco mniej przyjemności przy tablicy. Niektórzy jednak nie przejmowali się tym i po prostu spakowali toboły i zniknęli. Przyznam, że bardzo mnie to nie dziwi: życie w Moskwie nie jest dziko proste, wszystko zawsze biegnie, spieszy się i tłoczy. Dla kogoś, kto nie operuje rosyjskim, poziom trudności rośnie nieco bardziej, chociaż akurat znam parę osób, które ledwo czytają, a żyje im się całkiem dobrze i siedzą tu kolejny rok. Jeżeli jednak ktoś nie ma pasji do lokalnej kultury, wówczas właściwie trudno mi zrozumieć, dlaczego miałby tu siedzieć – nie jest bardzo trudno znaleźć sobie opcję pracy, gdzie stosunek wynagrodzenia do minut spędzonych w niej wygląda korzystniej, a i jakość np. mieszkania pozwala bardziej rozwinąć skrzydła. Mnie moja siedziba nie boli, poza tym, że jest strasznie ciemna, ale jeżeli ktoś mieszkał w Kalifornii i potem trafia na radzieckie blokowisko z lat 70., to przeżywa pewien szok poznawczy, który może wygonić go poza granice Federacji Rosyjskiej.

Od mniej więcej połowy października nauczyłem się żyć trybem 30 lekcji tygodniowo rozłożonych na trzy szkoły. Ba, nawet chodzę co piątek na seminaria poświęcone integracji egzaminów z kursami, jak również z prowadzeniem tych egzaminów. Chodziłem też na inne wykłady, ale kolejne zmiany w planie zajęć sprawiły, że dopóki nie opanuję daru bilokacji, to będą mi przepadały. Umawiałem się więc na konsultacje indywidualne. Właściwie dziwnym jest, że poza własnym sufitem i klasą cokolwiek w tym mieście widziałem, a nawet zdarzało mi się wyjść do barów, przejść na musical i do paru innych miejsc.

Ilość opieki, jaką jestem otoczony, zmalała do niemal zera. W jakimś sensie dobrze, sam sobie sterem i okrętem. Pozostaje parę spraw, których do końca nie rozumiem, a niektóre z nich nie mają prostej odpowiedzi, więc co jakiś czas męczę odpowiedzialnych za ten czy tamten dział. Najczęściej bezskutecznie, już się nauczyłem, że na niektóre pytania odpowiedzi nigdy nie otrzymam, bo wpadają

one do kategorii „siara jak chuj”. Tak więc od października nie wiem, jak powinienem rozplanować jeden z kursów, a moje pytanie, czy szkoła jest pewna, że grupa naprawdę jest na poziomie B1 skoro jest słabsza od innej grupy A2, wisi w jakimś niebycie. To akurat przypadek z tych, że brak odpowiedzi jest najgłośniejszą ze wszystkich.

Gdy już wydawało się, że mam wszystko w miarę opanowane i że nie da się absolutnie wydłużyć mi tygodnia pracy, wówczas spadł nam wszystkim na głowy pomysł pracy w sobotę piątego grudnia. Dzięki temu będziemy mieli wolne 31 grudnia, ale decyzja ta pozwoliła na zjednoczenie niemal wszystkich pracowników, tak nauczycieli, jak i administracji. Podczas przerw na papierosa lub herbatę poczyniono wiele komentarzy, których treści odgadnąć nie jest trudno. Jeszcze tyle mojego, że razem z moją lokalną dyrektorką siedliśmy na uczniach i niemal zmusiliśmy ich, żeby przyszli w sobotę, dzięki temu odrabianie to miało jakiś sens. Otrzymałem więc 4 z 5 w jednej grupie, 5 z 7 w drugiej – biorąc pod uwagę, że rok temu moja najmniejsza klasa liczyła 21 osób, a największa 67, to jest to pewne różnica w jakości pracy. Wiem, że w kilku innych klasach liczba uczniów była śladowa, a zamiast robić oficjalne curriculum prowadzący skoncentrowali się na rzeczach nieco bardziej pociesznych niż różnice w użyciu past simple i past continuous.

Ledwo się z tym uporaliśmy, przyszedł czas jołki. Jołka banalnie tłumaczona oznacza choinkę, ale tu jest czymś więcej: jołkami zwie się zabawy świąteczne, które robi chyba każde miejsce mające możliwość zwabienia dzieci – ku memu pewnemu zaskoczeniu, Rosjanie ubóstwiają dzieci i podporządkowują im bardzo, bardzo wiele. W efekcie od końcówki listopada widzi się rozliczne reklamy jołek.

Najbardziej intrygująca wydawała nam się Robojołka, czyli jołka z robotami. Imprezy te słono kosztują, ta oficjalnie organizowana przez naszego pracodawcę – 1000 rubli za małą twarz.



Event ten miał miejsce w Masterslavl, jebitnie drogim i wypasionym centrum zabaw dla dzieci. W tymże miejscu dziecko może bawić się w hydraulika lub strażaka – pierwsze nawet całkiem przyszłościowe, zwłaszcza gdy zna się z autopsji stan moskiewskich wodociągów. Z powodów bliżej nam nieznanych, ktoś wymyślił, że jołkę należy zorganizować w tygodniu o godzinie 11 rano. Za moich czasów dzieci o takiej porze były w szkołach. Ba, frekwencja wskazuje na to, że i współcześnie dzieci wówczas siedzą raczej w klasach, a nie zajmują się pierdołami, no ale co ja tam wiem, w końcu mamy dział marketingu i on wie lepiej, więc zarabia na życie, organizując jołkę o 11 rano we wtorek. Za wejście do Masterslavl płaci się 2500 rubli. Za uczestniczenie w jołce rodzice musieli dopłacić jeszcze 1000. O dziwo, znaleźli się i tacy szaleńcy. Tym razem kutasowa była nie po naszej stronie, a pracowników tego szlachetnego przybytku. Wszystko było spóźnione, w rozsypce i chaosie. Jołka miała trwać chyba z dziesięć dni, po dwóch się poddało, bo uznano, że w tej formie przynosi wstyd organizacji.



*Mamy nadzieję, że N**ZE MC jest dumny z bycia królikiem na jolce...*

Obok jolek funkcjonują też lekcje otwarte – szkoła zaprasza rodziców, a my możemy pokazać, jak zajełbieć uczymy ich dzieci i dlaczego spędzanie czasu z nami jest takie cenne. O ile imperatywu nie było, o tyle jednak sugerowano, żeby mieć jółka kontent, bo rodzice takowy lubią i cenią. Siedliśmy więc w sobotni wieczór (patrz: „kontrakt na 30 lekcji tygodniowo”) i wyrzeźbiliśmy trzy różne jółki. Potem jeszcze tylko musiałem wydrukować kawałek syberyjskiego boru i mogłem iść uszczęśliwiać uczniów, a raczej ich rodziców.

W najmłodszej grupie większość nie padła z wrażenia, ale przynajmniej ich dzieci były przerażone, że rodzice widzą, więc zachowywali się dobrze, jeden to się nawet popłakał (a jak mamusi nie ma, to się krzesółko kopie po sali). W drugiej przyszła tylko jedna babcia, które po sześćdziesięciu minutach obserwowania lekcji dała mi na migi do zrozumienia, że moja praca to koszmar i że mi współczuje. Ponieważ ukrywam znajomość mowy Puszkina, nie miałem, jak jej powiedzieć, że gdzie tam, że przecież dobrze było, a na to, że dzieci się drą, to uwagę przestałem zwracać dobre kilka lat temu. Opus magnum miał miejsce w grupie najstarszej, czyli 8-9 lat. Trójka rodziców na czwórkę uczniów (na końcu pozwolę sobie rzucić nieco więcej światła na sprawę). Ten kurs prowadzę w piątkowe popołudnia, mam przed nim trochę więcej możliwości, żeby wszystko ogarnąć, więc dość często jest to moja najlepsza lekcja w tygodniu. Wiadomo, że jak jółka, to byłem z takim zapasem czasu, że parę jolek zdążyło w nim wyrosnąć. Poustawiałem krzesła, spędziłem dziesięć minut na ustalaniu, jak działa główniany telewizor firmy Rolsen (jeżeli kogoś bardzo nie lubicie, to kupcie mu produkt rosyjskiej firmy Rolsen), poszedłem spalić peta, wróciłem, odświeżyłem oddech i zaprosiłem na salę uczniów i rodziców. Jeszcze zanim się zaczęło, przyszła do mnie dziewczynka, że musi wyjść przed końcem pierwszej połowy zajęć, czyli o 16 i czy ja to przeżyję. A, wychodź sobie.

Poszło lepiej, niż się spodziewałem. Wprawdzie jedna matka dała dyla po 20 minutach, ale pozostałe siedziały i nawet ze dwa razy się zachwyciły, że dziecko coś tam zrobiło. Jedna pani matka nie wierzyła, że córka czyta dość biegle po angielsku (no nie Joyce'a, ale prosty tekst owszem). Wygrała wszystko ta, która miała wyjść o 16. Gdy wybiła magiczna godzina, matka spytała ją, czy chce iść. A Zofija, że nigdzie nie idzie, bo tu jest tak super. Matka powiedziała, że dobra, obie zostały do końca zajęć. To są takie dni z serii raz do roku, w tym mój wypadł 25 grudnia. Człowiek przypomina sobie, czemu wybrał tę robotę, koduje bardzo dobrze w głowie to wydarzenie i potem z rzewną nostalgią wspomina, że czasem udaje mu się zrobić coś „wow”. Nie dla rodziców, tylko dla uczniów w wieku mało zaawansowanym. Potem żyje się tym wspomnieniem przez kolejne miesiące, nawet jeżeli lekcje katastrofalnie nie wychodzą. Gdy spoziera się na pasek wypłaty (w formacie A4) i zdaje sobie sprawę, że praca w brytyjskim Tesco oferuje o wiele lepsze wynagrodzenie, to wtedy się o tym myśli. Także gdy słania się ze zmęczenia po ósmej lekcji, z których pierwsza była najgorsza na świecie, a każda kolejna jeszcze gorsza. To wówczas takie wspomnienia ma się z tyłu głowy. Zaczyna się jednak coraz gęściej mieć myśli, że może jednak to brytyjskie Tesco... A potem znowu ma się taką lekcję i dostaje zastrzyk zadowolenia z życia na parę tygodni. Potem wszystko wiadnie, bo chujom się nie chce, jakiś rodzic truje dupę, że za Lenina było lepiej, więc to Tesco w UK zaczyna być całkiem kuszącą opcją. No ale wtedy znowu jakieś dziecko odbiera tę możliwość kariery, bo się wzruszyło, że przyniosłem jołkę, kotka lub *krakadila*. Uczenie jest pułapką na miarę heroiny z najżyźniejszych terenów Afganistanu, tyle że herę można sobie kupić, a na lekcję sezonu trzeba się przygotować i mieć taki szczęśliwy układ gwiazd, że akurat wszystko zadziała.



Jeżeli nasza znajomość rosyjskiego nie wywodzi nas na manowce, to i burmistrz Moskwy zorganizował jołkę. Wskazówki pochodzą ze stacji metra Krasnaya Presnya

Tu wpis ten powinien się kończyć, ale szkoda byłoby nie pozwolić sobie na opowieść o rodzicach mych uczniów i uczennic. Szkoła ta nie jest tania. Ba, tak naprawdę, to jest obłędnie droga. Gdyby to zależało ode mnie... No ale nie zależy! Gdy po dwudziestu minutach lekcji matka jednej z mych uczennic postanowiła sobie pójść, córa była solidnie podłamana. Nawet za nią wołała, ale widocznie było coś ważniejszego niż córka. Mógłbym powiedzieć, że mi lepiej, bo rodzice stresują dzieci, mają komentarze na temat mojej pracy, a że myślą, że nie rozumiem, to się nimi szczerze dzielą, no ale nie będę kłamał. Było mi też smutno, może nie aż tak jak córce, ale jednak przygotowałem tę jołkę. Było mi żal, że znalazły się rzeczy ciekawsze od spędzenia czasu z córką, której na tym dość zależało. To i tak był przypadek *light*, bo matka przyszła. Jeden tatuś uznał, że woli sobie napierdalać gierkę na tablecie, niż oglądać, jak jego dziecko się uczy. Za najważniejsze na świecie uznał, żeby jego dziecko wyszło z lekcji absolutnie punktualnie, powtórzył mu to z dziesięć razy. To, że syn go wołał parokrotnie, że lekcja otwarta i „tata, chodź!” nie wzruszyło rodziciela, zapewne biznesmena (wnoszę po szarym dresie). Ważne było, żeby poukładać cukierki w świetlistej gierce.

Pewnym dramatem tego świata jest to, że jeżeli chcesz iść łowić ryby, to musisz mieć kartę wędkarską. Jeżeli chcesz się przejechać na rowerze, to musisz mieć kartę rowerową. Jeżeli będziesz wykonywał którąś z tych czynności w stanie wskazującym, to istnieje ryzyko, że zdejmie cię władza. Jednak jeżeli chcesz się rozmnożyć, to możesz zrobić to bez żadnych uprawnień i całkowicie po pijanemu. Potem zaś wolno ci spędzić ze dwie dekady na odkrywaniu tego, że nie masz pojęcia, jak działa dziecko, w tym akurat żadna władza nie będzie ci przeszkadzała (za to jeżeli zechcesz zapalić jointa, to będą na posterunku). Sami dzieci nie posiadamy i nie czujemy się ekspertami od istot bardziej skomplikowanych od kota, ale to, co czasem widzimy i słyszymy... Pięciolatkowie żrący batona przed lekcją i drugiego po, oba podane przez kochającą babcię, która w temacie diety zatrzymała się na czasach Dostojewskiego. Zapijane to wszystko sokiem z tablicy Mendelejewa. Ale to i tak luz, bo są też dzieci, które już na etapie ósmego roku życia mają ciężką nerwicę. Widujemy wszystkie możliwe odmiany ADHD. Psychologowie i psychiatry zarobią fortuny na tym pokoleniu. Nie uczymy nędzarzy z okolic Kaługi, tylko dzieci dość majątnych ludzi z Moskwy. Nierzadko mamy myśli, że w Kałudze jest lepiej, bo korelacja między zasobnością a poziomem cywilizacyjnym we współczesnym świecie zachodzi nader rzadko, a w Rosji chyba w ogóle. Niestety, powiedzieć niczego nam nie wolno, więc tylko oddychamy głębiej i idziemy na kolejne lekcje, hodując gdzieś tam w sobie nadzieję, że będzie to jedna z tych „wow”.

50 shades of cock-up

[13.03.2016]

Każdego tygodnia odbywamy solidną liczbę lekcji z nastolatkami. Sprawcy ich pobytu na tym łez padole płacą za to solidne pieniądze. Postanowiliśmy przedstawić, jakie oblicza lubi zwyczajowo przybierać tenże dramat.

– -20 minut – nauczyciel siada w klasie. Myśli sobie o tym, że Kant nie był zły, ale jednak Hegel to był koleś.

– -10 – przychodzi zaangażowany uczeń. Pyta, czy ten jego past perfect jest dobry i czy jego zadanie domowe idealne. Ogólnie chcesz mu odpowiedzieć, że Hegel, no ale patrzysz na ten dramatyczny wysiłek, który doprowadził ucznia do formy „was been” i próbujesz zrozumieć, jakim, kurwa, cudem. Chcesz mu jednak udzielić wsparcia w wędrówkach gramatycznymi labiryntami, więc rozpoczynasz wyjaśnianie, że prawie dobrze, ale niestety całkowicie źle. Po chwili sam siebie nie rozumiesz i mówisz, że musisz do łazienki.

– -5 – przychodzą kolejni uczniowie. Mózgowiec tłumaczy im, że „was been” jest źle. Z drugim, którego to trochę obchodzi, rodzą „been been”. Nie mogą zrozumieć, dlaczego nie witasz tego

z fanfarami i masz coś tak ważnego do zrobienia, że wymaga to ukrycia się w pokoju nauczycielskim do samego początku lekcji. Cała reszta robi zoo, bawiąc się w ślepo-ganianego (goniący ma zawiązane oczy, co daje przynajmniej nadzieję, że pewnego dnia wypadnie przez okno na trzecim piętrze).

– 0 – start lekcji. Powitanie, obecność. Ponieważ wszyscy mają coś ciekawszego do roboty, listę sprawdzasz czterokrotnie, a i tak się nic nie zgadza.

– 1 – zadanie domowe. Nikt go nie zrobił, więc lepisz sprawę z tym jednym okularnikiem, który jeszcze nie zgubił ćwiczeniówki. On zrobił wszystko dobrze, ty się kilka razy pomyliłeś. Nie masz jednak czasu na przemyślenia, kto kogo powinien uczyć, bo kilka osób się właśnie nudzi. Jedną z tych nudów aż znajduje zeszyt ćwiczeń, ale ma w nim gnijącą cytrynę, więc postanawiasz nie sprawdzać, czy zrobił damaszkę.

– 10 – aby lepiej wprowadzić uczniów w magiczny świat języka angielskiego, właściwą część lekcji rozpoczynasz od gry-zabawy – gracie w szubienicę, ale ponieważ uznano ją za szkodliwą dla rozwoju dziecka, tworzycie wariację, w której zamiast wieszania anonimowego nieszczęśnika rysujecie hinduski symbol miłości i pokoju. Ta wersja jest tak szalona, że rozgrywanie jej powoduje, że przegrywacie sami ze sobą, a zamiast „cat”, uczniom wychodzi „Nine Inch Nails”. Zawstydzeni przegraną nakazujecie uczniom otwarcie książki. Tam już w ogóle niczego nie wiadomo.

– 20 – po kilku minutach kontemplacji książki w końcu odkrywacie, o czym będzie wasza lekcja. Nie o tym, o czym myśleliście. Odpalacie więc listening.

– 21 – okazuje się, że to zła płyta. Idziecie więc po dobrą.

– 23 – dobra płyta nie działa. Idziecie po kolejną. Atmosfera na sali już wcześniej nie była przesadnie gorąca, ale teraz jej temperatura sięga tych właściwych Ojmiakonowi.

– 25 – odpalacie listening, żeby odkryć, że ludzie mówiący w nim brzmią jak stado wykastrowanych suchotników. Optymistycznie zakładacie, że za sprawą poznania go nikt przesadnie nie zgłupieje ani nie zmadrzeje. Szybko okazuje się, że się mylicie.

– 28 – „odpowiedzmy więc na pytania: ile John zapłacił za gazetę?”.

– 35 – po długiej debacie ustalacie, że John wydał 4 minuty. Ku twemu zaskoczeniu, odpowiedź zgadza się z kluczem z książki. Do końca życia nie zrozumiesz, jak to się stało.

– 40 – po zakończeniu listeningu (i ustaleniu, że auto jechało piętnaście funtów na zachód), przechodzicie do ćwiczeń ustnych: „czy gdybyś był Johnem, to wydałbyś 4 minuty na to, żeby kupić gazetę, która jest współfinansowana przez światowy kongres Żydów z siedzibą w Teheranie?”.

– 50 – zarządzasz pięciominutową przerwę. Wspólnie z uczniami zdemaskowaliście spisek sięgający od Taszkientu przez Jerozolimę aż po Los Angeles. Niestety, po angielsku powiedzieli tylko „Los Angeles”, więc dziękujesz niebiosom, że nie była to lekcja obserwowana. Ambitny uczeń idzie za tobą i próbuje zadać ci pytania dotyczące wielkiego spisku mandżurskiego, który sięga od Sydney po Caracas. Masz to w dupie, więc ukrywasz się przed nim w toalecie.

– 70 – wracasz po pięciominutowej przerwie, która nieco się przedłużyła. Na środku sali płonie stos ofiarny. Znudzeni uczniowie grają na komórkach. Pokrzykujesz i machasz rękami, sam nie wiesz po co, chyba bardziej z przyzwyczajenia niż wiary, że może to cokolwiek zmienić. Uczniowie pozostają niewzruszeni.

– 71 – rozpoczynasz drugą część lekcji. W trakcie przerwy i podrywania nauczycielki z grupy dziecięcej zapomniałeś, o czym była pierwsza. Opowiadasz więc bez ładu i składu o tym, że zawsze chciałeś mieć motor.

– 75 – najlepszy uczeń wcina się, że on zawsze chciał mieć wódlot.

– 80 – nadal omawiacie wyższość sportów motorowych nad piłką nożną. Sam siebie nie słuchasz, tylko modlisz się, żeby ten koszmar się wreszcie skończył. Rozważasz rzucenie tym wszystkim i wyjazd do pracy fizycznej na Zachodzie.

– 81 – przypominasz sobie, że gramatyka. Rozdajesz ćwiczenia z gramatyki. Ku swemu przerażeniu odkrywasz, że nie znasz połowy słów, a taki *grammar point* to ostatnio widziałeś, gdy na księdza mówiłeś Zorro. Masz nadzieję, że pogrążeni w letargu uczniowie nie zapytają. Oczywiście pytają.

– 84 – za pomocą języka ciała wyjaśniasz im różnice między gąsienicą a poczwarką – z jakiegoś powodu autorzy książki uznali, że słowa te są potrzebne ludziom, którzy po angielsku znają głównie marlboro i coca-cola. Z mamrotów na sali rozumiesz, że uznano, że już cię ostatecznie pojebało. *Grammar point* wyjaśniasz za pomocą sukcesji wodzów Związku Radzieckiego.

– 90 – dalej pokazujesz, że gąsienica i poczwarka. Już dawno nikt na ciebie nie zwraca uwagi, totalne „was been”, zaczynasz rozumieć pytanie sprzed kilkudziesięciu minut. Prosisz zebranych, żeby wycięli gąsienicę z szablonu na stronie 119. Niektórzy obcinają sobie kawałki palców. Inni niszczą wyposażenie szkoły. Inni do dzisiaj szukają strony 119.

– 100 – rozpoczynasz ukochaną grę uczniów. Wybraniec losuje Lenina, Stalina, Chruszczowa, Breżniewa, Czernienkę lub Andropowa. Demonstruje wodza w krokach rosyjskiej czastuszki, a grupa próbuje zgadnąć, którym to szczęściem los obdarzył wybrańca.

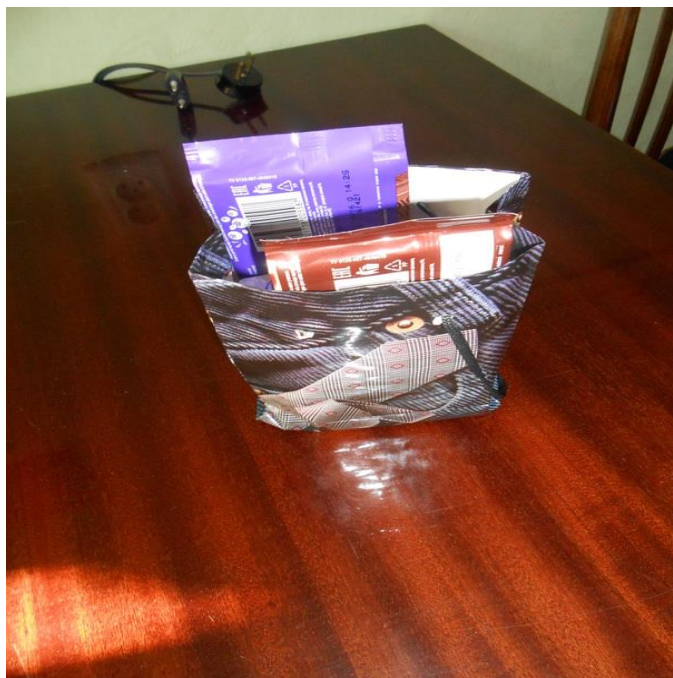
– 135 – koniec! Studenci zgodnie odgadli, że to ty byłeś Stalinem. Przysługuje ci piętnaście minut przerwy. Potem możesz zacząć kolejną wielką przygodę pedagogiczną.

Den' rozhdeniya

[14.05.2016]

Życie tak się układa, że 10 maja celebruję urodziny. Postanowiłem podzielić się tą radością z uczniami, przez ostatnie 25 minut jedliśmy tort i rozmawialiśmy – oni do mnie w języku Chruszczowa, a ja odpowiadałem w narzeczu Clintona. Było miło, dowiedziałem się, że koleżanka z klasy jednej z mych uczennic sypia ze swoim nauczycielem angielskiego. W końcu ma już 16 lat, facet 23, cała szkoła wie i nic się nie dzieje. Jak potem o tym pomyślałem, to może to była taka delikatna sugestia...

W czwartek był 12 maja, przyszedłem na zajęcia. Wchodzę do sali, a tu *happy birthday* i prezent od dwójki z mych podopiecznych.



Pozostaję pod wrażeniem. W Rosji dość solidnie sprawdzają dokumenty, ale moim jakoś udało się nabyć papierosy, które palę. Zresztą oboje palą, więc pewnie parę mniej praworządnych miejsc znają. Pierwszy raz w życiu sprezentowano mi rozedmę i samozniszczenie. Może to też była taka delikatna sugestia.

Obóz taki edukacyjny!

[13.06.2016]

W ostatnich dniach maja zakończyliśmy uczenie grup dziecięcych i nastoletnich. Z powodów przez nas niepojętych dzieci w Rosji mają obłędną ilość wakacji. Już w połowie piątego miesiąca grupy zaczęły być dość solidnie przerzedzone, bo przecież szkoła się kończy, oceny wystawione, więc można wrzucić na luz i jechać do Tajlandii, a przynajmniej do dziadków z Krasnojarska – jeden z moich uczniów udawał się na trzydniową podróż pociągiem właśnie tamże, by spędzić z przodkami całe trzy dni i wykonać w tył zwrot. O ile kończenie roku szkolnego wcześniej ma sens np. we Włoszech lub Chorwacji – w czerwcu jest za gorąco, żeby chłonać wiedzę – o tyle trudno to zrozumieć w Moskwie, mieście, w którym w maju nie ma upałów. To i tak jest bardzo dyplomatyczne postawienie sprawy, bo około 5 czerwca było 8 stopni, a kiedy rтęc dobija do 20, to już mamy poczucie solidnych tropików. No ale dobrze, tak działa system, odbyliśmy pożegnalne lekcje, wypisaliśmy raporty, sami też otrzymaliśmy oceny semestralne i rozpoczęliśmy przygotowania do obozu.

Nasza placówka organizuje wyjazdy edukacyjne, w tym roku łącznie siedem sesji, trwają w sumie od końcówki maja do końca sierpnia. Popytaliśmy bardziej doświadczonych i powiedzieli, że warto, że jest ciekawie, że uczy się, nie używając książek, i że można zaprzyjaźnić się z uczniami. Od kwietnia otrzymywaliśmy wszyscy maile, że bardzo nas zachęcają do rzucenia się w to, więc postanowiliśmy zaryzykować, w dużej mierze w ramach dywersyfikacji doznań związanych z nauczaniem dzieci. Gdy moja przełożona dowiedziała się, że tam jadę, to kilkanaście minut mówiła, jak wspaniale, że się zdecydowałem, że pozwoli mi to na przeżycie tego, jak fajne jest nauczanie bez podręczników i nie w klasach. Ba, do tego przecież na obóz językowy jadą ludzie, którzy są żywo zainteresowani zdobywaniem wiedzy, więc nie będzie problemów znanych z prozy życia i nauczania w Moskwie. Również komendant obozu informował nas, że na lepszej karuzeli śmiechu to na pewno w życiu nie byliśmy. Z jednej strony mam pewien filtr na rzeczywistość i na opowieści przełożonych. Z drugiej brzmiało to jak wstęp do wspaniałej przygody, nawet przy tym, że argument o nieużywaniu książek powtórzony został tylko jakieś sto razy.

Dotarcie do miejsca przeznaczenia przebiegło zaskakująco łatwo, 95 kilometrów dzielące lagier od Moskwy pokonaliśmy w niecałe dwie godziny. Pierwszego dnia przetestowaliśmy 265 osób i zanieśliśmy wyniki przełożonemu, który mógł spędzić kolejne kilka godzin, układając to w mniej lub bardziej sensowne grupy. Od poniedziałku ruszyła impreza.

Rozkład dnia był stały: trzy lekcje rano, trzy popołudniu. Każdy z nas miał trzy grupy wiekowe: 10-12, 7-9, 13+ (przychodzące w takiej właśnie kolejności). O ile uczenie dwóch pierwszych było dość wdzięcznym zajęciem, o tyle gdy kończyliśmy nastolatków o godzinie 19, to nierzadko ktoś rzucał: „kurwa, a mogłem pracować w jakiejś stoczni”. Sam w sobie obóz nie miał żadnego celu poza poprawą ogólnie rozumianego angielskiego. Nie było testów, nie było syllabusa. Był główny temat sesji, nam trafił się kosmos. W ramach tego obszaru były projekty, ale nawet w nich panowała dość duża dowolność. Przez pierwsze kilka dni działało to całkiem nieźle, pacjenci cieszyli się, że nie ma książek, ćwiczeń i za wiele pisania, a w zamian są projekty, wycinanki i kolorowanki. Potem jednak impreza siadła, ostatnie kilka dni trzeba było żebrać i drzeć się, żeby ktoś łaskawie coś zrobił. Inną sprawą jest, że i my na dźwięk słów „projekt rysunkowy” dostawaliśmy torsji. O ile mnie trafiły się grupy dość podstawowe i mogłem widzieć pewne efekty tego nauczania, o tyle już powyżej Intermediate trudno było

zaimponować uczniom – w końcu istnieje umiarkowana liczba słów związanych z kosmosem, które był sens wprowadzić. W efekcie lepsze grupy znudziły się szybciej niż słabsze.



Pobojowisko, czyli typowy widok po zakończeniu zajęć



Dekoracja stołówki

Jednak ogólnie sam program naukowy wypada uznać za plus. Jego efekty to inna sprawa – poza paroma zdeterminowanymi jednostkami nie sędzę, że większość się czegoś nauczyła. Część winy jest po ich stronie, część wynikała z tego, że poprzeczka była zawieszona dość nisko. A właściwie w ogóle jej nie było. Powtarzane niczym mantra „uczenie bez podręczników” na początku wypadało świetnie, by pod koniec ujawnić swoje wszystkie wady. Dodam też, że planowanie bez żadnych materiałów bywało czasem przyjemne, a czasem męczące. Staraliśmy się nie wypalić ze wszystkich armat za szybko, więc część dobrych pomysłów zostawiliśmy na końcówkę. Niestety, wtedy one już bardzo mało kogo interesowały.

Jeszcze co się tyczy nastolatków: gdy na początku dzieliliśmy grupy, wziąłem wspomniane Elementary. Suma moich doświadczeń jest taka, że to dość wdzięczny poziom do uczenia, bo postęp widać niemal z lekcji na lekcję. Nie wpadłem jednak na to, że jak ktoś ma 13-15 lat i jest na tym poziomie, to w większości przypadków oznacza, że jest po prostu leniwy, tępy albo łączy obie te wyjątkowe cechy. To już nie lata 50., w których tak trudno było się nauczyć angielskiego, a zdobycie książki w tym języku było wyzwaniem. Edukacja tego szlachetnego języka jest prowadzona w rosyjskich szkołach publicznych często od lat najmłodszych. Jeżeli po przejściu przez jakieś sześć lat teje ktoś nadal jest na poziomie dna, to nie da rady, oba samce. W świecie, w którym wszystko krzyczy do nas po angielsku jest pewnym osiągnięciem nieopanowanie słownictwa całkowicie podstawowego. I trochę takich przypadków miałem.

Na łącznie 42 uczniów trafił mi się okaz niesamowity. Dziewczyna trzynastoletnia, która nie była w stanie powiedzieć żadnego zdania po angielsku. „Szto, szto, szto?” na każde pytanie, w tym „How old are you?”. Zachowanie delikatnie mówiąc skandaliczne – śpiewała w trakcie lekcji i bardzo się dziwiła, gdy jej przeszkadzałem w wykonywaniu kolejnych rosyjskich szlagierów. Przez dwa tygodnie nie zrobiła niczego. W połowie położyłem na to łagę, powiedziałem jej, żeby tylko nie wchodziła w paradę innym. Oczywiście i to było zbyt wielkie wyzwanie, więc wkurwiała mnie nie tylko swoją głupotą, a także stylem bycia. Dołączyły do niej trzy inne dziewczynki i cały drugi tydzień sobie serdecznie bimbowały. Pod koniec większość grupy miała ich dosyć. Pewnego dnia wprowadzałem im słowo *government*. Okazało się (rzecz jasna po rosyjsku), że jej mama pracuje w Dumie. Zgaduję, że jest posłanką. Najbardziej oskarżycielskie artykuły Nawalnego nie sprawiły, że mnie rosyjska władza tak wściekła. Takie coś opływa w dostatki, luksusy, telefony i ciuchy od projektanta, a tyle porządnych osób żebrze przy stacjach metra... Jedna z moich przełożonych czasem rozpoczyna swe wypowiedzi od: „w tym cudownym kraju, gdzie korelacja między majątkiem a poziomem intelektualnym zachodzi nader rzadko...”. Pierwszy raz doświadczyłem tego na taką skalę. Miałem w tej grupie parę uczennic-paprotek, miałem ze dwóch głupawych chłopaków, ale to był standard, miewałem takich uczniów wcześniej. Córka władzy pobiła wszystko, co w Moskwie widziałem.

Obóz nie był za darmo. To znaczy my na nim nawet nieco zarobiliśmy, ale uczniowie musieli zapłacić za wzięcie w nim udziału 42K rubli, czyli jakieś 2500 PLN za 13 dni. Za tyle to się da do Tajlandii dojechać, no ale kto bogatemu zabroni? Odległość od Moskwy: wspomniane 95 kilometrów. Na zdrowy rozum więc pieniędzy było więcej, niż potrzeba, żeby zapewnić takie cuda jak kredki, gumki do mazania, papier, czy też najnowsze odkrycie XXI wieku: nożyczki dla dzieci.

Przed wyjazdem mieliśmy spotkanie. Opowiedzieliśmy na nim, co nam się marzy, żeby było. Plastelina, kredki, papier kolorowy, ktoś nawet zaszalał, że kolorowy karton, kości do gry, pisaki, farbki plakatywne, strugaczki, ołówki, no rzeczy iście nie do zdobycia w roku 2016 w Moskwie. Lista została zrobiona i nasz komendant melanżu obiecał przekazać ją do odpowiedniego działu (liczba działów w naszej organizacji jest swoistym hołdem dla Związku Radzieckiego i jego legendarnej biurokracji).

Gdy przyjechaliśmy na obóz, okazało się, że listę zakupów potraktowano w kategoriach literatury fantastycznej. W efekcie mieliśmy farbki sprzed roku (brakowało kolorów, część była zaschnięta), po jednym zestawie kredek (część w formie całkowitych ogryzków) na grupy 12-14 osób, jeden papier kolorowy na 42 osoby, ostatecznie dwie pary nożyczek, ale prawdziwy hit czekał w pokoju

nauczycielskim. Nasz dział zaopatrzenia poszalał, z zamówionych 26 par nożyczek kupili nam pięć sztuk. KRAWIECKICH NOŻYC DO CIĘCIA MATERIAŁU, O DŁUGOŚCI OSTRZA 15 CENTYMETRÓW! Tymi nożyczkami można zamordować, oprawić barana lub przebić pancerz czołgu T-34, ale na pewno nie można ich dać sześciolatkom, a nawet dwunastolatkom. W efekcie leżały spokojnie w pokoju nauczycielskim i tylko czasem ktoś z nas coś nimi ciął. Jednym z obiegowych dowcipów został poniższy:

– Hmm, co im dać do roboty na ostatnie 30 minut?

– Cokolwiek, co wymaga wycinania.

Dwie pary nożyczek, czternaście osób – oceany czasu! Gorzej, gdy wcale nie chcieliśmy zabijać czasu, a musieliśmy czekać kilkanaście minut, aż każdy uczeń coś wytnie. Zanim ostatni kończył, to pierwszy już nie pamiętał, co wyciął.

Nasza fantazja nie poszła aż tak daleko, żeby wpisać na listę pisaki do tablicy – wydawało się, że o rzeczach oczywistych nie ma co mówić. W efekcie ostatnie dni niektórzy z nas mogli prowadzić lekcje, nie pisząc ani nie rysując niczego. Domówiliśmy, ale czas realizacji zamówienia miał wynieść osiem dni, więc nie doczekaliśmy go. W zamian otrzymaliśmy pisaki „trwałe”, nie do tablic. Nie dało się ich w żaden sposób używać.

Na początku dostaliśmy strugaczki. Większość z nich nie przeżyła pierwszego tygodnia. Solidna, rosyjska robota, strugaczki rozpadające się na kawałki podczas strugania.

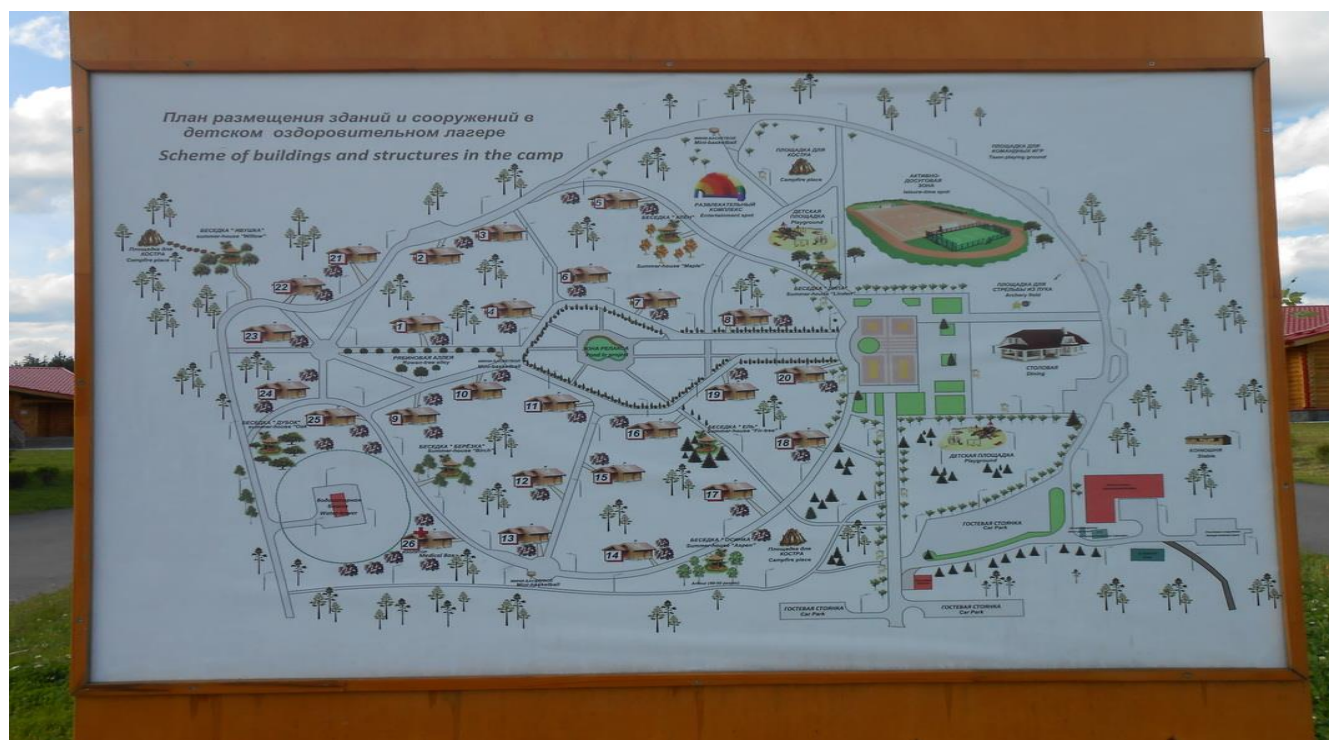
Już tylko z kronikarskiego obowiązku wspomnę braki papieru i pracę na absolutnych resztkach tonera. Powtórzę: każde dziecko płaciło 42 tysiące rubli. Dzieci było 265. Jednak i takie pieniądze okazały się niewystarczające, żeby zakupić każdemu przyborów za być może nawet i 100 rubli. Znajac mentalność pracodawcy, gdyby płacili i po 100 tysięcy, to nie udało by się kupić zestawów kredek po 40 rubli. Bo już nie mówię o tym, że absolutnie wypasiony zestaw niemieckich kredek to wydatek około 300 rubli. Po co, fajniej się koloruje ołówkami w 50 odcieniach szarości. Część problemów z projektami była właśnie tu pogrzebana – to teraz zróbcie wypasiony plakat, macie po kredce i ołówku, no róbcie! Szok, że kreatywność nie wybijała dziur w sufitach.

Cudem było to, że udał nam się projekt futurystycznych miast. Wszystko, co znaleźliśmy, to puste butelki po wodzie, trochę kartonu, nie za wiele kleju i taśmy klejącej. Dwa kawałki papieru kolorowego na grupę. W desperacji pozbieraliśmy nieco kwiatków, patyków i gałązek. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu powstały z tego wszystkiego miasta, niektóre całkiem interesujące i pomysłowe.

Wspominałem, że pierwszego dnia przetestowaliśmy wszystkich uczniów. Poszło całkiem sprawnie, a dzięki temu potem mieliśmy grupy mniej więcej dobrze spoziomowane. Niestety, moje Elementary było wyjątkiem od reguły, miałem tam wszystko, w tym Dimę. Mimo licznych prób nie udało nam się ustalić, jakim cudem Dima miał w papierach wpisane 12 lat, on sam twierdził, że ma 10, a wyglądał na góra osiem. Zazwyczaj dziesięciolatki nie ślinią się i nie robią „gugugaga”. Nie potrafił czytać ani pisać. Próby przeniesienia go do grupy dziecięcej nie powiodły się. Pierwsze kilka dni dwie dziewczyny mu matkowały, ale potem się poddały. W efekcie grupa go nie chciała, a on w niej nie chciał być. Nie wiem, jak np. grali w piłkę czy siatkówkę, bo w tej samej grupie był Igor, ponad 180 centymetrów wzrostu i jakieś 70 kilo wagi. Przynosiłem czasem Dimie łatwiejsze rzeczy, ale znowu nie da się ciągle prowadzić dwóch lekcji symultanicznie. Początkowo irytował mnie, bo przeszkadzał, ale potem było mi go głównie żal, bo widać było, że przez większość czasu jest mu smutno i się nudzi. Po zgłoszeniu tego drugi raz (po pierwszym nie było reakcji) władze obozu powiedziały, że ich to nie obchodzi. Ciekawe, czy rodzice zgłoszą się po wyjaśnienia. Mam tylko nadzieję, że nie do mnie.

Wisienką na edukacyjnym torcie było wystawianie dyplomów z ocenami opisowymi. Oczywiście nikt nam za to nigdy nie zapłacił, a była to robota, która nam zajęła każdemu po jakieś cztery godziny – jakoś nam o tym zapomnieli powiedzieć dokładniej przed wyjazdem. Dwa wieczory z życia przepadły, no tyle, że irytacja produkowaniem papierów (których połowa pewnie została wyrzucona, zanim wyszły

poza bramy obozu) owocowała dość radosnymi pomysłami. Na przykład: „Nigdy w życiu nie spotkałem Nikity, który nie byłby pizdą. Niestety, państwa syn nie stanowi wyjątku od tej reguły”. „Daria postanowiła brać udział tylko w tej części zajęć, która była dla niej interesująca. Czyli w absolutnie żadnej”.



Mapa terenu. W miejscu zaznaczonego na niej lustrzanego jeziora mieścił się...



...tajemniczy krater



Miejsce porannej męki naszych pociech, czyli plac apelowy. Dla zwiększenia okrucieństwa – umieszczony tuż przed stołówką

Opuszczając realia naukowe, nie samym katowaniem uczniów człowiek żył. Nasze wizje pewnego odpoczynku od Moskwy legły w gruzach, pracowaliśmy jeszcze więcej niż w stolicy, a czasu wolnego nie mieliśmy prawie w ogóle. W tym wszystkim jednak nie byliśmy w takiej złej sytuacji, znacznie gorzej miały rosyjskie opiekunki. Większość z nich była zrekrutowana spośród studentek. Domyślałam się, jak to wyglądało: „Słuchaj, super będzie, lekka robota, pojedziesz sobie, tylko ich prowadzisz na jakiś angielski, a potem piłkę i żarcie, no bajka będzie, zarobisz, jedzenie dostaniesz”. Potem zaś dziewczyny odkrywały, że ogarnięcie czternastu osób nie jest takie proste, a „pograsz w grę” niekoniecznie oznacza, że się ubawisz. Widzieliśmy, że poszli po kosztach, niektóre z nich miały wszystko gdzieś. Dzięki nim mogliśmy zrozumieć, jak bardzo nauka nie jest priorytetem naszych uczniów. Niektóre grupy były wiecznie spóźnione, kiedy indziej opiekunki potrafiły otworzyć drzwi i powiedzieć, żeby kończyć, bo one chcą odebrać uczniów. Szczęśliwie, zrobiły ten numer także naszemu przełożonemu i zamienił on z nimi kilka słów, co pozwoliło im zrozumieć, że tak nie wypada. Po raz milionowy widziałem, że nasza organizacja oszczędza, oczywiście w sposób kretyński i niebezpieczny. Kiedy indziej usłyszałem kucharki przeklinające zarobki i braki w zaopatrzeniu. Jeden z obiegowych dowcipów: „Dzięki pracy tutaj wiem, jakie są najtańsze rzeczy w Rosji: wszystko, co widzisz w szkołach i podczas seminariów”.

Gdy zachorowało pół obozu, miałem pewne podejrzenia co do źródeł infekcji – dwa dni wcześniej kucharki skarżyły się, że są obłożnie chore. Ponieważ jednak chorobowe u nas nie przysługuje (co według wiedzy wielu osób jest sprzeczne z rosyjskim prawem pracy), to ludzie pracują, dopóki nie padną. Gdy kilka dni później niemal wszyscy się pochorowali, lżej lub ciężiej, to miałem pewne podejrzenia, jak do tego doszło.



Sianokosy! Z jakiegoś powodu panowie koszący trawę robili to na raty, jakąś godzinę dziennie

Kuchnia rosyjska nie słynie ze swojej finezyjności. Nawet w samej Moskwie trudno znaleźć rosyjskie restauracje. Królują inne kuchnie – włoska, gruzińska, wszelakie azjatyckie. Gdybyśmy mieli złudzenia, czemu tak się dzieje, to ten obóz pomógłby nam zrozumieć problem. Rosyjska kuchnia jest umiarkowanie urozmaicona. Wszystko ma śladowe ilości smaku, jest raczej ciężkie i cholernie powtarzalne. Z jednej strony każdego dnia mieliśmy kilkanaście dań do wyboru. Jako wegetarianie musieliśmy skreślić jakąś połowę na starcie, ale i tak kilka opcji było. Codziennie takich samych.

Nawet nasi mięsożerni współpracownicy walili głowami w ściany, bo ich miłość do pulpetów nie wytrzymała dwutygodniowej próby. Nikt z nas przez najbliższe miesiące nie zje blinów ani naleśników. Ryż z warzywami też może musieć poczekać na lepszy czas. Szczęśliwie wzięliśmy różne sosy, więc w najtrudniejszych chwilach zalewaliśmy jadło na ostro lub sojowo i zapychaliśmy się tym. Królował recycling, czyli poniedziałkowy kotlet był wtorkowym pulpetem, a jeżeli go zostało, to śródową sałatką. Chleb z cukrem i rodzynkami stał się znienawidzonym deserem wszystkich uczestników obozu. Pewnego dnia paliłem pod kuchnią z pracownikami. Musiałem się przytrzymać barierki, gdy jeden z nich opowiadał o tym, że ukończył ostatnio klasę mistrzowską z robienia blinów. Nie wiem, jak można zrobić master klasy z przygotowywania blinów. Ile trwają? 10 minut?

Osobną opowieścią były desery: poza wspomnianym chlebem z cukrem o 16 dzieci dostawały przekąskę w formie słodczy. W zeszłym roku doszło niemal do zamieszek, bo pewnego dnia podano lody. Oczywiście nie policzono, ile jest osób, więc ich zabrakło. W efekcie wielu uczniów przyszło na zajęcia z płaczem, bo „Nika zjadła loda, a ja nieeeeeee”. Lekcje musiało się świetnie prowadzić. W tym roku problem rozwiązano isticie salomonowo: lodów w ogóle nie dano. W zamian były średnio dobre ciastka, obrzydliwe słodkie bułki i owoce. Pewną ulgą była wizyta rodziców. Tego dnia podano taką ilość owoców i dobrego jedzenia, że wszyscy byli zadowoleni. Niestety wizyta trwała tylko jeden dzień, już następnego powróciliśmy do dobrze nam znanych kasz i ziemniaków.

Jednym z napojów dostępnych każdego dnia był kompot. Niedobry, za słodki, bez owoców, większość z nas przestała próbować go pić po dwóch dniach. Jednak kolega z Kanady walczył. Przestał dopiero, gdy zobaczył, z jakiego wiadra go nalewają. Innego dnia poprosiliśmy o dużą butelkę wody. Następnego dnia ją przynieśli. Analiza zawartości sprawiła, że postanowiliśmy jej nie pić – pływały w niej rybnie łuski i białe paprochy. Przez myśl przeszło nam: z pobliskiej rzeki. Nie, nie zrobiliby tego...

Wylaliśmy wszystko i piliśmy butelkową. Gdy trochę później wiele dzieci się pochorowało i miało przesrane, mieliśmy podejrzenia, z jakiegoż to powodu doszło do tej epidemii.



Salon w naszej siedzibie



Tak zaś wyglądały domki w których mieszkały dzieci oraz nauczyciele. Wszystkie. Tak. Samo...

Mieszkaliśmy w zamkniętym ośrodku, dopiero co oddanym do użytku. Pierwsze wrażenie było powalające: wszystko czyste, nowiutkie. Wysokie sufity, poczucie przestrzeni, ładne meble, działające łazienki – w Rosji to wszystko to rarytas. Moskitiery w oknach, rolety, istna bajka, lepiej niż nasze mieszkanie. Po paru dniach jednak zaczęły ujawniać się pewne braki. Przede wszystkim woda miała powalający zapach i podobny wpływ na skórę. Zapewne niefiltrowana, a może i z rzeki. Pewnego wieczoru był *bang* – eksplodowała żarówka (Rosjanie kochają spieprzoną instalację elektryczną, jeżeli ktoś ma dobrą, to chyba siedzi po nocach i ją psuje, inaczej byłoby mu nudno). Innego dnia odpadła połowa klamki, a wentylacja pozostawiała wiele do życzenia. Jednak ogólnie za domki wstydu nie było, znacznie powyżej krajowych standardów i tu przynajmniej uczniowie widzieli, za co płacą.

Minusem zamkniętego ośrodka była absolutna niemożność zdobycia czegokolwiek spoza stołówki. Kilka razy odbyliśmy wyprawy do najbliższego sklepu (jakieś półtora kilometra), który to działał, gdy mu się podobało i oferował raczej podstawowy wybór produktów. Było piwo, czekolada i peps light. Z rzeczy całkowicie nieprzewidywalnych, przez trzy dni mieliśmy deszcz i koszmarny chłód, w pewnym momencie było 5 stopni! Nikt nie miał ciuchów na tę pogodę, więc ostatnie dni wszyscy chodziliśmy chorzy, a w niektórych grupach ubyłoby uczniów. Niektórym udało się nawet zebrać dublet i najpierw zatruć się pokarmowo, a potem przeziębici. Muszą mieć wspaniałe wspomnienia z wakacji.

Z zajęć pozalekcyjnych, dzieci mogły jeździć konno. Odpłatnie. Doprowadziło to do kilku dramatów – nie wszyscy mogli zrozumieć, że konie są płatne dodatkowo i że jak rodzice nie wykupili, to żadne krzyki i płacze nie przekonają nikogo do wpuszczenia ich do stadniny. Przejazdki były fascynujące, w kółko po dość małych rozmiarów wybiegu. Myślę, że udało się tym zanudzić dzieci, konie i obsługę, na pewno mnie, bo jak wychodziłem zapalić, to miałem świetny widok na tę część obozu. Poza tym nasi uczniowie mogli zajmować się jazdą na rowerach, sportami i różnymi kosmicznymi projektami. Znowu odnieśliśmy wrażenie, że nie było zbyt wielu pomysłów dla nastolatków – o ile ośmiolatki piszczeli z radości, malując sobie twarze w rosyjskie flagi, o tyle trudno oczekiwać takich reakcji od kogoś czternastoletniego. Gdy zepsuła się pogoda, okazało się, że planu B za bardzo nie ma, a na pewno nie na trzy dni. Dodatkową radością jest ta, że w Rosji pierwszy dzień lata wypada 1 czerwca – zapewne Rosjanie usiedli kiedyś z kalendarzami i postanowili mieć wszystko inaczej niż gdziekolwiek indziej. Początek lata powitał nas temperaturami 4-13 stopni, a w paru częściach kraju padał śnieg.

Mamy dość mieszane odczucia. Ciekawie się uczyło, nie mając żadnych wytycznych i mając absolutnie wolną rękę. Chwilami jednak owocowało to tym, że panował chaos, wartość naukowa niektórych projektów była dyskusyjna, a co gorsza nastolatki uznawały je za dość infantylne i średnio chciały w nich uczestniczyć. Myślę też, że żaden z uczestników obozu nie jest obecnie zainteresowany kosmosem, bo mieliśmy o nim tyle lekcji i materiałów, że na sam dźwięk tego słowa uczniowie wiedli, a i nam niewiele brakowało, żeby się zastrzelić. Liczyliśmy też na to, że dzięki obozowi będziemy mogli nieco odpocząć – w końcu bez dojazdów do roboty, bez wieczornych zajęć. A gdzie tam, ciężiej niż w Moskwie, wszystko robiło się na gwizdek, o określonej godzinie. Samo planowanie nierzadko przeciągało się do 23, bo „a może zrobimy to tak, a potem tak albo inaczej?”. W drugim tygodniu staraliśmy się dać sobie nieco *halt* z tym wszystkim, bo lekcje można planować do końca świata i jeden dzień dłużej, a i tak zazwyczaj pierwsze pomysły są najlepsze. Do tego problemy poligraficzne, komputerowe, stresujących momentów nie brakowało. Na pewno sobie nie odpoczęliśmy. Pewnego wieczoru kolega zasnął nad talerzem jedzenia, co dość dobrze symbolizowało nasz stan zmęczenia, zwłaszcza w środku drugiego tygodnia.

Wspominałem fatalnych uczniów, ale miałem też wielu bardzo dobrych. Niektórzy naprawdę wiele się nauczyli i pod koniec drugiego tygodnia wymiatali słowa o kosmosie. Było kilka lekcji, które wyszły świetnie, więcej niż porażek. Jest to też jakieś nowe doświadczenie, dość przydatne w świecie, w którym na obozach zarabia się całkiem nieźle. Miałem też potwierdzenie słów arcybiskupa Michalika, że dziecko Ignie i jeszcze drugiego człowieka wciąga. Niektórzy z moich uczniów rzucali mi się

w objęcia, widząc mnie na stołówce. Po ostatniej lekcji u najmłodszych miałem osiem osób na szyi. W Moskwie takie cuda się raczej nie zdarzają, bo i powodów do lubienia nas uczniowie mają znacznie mniej. Opiekunki mówiły nam, że wszystkie grupy chętnie chodzą na lekcje i uważają je za atrakcję obozu, niektórzy to się aż doczekać nie mogą. Gdy słyszysz coś takiego, to odpuszczasz wściekanie się o nożyczki i bliny, bo masz to rzadkie poczucie, że jednak dobrze, że nie zdecydowałeś się pracować w stoczni.

Na pewno wyjazd był sukcesem pod względem towarzyskim: umieścić siedem dorosłych osób w jednym domku to pewne ryzyko. Szczęśliwie, wszyscy się dogadywaliśmy, nikt nikogo od chujów i pizd nie wyzywał, nie porobiły się grupki, a dość często panował totalny odpał i odjazd. Większość z tego to był humor dość sytuacyjny, ale na pewno do końca świata nie zapomnę ćwiczenia, które opracował kolega. „Run & Touch” – w wersji klasowej bawi się w to tak, że rozwiesza się obrazki po ścianach, mówi słowo, a dzieci biegną i dotykają odpowiedniego obrazka, kto pierwszy, ten lepszy. W realiach obozowych padł pomysł: „run & touch”, domek numer 20. Widzimy się za piętnaście minut! Niestety, nikt z nas nie wykorzystał tego ćwiczenia. Dodatkową atrakcją były starcia kanadyjsko-amerykańsko-szkockie na znajomość języka angielskiego, które trwały przy prawie każdym posiłku. Kolega ze Szkocji przekonywał Amerykanów, że źle mówią, a Kanadyjczyk z kolei informował jego, że bredzi. Planując lekcje, strugając kredki, bijąc się z kserokopiarką i pisząc raporty, przegadaliśmy miliony spraw i wszystko wskazuje na to, że będziemy się spotykać także w Moskwie. Ostatecznie najlepiej podsumować cały wyjazd możemy liczbami użytymi niegdyś przez Denga Xiaopinga do opisanego dokonań Mao Zedonga: 70% dobrze, 30% źle.



Na pewne sprawy lepiej zaś opuścić zasłonę milczenia...

[21.07.2016]

Jednym z wielkich wyzwań pracy nauczyciela w szkole, do której uczniowie przychodzą po całym dniu pobytu w państwowej placówce tego samego typu, jest przygotowywanie lekcji, które będą ciekawe i zabawne. Jest jednak wielki problem: jeżeli przedobrzemy, to uczniowie przestaną traktować nas poważnie (jeśli założymy, że kiedykolwiek zaczęli). W praktyce sprowadza się to więc do balansowania między nudzeniem ludzi a robieniem z siebie i przedmiotu klauna, upraszczając na potrzeby tych rozważań. Staramy się, żeby podchodzili do np. testów poważnie, ale jednak na lekcjach próbujemy robić rzeczy ciekawsze niż „ćwiczenia od strony 20 do godziny 19”, chociaż może też niekoniecznie oglądanie *Nagiej broni* i filmów Adama Sandlera.

Na naszym zakładzie jest wiele działów – finansowy, księgowy, godzin lekcyjnych, kontraktów, zasobów ludzkich. To wszystko działa, raz lepiej, raz gorzej, ale działa. Są jednak dwie jednostki, które są chyba jedynie atrapami. Pierwszy to dział informatyczny, do którego nikt z niczym nie dzwoni, bo jak nie działa, to nie działa i tyle. Niektóre komputery mają ponad dziesięć lat, formatu dysku nie miały robionego właśnie przez mniej więcej tyle, ale i tak nie ma po co tego zgłaszać, bo nie przyjdą i nie zrobią. To jest jednak jeszcze pół biedy, zwłaszcza dla nas, z Linuxem nam w miarę idzie (wielu osobom za to nie). Drugi dział, którego istnienie jest enigmatyczne, to dział promocji. Gdyby nie tabliczka na drzwiach, to nie wiedziałbym, że takowy istnieje. Nie wiem, czy mają oni zerowy budżet, czy też zero pomysłów. Nierzadko widzimy na moskiewskich ulicach reklamy konkurencji, naszych szkół za to chyba nigdy. Kojarzę takie inicjatywy autorstwa działu promocji:

Ulotka w postaci mapki metra z zaznaczonymi szkołami. Szkoda tylko, że wzięto sobie starą mapkę, w efekcie np. linia numer jeden kończyła się na stacji Yugo-Zapadnaya, a tymczasem od grudnia 2014 roku dociągnięto ją do Troparyovo (potem dołożono jeszcze dwie stacje). No ale dobrze, mapka jest ładna, była w śladowych ilościach do wzięcia w szkołach (czyli przekonujemy przekonanych).

Zrób sobie selfie z logiem szkoły i wrzuc do netu, są nagrody – to wymyślił ktoś z pracowników i podał do działu promocji, po dwóch miesiącach pomysł wcielono w życie. Po jakimś miesiącu jest dokładnie JEDNO zdjęcie. Przynajmniej ktoś wygra sobie kurs angielskiego. Znowu o tym nie wiedział niemal nikt, no i takie są efekty, a raczej ich nie ma.

Pewnego dnia jeden z naszych przełożonych, który ma znacznie dłuższy staż pracy niż my, opowiedział nam o innej akcji promocyjnej, z czasów szczęśliwie minionych. Hasłem promocyjnym było...

RAZEM NA KARUZELI ŚMIECHU

Właściwie to się cieszymy, że oni nas za wiele nie promują. Gdyby moi uczniowie przyszli do mnie z pytaniami o karuzelę śmiechu, to chyba bym już tylko posprzątał półkę, oddał dzienniki i się ze wszystkimi pożegnał. Karuzela śmiechu kręci się bez końca, a na pełne obroty wchodzi, gdy masz lekcje do 22, a przynajmniej do 21:15. Gdy spędzasz dziwną ilość czasu w metrze, bo ktoś się pochorował i musisz jechać na drugi koniec miasta. Gdy masz jakiś cudownie nonsensowny dyżur w piątkowy wieczór. Filiżanki kawy na karuzeli śmiechu kręcą się, gdy wybucha epidemia grypy i wszyscy są chorzy. Muzyka rozbrzmiewa weselej, gdy odkrywasz, że masz w grupie ludzi, których dzieli jakiś rok nauki, ale wiesz, że i tak nic nie zmienisz, więc albo jednych nudzisz, albo drudzy nie rozumieją. I jeszcze jedna rundka na karuzeli śmiechu dla wytrwałych, gdy okazuje się, że po raz kolejny zwolniła się administracja, a ty czekasz na nich pod drzwiami, bo za chwilę zaczniesz lekcję.



Tak nas rozkręciła ta karuzela, że powstał powyższy obrazek. Bywa, że z takimi minami wsiadamy na kolejną przejażdżkę

Innym klimatem, który wprost uwielbiamy, jest sprzedawanie klientom nauki języka jako czegoś cudownie banalnego – pan sobie przyjdzie dwa razy w tygodniu, posiedzi i nic nie porobi, potem nie zrobi zadania domowego, nie napisze wypracowania, przez test się ledwo przeczołga, ale my gwarantujemy taką karuzelę śmiechu, że w pół roku o poziom pan podskoczysz, więc kupować bilety i wsiadać, bo już ruszamy. Ach, dobrze czasem wyjść z tego lunaparku!



Dobrze też czasem zobaczyć, jak promują się inne szkoły w innych krajach. Billboard International House w Rzymie. Da się? Da się!

[7.08.2016]

Nieodłączną częścią naszej pracy jest testowanie potencjalnych uczniów. Tak naprawdę nie ma potencjalnych uczniów, każdy kto zabłąka się w okolice naszej szkoły zostanie przydzielony do grupy. Przy tym, jaka w niektórych miejscach bywa pasja administratorów do otwierania nowych grup, wkrótce możemy zacząć przyjmować zajace, lisy i ptactwo wodne. Oczywiście odpowiednio przetestowane.

W świecie idei testowanie wygląda tak: nauczyciel siedzi w szkole i czeka na kandydata, który siedząc w domu zakłada sobie profil na naszej stronie, robi test online i umawia się na godzinę. Przychodzi, plus minus, o tej godzinie, a nauczyciel ma już wydrukowane wyniki i przygotowane pytania testowe, odpowiedzi na nie zadecydują o tym, czy wyżej, czy niżej. Jeżeli uczeń nie zrobił testu w sieci, daje mu się test pisemny. Następnie jest on sprawdzany przez administrację – mają taką kartkę-zaślepkę i szybciotko sprawdzają, nanoszą wyniki na papier, nauczyciel bierze je i po ich dogłębnej analizie idzie testować poziom mówienia, bo a nuż się okaże, że kandydat mówi lepiej, niż pisze i że skoro napisał na 10/60 punktów, to nagle nam wyjdzie, że mówi na C1 i że szkoda go trzymać na A1. Nigdy się tak jeszcze nie zdarzyło, ale przecież kiedyś może.

Tyle teorii. Życie. Wszystkie dyżury przeznaczone do testowania zawsze wypadają w najgorszych możliwych godzinach świata. Dzięki pracy na kontrakcie musimy odwalić kilka takich miesięcznie. Autor tych słów przez miesiące spędzał piątkowe wieczory, siedząc w sekretariacie jednej ze szkół i zastanawiając się „za jakie grzechy?”. Co gorsza, w tej szkole była emerytowana sekretarka, więc nawet nie dało się ćwiczyć sztuki omamiania płci przeciwnej (znane są przypadki, że ludzie brali śluby z administracją po tym, jak tak posiedzieli parę miesięcy). Od marca do końca maja na testowanie przyszło na me dyżury dokładnie ZERO osób. Okrągłe niczym księżyc w pełni ZERO.

Rzut na naukę języka wroga jest we wrześniu – rodzice ciskają w nas dziećmi, wtedy godziny testowe mają sens, kiedyś przerobiłem siedem osób w 90 minut. Drugi rzut jest w styczniu: ludzie robią sobie postanowienie noworoczne: „będę się uczył angielskiego!”. Klientom z tego naboru pasja siada do dwóch miesięcy. Bywają chlubne wyjątki. Kursy dla dorosłych są cały czas, więc w czerwcu miałem trochę więcej roboty, bo nie wszyscy mogą jechać na wakacje.

A jak wygląda samo testowanie oralne? Mając wyniki pisemne, dopasowujemy pytania: na niższych poziomach chcemy zobaczyć stopniowanie przymiotników i czasy bardziej podstawowe („Jesteś z Tambowa? Czym różni się Tambow od Moskwy?”, „Jak zmieniła się Moskwa w ciągu ostatnich pięciu lat?”). Na wyższych warunki („Gdybyś nie mieszkał/a w Moskwie, to w jakim mieście byś mieszkał/a?”). Totalna beczka śmiechu. Jazda po bandzie bez trzymanki. Ludzie przeżywają dramaty i nie do końca rozumieją, że większość ich odpowiedzi jest dość banalna i ja wiem, czym się różni Tambow od Moskwy, tylko chciałbym to usłyszeć od pacjenta w języku wroga. To, czy chciałby klient mieszkać w Karagandzie, Kinszasie lub Dżakarcie też mnie tak bardzo nie interesuje, chociaż z tym bywa ciekawiej, czasem ludzie mówią o tym, jaka Moskwa jest straszna. Jak to nie idzie, to jakieś hobby, z okazji Euro piłka nożna, jak były *Star Wars* i *Deadpool*, to wtedy to. Cokolwiek, żeby dostać parę zdań, które pozwolą poziom kandydata jakoś ocenić. Czasem ktoś deklaruje, że nie umie niczego, to już tylko wtedy trzeba zdecydować, czy Beginner, czy Elementary. System ten ma pewną logikę, ale my wymyśliliśmy lepszy. Wymaga on zadania tylko jednego pytania: „English, motherfucker. Do you speak it?”. Oto interpretacja odpowiedzi i dopasowanie wyników do poziomów:

- Szto? – A1.
- I English not good – A2.
- Yes, yes of course – B1.
- What? Yes. No. What? – B2.

Jeżeli usłyszeliśmy aż tyle, zadajemy pytanie dodatkowe, sprawdzające rozumienie bardziej skomplikowanych konstrukcji:

– Say *what* again. Say *what* again, I dare you, I double dare you motherfucker, say *what* one more Goddamn time! – i jeżeli słyszymy *what?*, to C1.

Gdybyśmy jednak usłyszeli:

– If my answers frighten you then you should cease asking scary questions. – to zdecydowanie C2.

Working on a dream

[7.08.2016]

Miesiące wiosenne są dla nas zawsze czasem decyzji: zmieniamy pracę czy nie? A jak zmieniamy pracę, to czy zmieniamy też kraj? A jak kraj, to może i kontynent? Tak było i w tym roku. Oto czynniki, które w tym sezonie wpłynęły na naszą decyzję. Najpierw minusy, bo lista rzeczy, które nas męczą, jest wcale niekrótka. Są na niej:

1. Obłożenie pracą.

To jest mordercze. Uczenie 30 lekcji tygodniowo wykańcza. 24 też solidnie daje w tyłek, ale to się jeszcze da ogarnąć. Nasz pracodawca uważa, że podstawowy kontrakt musi być na 30 godzin tygodniowo. Przeważająca większość nauczycieli schodzi z niego po kilku miesiącach (w tym autor tych słów), bo albo rezygnujesz z życia poza pracą, albo jakoś lekcji idzie na dno. Jest tylko jeszcze jeden kraj, w którym widziałem takie warunki zatrudnienia, i jest to Polska. Większość ofert z Europy to 20 do 24 godzin tygodniowo.

Dla ludzi nieparających się pracą nauczycielską: 30 godzin lekcyjnych tygodniowo przekłada się na około 50-60 godzin faktycznych. Przy 5 dniach w tygodniu oznacza to 10-12 godzin pracy dziennie, nie wliczając dojazdów. Czyli mówiąc najprościej, jak się da: wstajemy rano, jemy śniadanie, bierzemy prysznic, siadamy do lekcji. Po jakichś 3 godzinach jemy lunch i idziemy do pracy. Po 6-7 godzinach w szkole wracamy do domu, jemy obiad/kolację i siadamy do lekcji. Jak dobrze pójdzie, to o 23 możemy odpalić jakiś film, w połowie którego zaśniemy.

Oczywiście wszystko zależy od danej szkoły (niektóre sieciówki dają nauczycielom gotowe materiały do lekcji), od podręczników, od rodzajów kursów i od ambicji nauczyciela. Na ogół na lekcje z dorosłymi przygotowuje się dużo mniej materiałów niż na lekcje z dziećmi czy nastolatkami, bo podręczniki dla dorosłych są sto razy lepsze od podręczników dla młodszych. Dla nas przy dzieciach i nastolatkach dochodzi jeszcze zabawa w testy, pisanie raportów, walka z fatalnymi podręcznikami, czasem walka z administracją, której nie podoba się, że trzeci raz w miesiącu prosimy, żeby poinformowali rodziców jakiegoś ucznia, że tenże od dwóch miesięcy nie zrobił żadnego zadania domowego. Oczywiście, są też nauczyciele, którzy swój czas pracy ograniczają tylko do tego, co robią w szkole. Oni najczęściej po roku w „normalnej” szkole jadą spędzić resztę życia w Chinach. I dziwią się, dlaczego inni na nie narzekają.

2. Godziny pracy.

Powroty do domu o 22, a nawet po 22. Aligator przez 3 miesiące kończył w piątki zajęcia o godzinie 22, raz nawet o 22:30, bo uczniowie mieli bardzo dużo pytań. Zdarza nam się wychodzić na dwanaście godzin, bo a to trzeba po coś do biura centralnego pojechać, a to jest jakiś ciekawy wykład/szkolenie, a to potrzebne książki. Do tego nierzadko miewamy nonsensowne dyżury, na które

nikt nie przychodzi, ale wysiedzieć musisz. Przez to kolację jesz o 22, zdrowe to na pewno nie jest. Jednak jeżeli masz zajęcia niemal ciągiem od 15:30 do 21:15, to kiedy masz ją zjeść?

3. Administracja, a raczej podejście do niej.

Moskwa jest duża, ludzie kończą studia cały czas, więc zawsze się kogoś do pracy znajdzie. Dzięki temu w jednej z moich szkół miałem cztery obsady, w drugiej trzy. Jeżeli ktoś pracuje dłużej, to znaczy że nie ma wyboru. Przez to w innej szkole miałem obsadę administracyjną w wieku 50+. Szybko zrozumiałem, dlaczego istnieje dość długa lista nauczycieli, którzy odmawiają uczenia tamże, a nawet znane są przypadki ludzi, którzy zerwali kontrakty przez tę szkołę. Nonsensem jest system motywacyjny dla administratorów, który ustawia poprzeczkę tak, że większość nie jest w stanie wyrobić normy, więc im jadą po wynagrodzeniu i po paru miesiącach odchodzą. W jednej ze szkół miałem cudowną administrację, bym nosił na rękach, gdyby to byli moi pracownicy. Niestety nie byli.

Najlepsza zasłyszana przez nas historia w tym temacie: w jednej ze szkół Aligatora administratorka, kobieta koło 60-ki, bardzo kulturalna i obeznana w branży, musiała wziąć urlop z powodów zdrowotnych. Na jej miejsce na 2 tygodnie przysłano dziewczynę z innej szkoły. Dziewczyna była bardzo fajna i dawała sobie ze wszystkim radę, no ale nie mogła zastępować tamtej przez cały czas jej urlopu, więc w końcu przysłano kogoś nowego. Nowy administrator był mężczyzną. Nie chcemy być seksistami, ale jak jakiś mężczyzna idzie na administratora do naszej szkoły, to na ogół znaczy, że już naprawdę nie mógł znaleźć żadnej innej roboty. Na dodatek facet nie mówił za wiele po angielsku. Przez pierwszy dzień szkolenia był załamany stopniem skomplikowania obowiązków i ogromem wiedzy, którą musi posiadać. Następnego dnia dalej wyglądał na podłamanego. Trzeciego dnia został sam. Czwartego się zwolnił. Na jego miejsce przysłano znowu kogoś nowego. Podobno kobietę przeszkolono w jednej z większych szkół, więc sądziła że tam też będzie pracowała. Kiedy ujrzała, że jej miejsce pracy mieści się w ciemnym pomieszczeniu 2x4 metry bez okien, a toaleta jest w budynku obok, postała 20 minut w drzwiach, po czym bez słowa obróciła się na pięcie i wyszła. W efekcie 60-letniej administratorce trzeba było skrócić urlop.

Są punkty neutralne:

1. Mieszkanie.

To, które zajmujemy, powstało w latach 70. Przeszło jakiś remont gdzieś może we wczesnych 90. Odpadające kafelki, ciekące krany, problemy z prysznicem, odpadające klepki parkietowe, a raz nawet eksplodująca żarówka. Salon dość ciemny, zazwyczaj po godzinie 15 można już zapalić sobie światło, żeby cokolwiek było widać. Sąsiad, który jest muzykiem i lubi o 4 rano poćwiczyć tłuste bity, a we wspólnym korytarzu OD 4 MIESIĘCY trzyma nowiuteńki, zrolowany dywan, jeszcze zafoliowany. Drugi sąsiad, który w święta narodowe bije żonę i dzieci (zapewne jest wtedy pijany) i dewastuje swoje mieszkanie. Jednak okolica jest w miarę miła i dość zielona, sklep kilka minut obok, bezpiecznie (no, poza przypadkiem uzbeckiej niani). Ogrzewanie działa, kuchenka też działa, lodówka działa, telewizor z wyjściem HDMI umożliwia oglądanie filmów na dużym ekranie, żelazko i deska do prasowania umożliwiają dbanie o ciuchy. Jedna ze szkół kilka minut na piechotę – oczywiście w niej chcieliśmy mieć jak najwięcej lekcji i udawało nam się tam robić dwa dni w tygodniu. Do centrum jesteśmy w stanie dostać się dość szybko. Nie jest to penthouse ruskiego milionera, ale nie jest też nora, gdzie tłucze się karaluchy większe od karakali.

2. Wynagrodzenie.

Nasz pracodawca zdaje się nie przyjmować do wiadomości, że obecny kurs rubla to nie 30 za dolara, tylko jakby dwa razy mniej. Z tej okazji mamy dodatki w wysokości np. 90 rubli, które mają nas motywować do brania bardziej męczących kursów. No za 3 USD ekstra za 45 minut zapewne byłoby większe branie niż za 1,5. Pensja nie zabija, ale jest wypłacana na czas i pozwala na życie na sensownym poziomie (czyli: dwa razy w tygodniu możemy zjeść obiad w jakiejś restauracji, raz w tygodniu iść do kina/muzeum/teatru/opery i jeszcze nam trochę zostanie). Gdy się mija staruszki przy metrze, które to mają jakieś szalowe 10k rubli emerytury i handlują domowymi powidłami, to jakby mniej widzi się powodów do narzekania na swój los. Widzi się ich więcej, gdy dowiaduje się, jakie są pensje np. w bankach.

3. Rosjanie jako ogół.

Większość Rosjan ma głęboko gdzieś wszystko i wszystkich. Nikogo nie interesuje historia twojego życia. Uśmiechnięty nieznajomy Rosjanin to niemal oksymoron. Jednak gdy ludzie lepiej cię poznają, nierzadko znajdziesz w nich nieco serdeczności, zrozumienia i uśmiechów. Powiedziałbym, że potrzeba na to około trzech miesięcy, wtedy jest szansa, że po takim czasie znajomości Rosjanin nieco się wyluzuje i otworzy. Chyba najbardziej przerażające jest podejsie Rosjan do jakichkolwiek zmian. Gdyby ktoś wystartował z hasłem Obamy „Change!”, to by nie zebrał 1% głosów. Nie ma się co dziwić, gdy Gorbaczow zaczął zmieniać system, wszystko padło, ludzie potracili pracę i pieniądze. Lata 90. wspomina się jak najgorszy horror, z chorym i pijanym Borysem, który kompromitował kraj na zewnątrz, a gospodarkę zamordował. Do tego bandyckie prywatyzacje i Nowi Ruscy. Z tego też bierze się popularność Putina, Rosjanie go jakoś dziko nie kochają, ale uważają, że da się żyć i wstydu wielkiego nie ma. Do tego wiele się poprawiło, bo obecnie jest mniej więcej tak, że połowę budżetu się kradnie, a drugą połowę przeznacza na inwestycje. No a kiedyś kradli cały, więc zasadniczo się poprawiło.

Dla przeważającej większości znanych mi Rosjan polityka jest nudna, nieinteresująca i w ich mniemaniu nie ma ona większego wpływu na ich życie. Prawdziwie jednak zwiędłem, gdy po Nocy Długich Szpadli niemal wszyscy moi znajomi mówili, że władza ma rację.

Wielu Rosjan przeżywa życie bez większych kontaktów z Kremlem i administracją lokalną, ale jak ich już walnie, to wtedy zostają aktywistami – a bo kogoś wywalono z mieszkania, a bo kogoś wpakowali przez pomyłkę do pierdła (a że system nie popełnia pomyłek, to odsetek wyroków uniewinniających jest bardzo niski). Jednak przeważająca większość woli siedzieć cicho, bo przecież to najlepszy czas, jaki w Rosji był od mniej więcej stulecia. Nie spodziewałbym się wielkich zmian w Rosji po wrześniowych wyborach. Chyba jedynym pozytywnym wyjątkiem i pokazem jakiegoś myślenia wolnego od kremlowszczyzny była rocznica zabicia Niemcowa, gdy tysiące ludzi (w tym i my) zebraliśmy się przy miejscu zamordowania opozycjonisty.

4. Bycie Polakiem w Rosji.

Poziom trudności jest średni, niższy niż się spodziewałem. Gdy Rosjanie dowiadują się, jaki mam paszport, najczęściej reagują zdziwieniem i pytaniami, na co mi u nich żyć. Polska to dla nich Zachód i dziwią się, gdy mówię, że ja ogólnie lubię Moskwę i Rosjan. Czasem pytają, co w Polsce piszą o Rosji, zdarzyło mi się spotkać osobę, która absolutnie kocha Polskę i uczy się polskiego. Kiedyś w barze barman niemal zemdłał, gdy się dowiedział, skąd jesteśmy, odetchnął głębiej i powiedział „Ech, witajcie!”. Myślę, że Rosjanin mieszkający w Polsce ma o wiele gorzej niż my. Zdarzało mi się też, że Rosjanie odkopywali jakieś polskie korzenie albo mówili co im się podobało w Polsce, jeżeli kiedyś mieli (nie)szczęście być.

Radosne plusy:

1. Praca.

W odróżnieniu od Chin, ludzie widzą zależność między jakością a pieniędzmi. Z każdej strony jesteśmy motywowani do uczenia według najwyższych standardów. Nikt nie powie: „a rób sobie, co chcesz”. Na wszystko mamy tabelki, sylabusy, wytyczne i wskazówki. Jest pewna dowolność na robienie zmian, ale np. podręcznika sobie nie zmienisz. Gdy przychodzi klient i go to interesuje, może zobaczyć i wyliczyć, co i kiedy jego dziecko będzie umiało (dla jednych działa bardziej, dla drugich mniej). Testy są standaryzowane, zazwyczaj oparte na egzaminach Cambridge. Nie ma mowy, że ktoś nam powie „a, nauczcie ich angielskiego”. Ludzie, z którymi pracujemy, piastują swoje stanowiska, ponieważ mają doświadczenie i na nie zapracowali, a nie bo zapisali się do Komunistycznej Partii Chin czy Rosji. Jeżeli jest jakaś dziwna sytuacja, to piszesz maila lub idziesz do osoby, która się tym zajmuje. Problemy się rozwiązuje, a nie ignoruje. Niemożliwe jest, żeby ktoś histeryzował albo krzyczał. Jest to wybitny skok jakościowy. Często widzimy sensowność tego, co robimy, wiemy, kiedy kursy się kończą, wiemy dokładnie, kiedy będą testy.

2. Współpracownicy.

Tak się składa, że Moskwa nie jest w Azji i na nikim nie zrobi wrażenia to, że jesteś Amerykaninem. Znamy przypadki natywów którym szło tak fatalnie, że szkoła nie przedłużała im kontraktów. Znamy też ruskich nauczycieli, którzy są tak dobrzy, że nikt im nie podskoczy. Jedną z bardziej cenionych nauczycielek języka angielskiego jest Niemka. Specjalistką od dzieci jest Polka. Jedne z najlepszych szkoleń prowadzi Rosjanka.

Zdarzają się oczywiście dziwniejsze okazy – pan z Australii, który ma żonę i dwójkę dzieci, ale obraca też sekretarkę w jednej ze szkół i mami ją wizjami wspólnej przyszłości. Rosjanka, która nie rozumie podstawowych poleceń nawet po rosyjsku. Pewnie jakieś inne też. Jednak dobre 80% współpracowników to zajebiści ludzie, z którymi możemy spędzić dowolną ilość czasu. A paszport w żaden sposób nie decyduje o niczych kompetencjach.

3. Uczniowie

Największa grupa, jaką uczyłem, liczyła dziesięć osób. Trwało to krótko, bo rodzice szturmowali szkołę, że to za dużo i że to przecież niepoważne. Miałem grupy po cztery-sześć osób, pod koniec roku bywało, że zostawały dwie. Dzięki temu znałem moich uczniów więcej niż dobrze, wiedziałem, co lubią i że jednych lepiej cisnąć, a innych chwalić. Blok dla nastolatków trwa 135 minut, dwa razy w tygodniu daje to 270 minut, czyli po jakieś 40-50 minut na osobę. TYGODNIOWO! Niektóre grupy miałem przez ponad 30 tygodni, bywały dni, że więcej czasu spędzaliśmy z naszymi uczniami niż sami ze sobą. Wiedziałem, jakie lubią filmy, muzykę, co ich rozbawia, co nie. Ci ludzie mają zainteresowania, pasje, często w jednej sali kilkanaście różnych. Na tym da się robić lekcje i pracować. Bywały dziwniejsze jednostki, ale ogólnie mieliśmy wielu uczniów, których polubiliśmy i nie cierpieliśmy przesadnie, rozmawiając z nimi o czymś tam.

Niektórzy weszli we wrześniu jako jeszcze dzieci (znamy przypadki uczniów, którzy jedli worksheets, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę), pod koniec maja wychodzili jako całkiem inni ludzie. Fajnie się obserwuje takie zjawiska, że grupa dwunastolatków kocha ojczyznę i jaki mamy piękny kraj! Chodźmy umierać za ojczyznę! Grupa szesnastolatków za to powie, że Rosja to syf, korupcja, bandytyzm i złodziejstwo. Nocną zmorą chłopców jest to, że mogą zostać wzięci do wojska jeżeli nie zdadzą na studia – legendarna korupcja na komisjach wojskowych podobno się skończyła jakieś dwa lata temu.

Rosyjski szesnastolatek jest zazwyczaj już dość dobrze przetestowany przez życie, wie, co to alkohol, seks i miękkie narkotyki. Miałem parę razy ubaw – uczennica przyszła w koszulce Venoma i była pewna, że mnie zaszokuje, a jej się rzuciłem w objęcia, że Venoma to tak nie kocham, ale czy lubi Slayera, bo ja, kurwa, uwielbiam. Potem przyszła w Nirvanie i sobie porozmawialiśmy o wyższości *In Utero* nad *Nevermind*. Inny uczeń myślał, że zrobi wrażenie, mówiąc o tym, że lubi palić marihuanę. Zapytałem go więc o haszysz, okazało się, że nie wie, jaka jest różnica, więc przegadaliśmy całą grupą kilkanaście minut o narkotykach (miałem potem pewne obawy, czy nie powiedzą w domu, że pan nauczyciel taki mądry i wszystko wie, chyba nie powiedzieli). Mój kolega kiedyś wyszedł podobnie zestrachany, bo jakoś tak lekcja zesłała, że opisywał swoje tripy po jaraniu, a uczniowie swoje. Aligator miał lekcję o medycynie, która jakoś przypadkiem zesłała na kontrowersje w tejże i skończyła się na moralnych aspektach eutanazji.

O jakże przyjemniej pracuje się z takimi ludźmi niż z wiecznymi dziećmi z Chin! Mieliśmy też dorosłych uczniów, tam w trakcie lekcji można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy, bo obok siebie może siedzieć bankier, inżynier, rzeźbiarka i prawnik (miałem taką grupę). Każdy odpowie w inny sposób na to samo pytanie. To naprawdę bywa ciekawe i sprawia, że uczenie języka wchodzi na wyższy poziom niż „wpisz poprawny czasownik”.

4. Moskwa

Miasto, w którym każdy się spieszy, a wszyscy są i tak spóźnieni. Gigantyczna aglomeracja, w której jest wszystko, od krańcowej biedy do obrzydliwego bogactwa. Najlepszy system komunikacji miejskiej, jaki w życiu widziałem. Miasto, w którym kochany przez krakowskie MPK termin „potoki ludzkie” widzi się każdego dnia. Chciałbym spytać ludzi, którzy zakładali ten gród: z jakiego powodu wybraliście sobie miejsce, w którym zima jest lodowato zimna, lato koszmarnie gorące, w okolicy nie ma żadnych gór, za to dość często wieje. I mimo tego jest to najciekawsze miejsce w jakim żyłem. Oferta restauracji (my raczej wybieramy te nierosyjskie), kin, teatrów, różnych ciekawych miejsc powala. Koncerty, są koncerty! Szkoda, że akurat Rosja jest na noże z całym światem i szkoda, że waluta kiepsko stoi, bo kiedyś w Moskwie grało niemal wszystko, a teraz ofertę mamy nieco przebraną. Jest co ze sobą zrobić w wolnym czasie, a dość często jest tyle rzeczy, że trzeba wybierać. Na pewno niemożliwe jest nudzenie się, po roku nadal mam miejsca, do których się nie zdążyłem wybrać.

5. Paszport

Przez rok nie usłyszeliśmy zbyt wielu komentarzy o tym, że szkoda, że nie jesteśmy z UK lub USA. Uczniowie mają to gdzieś. Ich rodzice wychodzą z założenia, że skoro pracujemy, gdzie pracujemy, to znaczy, że mamy kwalifikacje. Raz usłyszałem: „O, jak z Polski i nauczyciel, to znaczy, że zna się na uczeniu!”. Nie robi nam się wyrzutów z powodu zbrodni uczenia angielskiego, gdy nie jest się natywami. Po chińskich komentarzach (wliczając w to Polaków) daje to przyjemny komfort psychiczny, że jest się ocenianym za faktyczną pracę, a nie za paszport.

Jeszcze w temacie dokumentów podróżniczych: horror pod tytułem wiza pracownicza jest w Rosji raczej komedią, wymagającą trochę podreptania, ale nie ma klimatów „praca na nielegalu i kary finansowe”. Wszyscy pracują na legalu, mam nawet rosyjski numer podatkowy i zbieram na ruską emeryturę. Z niej nie dałbym rady hodować nie tyle jenota, co złotej rybki, no ale płacę na to. Wiem, że mnie nagle na lotnisku nie zgarną i nie zapytają o powód pobytu, bo mam to wszystko w papierach.

Pewnego marcowego wieczora odbyliśmy rozmowę. Nie była przesadnie długa. To wszystko przerabiamy każdego dnia-tygodnia. Mało o tym rozmawiamy. Jeszcze jeden kontrakt w Moskwie. Do mniej więcej końca marca.

Musimy w końcu iść do tego muzeum czołgu T-34 i na wykłady do centrum Sacharowa. I jeszcze tyle dzieci można nauczyć alfabetu i pokolorować wspólnie koty.



Ukochane ćwiczenie na liczby, kolory i przyimki, znalezione w jednej z księzek z serii Timesaver

Przy okazji chcielibyśmy zauważyć pewne dziwne zjawisko: ledwo wyjechaliśmy z Chin, skończyły się tu komentarze o tym, jakimiz to smętnymi bucami jesteśmy. Jakie to mamy wygórowane oczekiwania od życia. O tym, jak bardzo nie doceniamy tego szczęścia, że mamy pracę za kopsiątką miskę ryżu. Ciekawe, dlaczego? Na pewno nie dlatego, że w momencie, gdy się przenieśliśmy do innego kraju – do Rosji! – to nagle nasze życie i praca wskoczyły na nowy poziom. Że skoro mamy internet bez cenzury, to już jakoś lepiej się żyje, bo z bliskimi można komunikować się w każdej chwili, a nie czekać tydzień aż Skype łaskawie się połączy. Że skoro możemy w każdej chwili wyjść na miasto i znaleźć coś ciekawego do zobaczenia – muzeum, galerię, spektakl, koncert – to nasze zadowolenie z życia nie opiera się na kupnie nowej torebki made in China za 50 kuai czy na zjedzeniu makaronu za 5 rmb. Że jeżeli nie pracujemy z krańcowymi kutasiarzami, to nagle przestajemy o nich pisać. Że jeżeli nasze klasy są jakoś tam przetestowane odpowiednio do poziomów, to praca przestaje przerażać. Że skoro nasi przełożeni nie są analfabetami, to jakoś inaczej do nich podchodzimy niż do tego, co miewaliśmy w Chinach. Że jeżeli mamy na sali pięciu uczniów, to inaczej pracujemy, niż gdy miewaliśmy 60, a nawet 76.

Moja prasówka codzienna zahacza też o Chiny i gdy czytam newsy o tym kraju, to jak jestem ateistą, to na kolanach Bogu dziękuję, że wyjechaliśmy. Ciągła droga w dół, więcej cenzury, więcej nacjonalizmu, więcej głupoty, za to gorszy kurs waluty i giełda zmierzająca do piekła. Partyjni kacykowie czytający komunikat, ten sam komunikat, który się od lat nie zmienił.

I teraz tak sobie myślimy: czy w tym przypływie bogactwa ChRL płaci ludziom za pisanie takich rzeczy, czy też rodakom jest tak głupio przyznać się, w jak strasznie nędznym kraju żyją i dlatego reagują agresywnie na ludzi, którzy OBIEKTYWNIE opisywali realia życia w Chinach. Jednak rodacy tam żyją i żyć będą, bo chyba nigdzie indziej nie jest tak łatwo zarabiać pieniądze jak w Chinach. Tylko cena tego zarobku jest zbyt wielka. Wybierając Moskwę, zdecydowaliśmy się na znaczne obniżenie dochodów. Ani razu nie żałowaliśmy tej decyzji. Jedyne, czego żałowaliśmy, to że zdecydowaliśmy się na to tak późno. Że tak długo naiwnie myśleliśmy, że w Chinach można mieć normalną pracę i życie. Tu wielkie podziękowania do polskiego świata blogowego, który wspiera ten chory kraj i tworzy pozory, że w Chinach żyje się świetnie. Nie będziemy opowiadać, że nasze życie w Rosji to jakaś bajka. Jednak po Chinach jest to dla nas awans cywilizacyjny o kilkanaście długości.

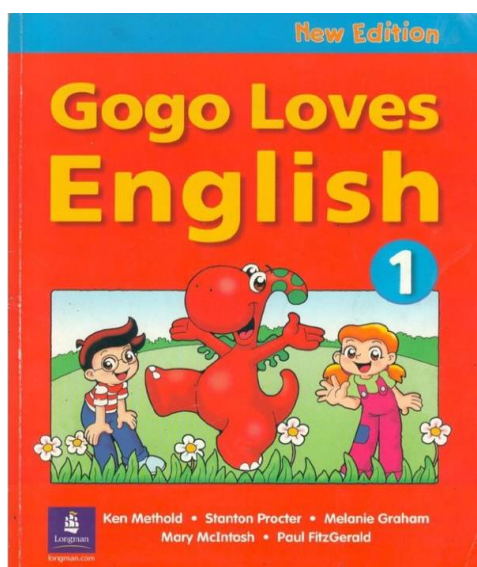
Czasem tak bywa, że uczy się dziecko

[19.10.2015]

Wielki rosyjski pisarz Fiodor Dostojewski napisał, że obcowanie z dziećmi uzdrawia duszę. Dzięki temu wiemy, że Dostojewski nie uczył dzieci. Ponieważ my je uczymy, postanowiliśmy podzielić się spostrzeżeniami nieco głębszymi niż te jego autorstwa. Na potrzeby tych rozważań dziećmi określamy grupę wiekową 3-5/6 lat.

Po pierwsze, uczenie dzieci nie ma na celu żadnego uczenia dzieci. Grupy te istnieją w celu zarobienia *choroszej* kopiejki. Im szybciej się z tym pogodzimy, tym lepiej dla nas jako dla nauczycieli. Oczywiście, jeśli bardzo chcemy, to możemy coś tam uczyć, ale już programy jasno pokazują, że oczekiwania nie są przesadnie wyśrubowane. Zawierają one zapisy w stylu, że po skończeniu kursu dzieci będą potrafiły siedzieć na krześle. Przez jakiś czas próbowaliśmy zrozumieć, jaki związek ma uczenie angielskiego z uczeniem siedzenia na krześle, ale polegliśmy. Uczyć języka w miarę potrafimy, uczyć siedzenia na krześle niestety nie. Zapewne istnieje jakaś metodologia i dla tej dziedziny wiedzy, ale nam nie byłopóki co dane jej poznać. Potem test: czy wysiedzi 30 sekund? Wysiedział, zdał! A na następnym poziomie to już nie przelewki, tam trzeba siedzieć minutę!

Innym zadaniem kursu jest takie, że dziecko nie będzie płakało, nie widząc rodzica przez „okres czasu”. „Okres czasu” to dość ogólny zapis, w końcu minuta to też „okres czasu”.



Ten skaczący fiut w zielone kropki to smok Gogo

Jak się na kilka minut włączy dzieciom filmidło, że smok Gogo kocha angielski, to są szanse, że nie zauważą braku rodziców, bo smok Gogo jest ciekawszy niż rodzice. Niestety produkcje ze smokiem są dość krótkie, a potem jesteśmy my, my zazwyczaj jesteśmy mniej interesujący niż Gogo i bywa ryk.

Tak więc widać jasno, że mówimy o cyrku. A skoro jest cyrk, to muszą być klauny i małpy. Niestety, to my. Bo poza tym, że dzieciom pokażemy arcydzieła światowej kinematografii o smoku Gogo i jego dzikiej namiętności do języka angielskiego, to musimy jeszcze jakoś zabić pozostałe kilkadziesiąt minut lekcji.

Najważniejsze: należy zdać sobie sprawę, że to jak bardzo cierpimy przez te dzieci, to zaledwie odprysk tego, jak bardzo cierpią ich rodzice. Ci ludzie płacą za to, że nie muszą oglądać swoich pociech przez jakieś dwie godziny. Gdy patrzymy na ten bezmiar dramatu, który wchodzi do klasy, sami zastanawiamy się, czy nie dałoby się komuś zapłacić za zdjęcie tego krzyża z naszych ramion. Jak wspomniano na początku, jeżeli bardzo chcemy, to coś tam sobie możemy uczyć, ale jest to raczej niebezpieczne dla zdrowia psychicznego i ogólnego samopoczucia. Podstawą sukcesu jest przynoszenie dużych ilości papieru. Gdy siedzący pod salą rodzice widzą, jakie naręcza bumagi tachamy ze sobą, to od razu wiedzą, że jesteśmy fachowcami i że na pewno opłaca się za czas spędzany z nami płacić. Syberyjskie bory płaczą, ale co zrobić? W końcu *chorosza* kopiejka sama się nie robi.

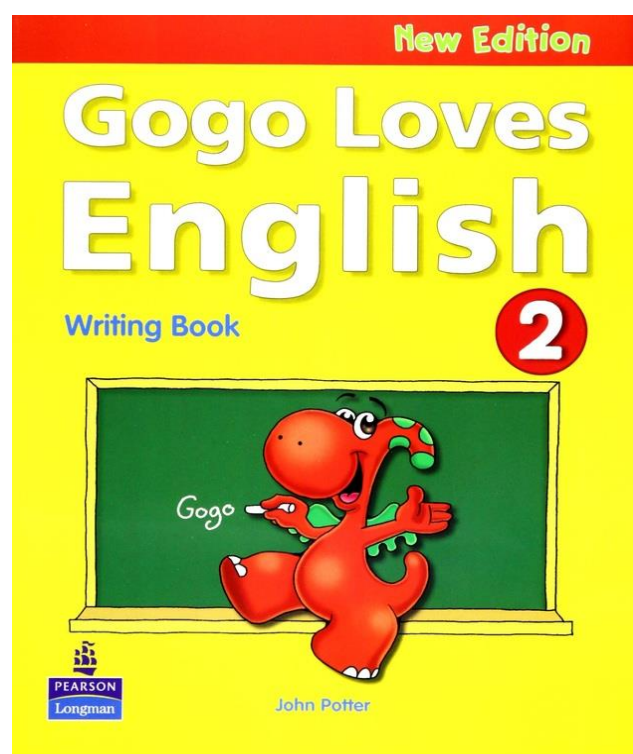
Jeszcze zanim rozpocznie się lekcja, bywają już pierwsze straty: a to ktoś złamie krzeselko (szczęśliwie są z Ikei i naprawia się je na bieżąco). A to ktoś wejdzie pod stół, spróbuje zrobić z jego pomocą rzymskiego żółwia i stolik wywali. Można też znaleźć jakieś pinezki i próbować nimi dźgać innych. Dobrze rozegrany początek lekcji to często kilka minut sadzania podnieconej gawiedzi po sali.

Gdy już usiądą, trzeba sprawdzić zadanie domowe. Zadania zazwyczaj robią rodzice, ale oczywiście, że nie draży się tego tematu. Coś tam popisane jest? Jest! Ma to sens? To już zależy od poziomu zdolności językowych i rysunkowych rodziców. W naszych oczach zawsze ma sens, no bo czego oczekiwać? To, że ktoś tego dotknął, znaczy, że się interesuje, a jak się interesuje, to progres jest. Negatywnej formy skomentowania zadania domowego nie ma. Można oczywiście opieprzyć rodzica, żeby się zabrał do pracy i kolorował motylki, bo jak to wygląda, że Sasza ma tak smutno w ćwiczeniówce? Po rozpoczęciu lekcji może nas kusić, żeby zrobić coś z sensem. To bardzo zły pomysł. O wiele lepiej dać im jakiś papier i kredki. Ewentualnie farby, ale to trochę jak zabawy z odbezpieczonym granatem odłamkowym, a i efekty też lubią być podobne. Tak więc siedzimy, podajemy dzieciom kawałki syberyjskiego boru zamienionego na papier i patrzymy z niedowierzaniem, co one z nim robią. No przecież „pokoloruj kotka i słońko” nie może nikogo pokonać. Patrz, tak to ma plus minus wyglądać: słońko żółte – tu masz żółty (Nie, nie słońko w Moskwie, w Moskwie nie ma słońka. Masz dziadka w Tambowie? To to jest słońko u dziadka, takie żółte). A tu kotek. Kotek niech będzie szary, jak mówimy: „poproszę szarą kredkę”? Hmm, a „szary”? No super, masz tu szary.

Już w pięć sekund po rozpoczęciu ćwiczenia widzimy, że przekombinowaliśmy. Kolorowany jest stół, słońce staje się czarną plamą i prostokątem, a kot mieni się odcieniami fioletu. Patrzysz więc i widzisz, że to straszne gówno. Co robić dalej? Dać parę rubli na fundusz ochrony syberyjskich borów? Załamać się, że lekcja do niczego nie prowadzi? Ależ gdzie tam! Oczywiście, że należy te prace zebrać i przekazać rodzicom. Przy okazji powiedzieć im coś w stylu: „Wowa dzisiaj świetnie zrozumiał ideę różowego, wspaniale pokolorował te żaby! To świadczy o tym, że jest bardzo mądry, że koloruje żaby na różowo, to taki przykład na myślenie nieszablonowe. Myślę, że w przyszłości zostanie informatykiem i będzie miał super pensję!”. I to wystarczy, to właśnie za te różowe trawy i wychwalenie Wowy rodzice przynoszą kopiejkę do sekretariatu. Nie należy mówić, co naprawdę myśli się o Wowie, bo skargi też mogą przynieść, a wtedy bywa smutno. Nie Wowie, tylko nam.

Pewnym problemem jest to, żeby doprowadzić pacjenta do rozpoczęcia kolorowania kucyka na fioletowo. Bardzo często kusi użycie dość starej techniki nauczycielskiej, czyli strzałem otwartą dłonią bydlaka w potylicę. Mimo wielu potencjalnych zalet tego rozwiązania nie wolno nam się do niego uciekać, choćby z tego powodu, że dorosłych też nie bijemy. Już nie mówiąc o tym, że jak rodzic zobaczy zaryczanego bachora wyczołgującego się z sali, to może przestać regularnie przynosić *choroszą* kopiejkę szkole (plus: patrz skargi). W sytuacjach ekstremalnych może nawet dojść do tego, że zapłaci rodzic. Zdarzyło się to, gdy pani matka zobaczyła, jak świetnie idzie jej dziecku kolorowanie żaglówki. Dostał wytyczne po rosyjsku. Cała grupa robiła. A ten siedzi i nic. W takich sytuacjach zazwyczaj to nam chce się płakać, ale tego dnia popłakała się matka.

Tak więc kolorujemy, kleimy, pokazujemy obrazki i krzyczymy, przybliżamy smoka Gogo, śpiewamy (my, dzieci to już jak im się zachce) i tak jakoś zabijamy 45 lub 105 minut, którymi obdarował nas los. Na koniec spotkania trzeba coś zadać. Można oczywiście próbować mówić do uczniów, ale szkoda gardła, lepiej od razu dać to rodzicom. Przypominamy żelazny punkt: dużo papieru! Dużo obrazków! Wyjaśniamy wiele razy – w końcu to ci ludzie będą robić te zadania i muszą wiedzieć, czego się od nich oczekuje. Potem sobie dziękujemy, żegnamy się i rozpoczynamy odliczanie do kolejnego upojnego spotkania z naszym ulubionym poziomem.



Wolelibyśmy, żeby smok Gogo pozostał analfabetą, jak na smoka przystało. Są różne stopnia wtajemniczenia i doświadczenia. Udało nam się zdobyć lub znamy ludzi, którym udało się zdobyć następujące sprawności związane z uczeniem poziomów najmłodszych. Odznaka perwersyjna: jeżeli dziecko się obnaży. W Moskwie atrakcja ta zdarza się rzadziej, bo zimno i noszą na sobie dużo ciuchów, ale pewnego ciepłego września w Gruzji najpierw jedna zdjęła sukienkę, a potem drugi pokazał ptaka. Trofeum fekalne – gdy dziecko się porobi.

Sytuacja związana z uczeniem tych grup przypomina nieco tę panującą w niektórych religiach: są wyznawcy, którzy wierzą (to rodzice). Jest kasta kapłańska, która może wierzy, a może nie wierzy, ale czerpie z procederu korzyści, które pozwalają jej członkom na wygodniejsze życie, niż gdyby tego nie robili (to my i inni nauczyciele). Niestety, to kasta kapłańska musi mierzyć się z fanatycznymi wyznawcami. Na szczycie tej grupy siedzą ludzie, którzy od strony technicznej sprawą zajmują się raczej

Nie mieliśmy jeszcze tego szczęścia, ale znamy kogoś, kto miał. Kiedyś w Chinach się tak zdarzyło, ale pacjenta usunięto dość szybko z sali, bez mojego udziału. Nagroda ornitologiczna – gdy uczeń puści pawia. Zdarzyło się pewnego razu w Chinach. Odznaka im. Dariusza Michalczewskiego – solidna walka na pięści, oczywiście zakończona rykiem, najlepiej jeszcze kłótnią rodziców pod salą. Puchar im. Juranda ze Spychowa – wpakowanie drugiemu uczniowi palców do oczu. Odznaka tapicerska – wywracanie mebli, najlepiej jeszcze rzut krzeselkiem o ścianę. Medal śliniankowy – oplucie stołu, siebie, innego ucznia i papieru. Dyplom głodu – uczeń zjada rzeczy z podłogi lub przybory szkolne. Wyróżnienie im. księdza Gila – dziecko przytula się do nas, nierzadko konwulsyjnie, i nie chce puścić. Dyplom Casanovy – głośno wyrażone uwagi o fiucie i/lub cipce. Benefis masochisty – podopieczny sprawdza, czy to naprawdę boli, gdy się dźgnąć nożyczkami, ołówkiem lub linijką. Medal sadysty – jak wyżej, ale sprawdza to na drugiej osobie. Wyróżnienie im. Ałły Pugaczowej – niekontrolowane zaśpiewy, piski, wrzaski i na koniec hiperwentylacja. Certyfikat próby wody – gdy dziecko organoleptycznie sprawdzi różnicę między niebieskim a czerwonym kranikiem w saturatorze z wodą. Lista ta nie wyczerpuje radości związanych z uczeniem najmłodszych. Obawiamy się, że z kolejnymi miesiącami ulegnie ona wydłużeniu.

rzadko, za to stroną komercyjną przedsięwzięcia nieco częściej. Możliwe są dla nas dwa wyjścia z sytuacji: przeniesienie się do sekty najwyższej, ale drzwi tamże otwierają się bardzo rzadko. Obowiązuje też bardzo prosta zasada: rubel za wejście, dwa ruble za wyjście. Pozostajemy więc kapłanami beznadziejnej sprawy. Ze smokiem Gogo na sztandarach i jego pieśnią na ustach.

Per aspera ad astra

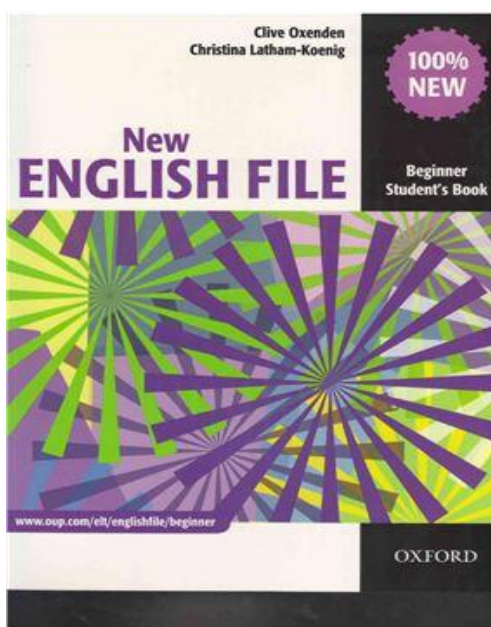
[25.02.2017]

Nasza placówka oferuje różne kursy dla różnych grup wiekowych. Najwięcej mamy młodzieży, ale są też grupy dla dorosłych. Chyba w każdej szkole lecą kursy Pre-Intermediate i Intermediate. Upper-Intermediate to nie jakiś unikat, ale jest ich znacznie mniej. Advanced trzeba szukać, Proficiency to pojedyncze zjawiska. Jest jeszcze tylko jeden podobnie unikatowy twór. Grupa Beginner.

Gdy nauczyciel otrzymuje grupę Beginner, to koledzy po fachu klepią go po plecach i mówią, że rozumieją, łączą się w bólu i że znają tu taki fajny bar, a w nim bywa Sasza, który to sprzedaje dobre psychotropy bez recepty. Przez jakiś czas wydawało mi się, że takie kursy to fatamorgana. Gdzieś tam sobie do nich książki leżą, ale jakim cudem zebrać ludzi na grupę? Chyba w pobliskim domu seniora, a i w to śmiałem wątpić.

Mówi się, że w angielskim nie ma już całkowicie początkujących, zwłaszcza w szeroko rozumianych krajach europejskich, są co najwyżej tzw. *false beginners* – ludzie, którzy za wiele po angielsku nie sklecają, ale znają nieco słów z życia i jakoś tam się skomunikują. W końcu rosyjski nie jest językiem oderwanym całkowicie od wszystkich innych i słów, które brzmią jak w angielskim nie brakuje. Ba, taki „supermarket” to nawet się podobnie pisze, rosyjskie nazwy miesięcy też można częściowo przynajmniej skojarzyć z angielskimi. Piosenki grywane przez stacje radiowe często są w wiadomym języku, więc i z tego coś się da ogarnąć, liczebniki to też raczej sprawa znana wszystkim. Moskiewskie metro gada i pisze po angielsku, więc choćby jeżdżąc do pracy, automatem powinno się coś tam wchłaniać. Do tego, gdy testujemy potencjalnych uczniów, to jeżeli ktoś na „Do you speak English?” odpowiada: „Yes, Marlboro!”, a do tego dorzuci „My name is Sasha and I am from Russia”, to już trafia do Elementary. Te grupy też nie są bardzo popularne, ale jednak nie są to aż takie białe kruki jak Beginner.

Miałem dwa razy kontakt z poziomem Beginner: jedno zastępstwo w czerwcu, gdzie w trybie indywidualnym uczył się pan Wiktor, 60+. Znał niemiecki, ale w życiu nie miał styczności z angielskim i naprawdę chłopca uczyłem liczebników do 20, a także, że „A” to „ej”, a „Y” to nie „ygrega”, tylko „łaj”. Drugim przypadkiem był test, który mi się trafił. Na wszystkie moje pytania potencjalny uczeń odpowiadał po rosyjsku „Nie mówię po angielsku, ja niczego nie rozumiem”. Ponieważ test oralny powinien trwać z pięć minut, musiałem się nieźle namęczyć, żeby chociaż trzy z panem wysiedzieć i stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że nie zna nawet jednego koloru po angielsku, a i do dziesięciu mi nie policzy. Pomyślałem sobie, że może dopiero skądś przyjechał – krążą legendy o poziomie szkół oddalonych od większych aglomeracji, i nie są to legendy, które można dzieciom czytać na dobranoc. Podobno wszelakie syberyjskie tajgi oferują taki poziom edukacji, że po dekadzie nauki angielskiego można nie być w stanie kupić paczki papierosów, bo tak szalone kadry tam uczą. Nawet w Dagestanie, czyli jakby bliżej cywilizacji niż Kamczatka, spotkałem ludzi, którzy mimo przejścia przez lata nauczania nie umieli powiedzieć niczego. Jednak w Moskwie poziom szkół nie jest katastrofalny, a znam kilka placówek, które naprawdę uczą i wymagają, więc szanse na absolutnych początkujących oceniałem nisko. Poza tymi dwoma przypadkami przez kilkanaście miesięcy pracy tutaj więcej ani słowa o grupach Beginner nie słyszałem.



Biblia, Koran i Mein Kampf w jednym

Usłyszałem, a raczej przeczytałem, gdy okazało się, że będzie mi dane takową uczyć. Myślałem, że to jakaś pomyłka. Jednak nie, okazało się, że naprawdę zostanie takie coś otwarte, a ja to będę prowadził.

Po tym, jak rzuciłem okiem na książkę, ogarnął mnie śmiech i przerażenie. Po pierwsze, nie jest możliwe, żeby ktoś nie znał takich słów. Po drugie, jak ja mam spędzać po 135 minut na dwóch stronach podręcznika, który oferuje głównie obrazki? Na pierwszą lekcję przyszedłem zaopatrzony w kserówki z trzech innych wydawnictw, a i tak się bałem, że mi nie wystarczy.



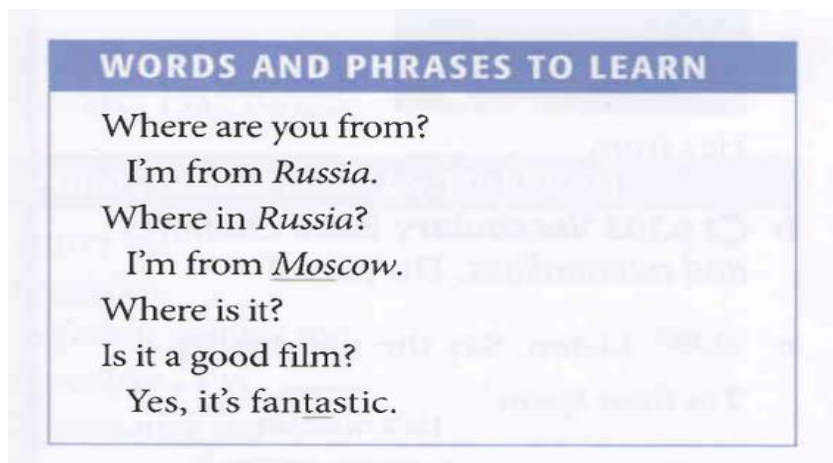
Czy to jakiś dowcip?

Myliliem się, ledwo dałem radę zrobić to, co mi los podarował w głównym nurcie kursu. Okazało się, że nawet system operacyjny Windows nie zdołał spopularyzować wystarczająco swojej nazwy dla niektórych Rosjan. „Open” i „close” to były słowa wyszukane. Na tym poziomie oficjalnie wolno mówić po rosyjsku. Myślałem, że nie będzie potrzeby, w końcu przerobiłem немало grup dziecięcych, gdzie pokonywałem system jedynie za pomocą języka wroga i gestykulacją lub materiałami wizualnymi, ale myliłem się. Po trzydziestu minutach lekcja przeszła niemal wyłącznie na rosyjski.

Do domu wracałem przerażony: z jednej strony to godne podziwu, że ludzie próbują w końcu ruszyć w temacie nauki najpopularniejszego języka świata. Z drugiej strony, problemem był w mniejszym stopniu poziom tegoż, a w większym dość daleko posunięta swoboda myśli. To nie tak, że ci ludzie nigdy nie widzieli angielskiego. Oni go widzieli i uznali, że ich nie interesuje, ale po paru latach nagle odkryli, że może się przydać w pracy lub podróżowaniu. Z czterech osób, samych kobiet,

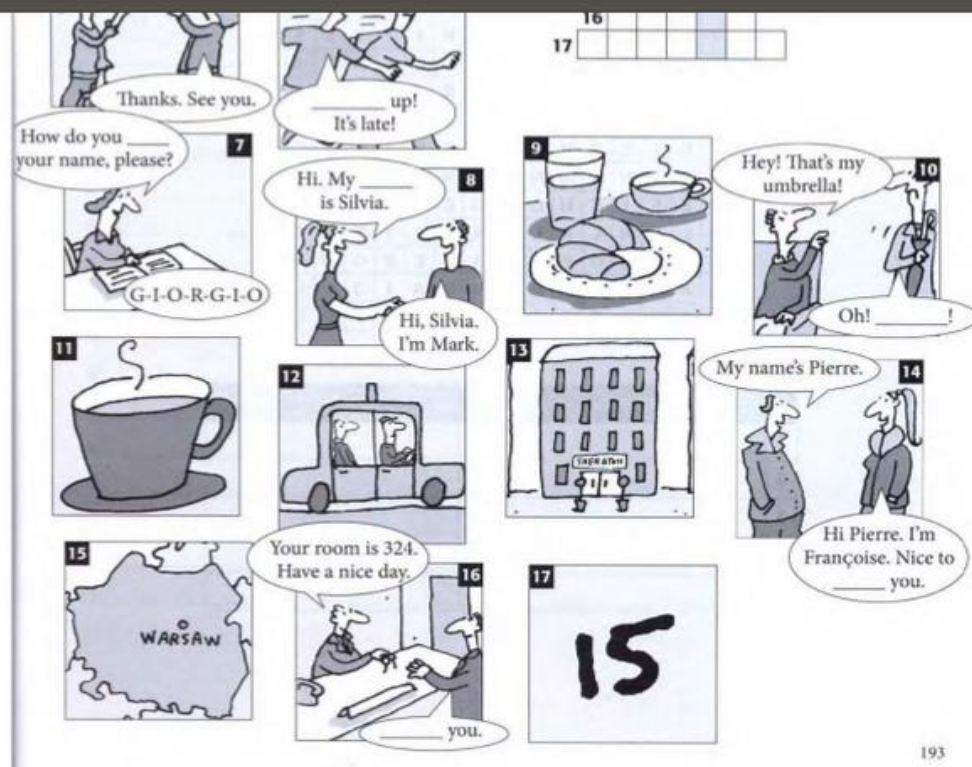
dwie przerażały: były to panie, które przeszły kilka lat edukacji w zakresie języków obcych, ale i tak udało im się nie opanować niczego. Dwie pozostałe twierdziły, że w szkole miały niemiecki. Gdy pewnego dnia odezwałem się w tym języku, chcąc im pokazać pewną analogię do tego, co akurat mieliśmy w angielskim, okazało się, że i tak nie da rady. Zrozumiałem, że jest im wstyd, więc nie drażyłem tematu.

Przy okazji, wielu Rosjan i w innych sytuacjach mówiło mi, że nie znają angielskiego, bo w szkole mieli niemiecki. Gdy mam bardziej chamowaty dzień, to po usłyszeniu tego, odzywam się w języku Goethego. Zazwyczaj okazuje się, że jednak nie umieją i niemieckiego.



W żadnej innej książce przykład tak bardzo nie pasował do zastanej sytuacji. Jedna z pań przyniosła sobie książkę w wersji wydrukowanej – podręczniki tanie nie są, a rosyjskie podejście do praw autorskich jest dość liberalne, więc wcale nierzadko uczniowie tak kombinują. Jednak zazwyczaj ludzie sobie kupują jakąś okładkę, ewentualnie przynoszą unity, no jakoś to organizują, a ta pani postanowiła, że nie. Kartki jej się mieszały, wszystko się sypało, co chwilę mieliśmy przestoje na kilka minut, żeby odnalazła, co akurat robiliśmy. Oferowałem, że jej pokseruję, co potrzebne i będę wydawał w trakcie lekcji, ale gdzie tam, przecież ona potrafi sama! No i tak jej szło, że czekaliśmy, aż znajdzie. Miałem nadzieję, że może kiedyś zrobi jej się głupio, że wszyscy patrzą, ale gdzie tam! Nigdy sobie niczego nie poukładała i z rozbajającym (w swoim mniemaniu) uśmiechem szukała potrzebnych stron. Dramat osiągnął poziomy niewiarygodne podczas drugiej lekcji. To właśnie wtedy wprowadza się kluczowe frazy w stylu „My name is Masha and I am from Russia”. Po pierwsze, wszystkich pokonało, że „Russia” i „Russian”. Nie wiem dlaczego, w rosyjskim jest niemal takie samo rozróżnienie na kraje i narodowości, ale moim uczniom nie udawało się pojąć, że „Russia” to kraj, a „Russian” to narodowość i ciągle słyszałem, że „I am Russia”. Po dwudziestym razie człowiek sam zaczyna się zastanawiać, czy może to nie tak jakoś.

Jednak prawdziwa zabawa i pełna pompa zaczęła się, gdy należało połączyć miasta z krajami. Autorzy książki stwierdzili, że każdy przecież wie, że taki Londyn jest w Anglii, Tokio w Japonii, a Berlin w Niemczech. Bez tej wiedzy za bardzo nie dało się zrobić ćwiczenia (Helmut jest z Berlina, więc jest Niemcem). Proste jak jebanie, autorzy książki naprawdę nisko zawiesili poprzeczkę. Nie docenili córek Rusa. Jedna z pań była pewna, że Dublin jest w Niemczech i prawie się ze mną pokłóciła, że śmiem mówić, że nie. Jeszcze nie skończyłem mdleć, gdy dowalono mi pytaniem, czy Kanada to kraj, czy miasto. Madryt to chyba we Francji? Wielki Mur ulokowano w Japonii, a gejsze w Chinach. Siedziałem i myślałem, że to jakaś bardzo zaawansowana forma rosyjskiej ukrytej kamery i zaraz ktoś wyskoczy i krzyknie: „MAMY CIE!” Po powrocie z tej lekcji walnąłem się w naszej kuchni, odbiłem piwo i mówiłem Aligatorowi, że są wypadki, w których nieznajomość języka związana jest bardziej z nieznajomością niczego, a nie brakiem talentów do odkrywania, że „koszka” to „cat”.



Krzyżówka. W numer 15 należy wpisać Poland. Uczennice zgodnie wpisały Warsaw i wyszedł belkot, a nie hasło



a Look at the pictures. Write the answer.

1 Where's she from? She's from Spain.

2 Where's he from? _____

3 Where's it from? _____

4 Where's she from? _____

Obrazek numer trzy wzbudził poruszenie i oburzenie. Cztery to oczywiście gejsza z Kitaja. Nie wyjaśniałem



Książkę pisano pod Europę Środkowo-Wschodnią – patrz obrazki 1 i 2. Na ósmym słynny japoński Wielki Mur. Na siódmym węgierska Hagia Sophia. Piąty to Brazylia, uczeń ma poznać chyba po kształcie zatoki i urodzie pani

Po trzech tygodniach odpadła jedna z pań. Pochodziła z Terespoła i jej możliwości intelektualne przerażały. To właśnie ona nie mogła nigdy znaleźć odpowiedniej strony. Nie popłakałem się, że jej więcej nie zobaczę, bo nawet gdy wspólnie paliliśmy przed szkołą i rozmawiałem z nią po rosyjsku, to ubawiłem się średnio. Przy jej walorach fizycznych zapewne przejście przez życie w oparciu o nie ma więcej sensu niż wycieczki intelektualne w języki obce. No niestety, zadania domowe dają w pewnym celu, a nie po to, żeby je olać. Ciągłe uśmiechanie się w stylu „o kurwa, ale ja jestem głupia” zaczyna być po jakimś czasie więcej niż irytujące.

Druga osoba odpadła po półtora miesiąca. Dzięki znajomości z nią stwierdziłem, że muszę kiedyś odwiedzić Komsomolsk nad Amurem, bo jak tam jest więcej takich ludzi, to ubawię się setnie. Kobieta uważała, że jest bardzo mądra, inteligentna i lotna, więc nie musi robić zadań domowych. Na moje delikatne sugestie, żeby jednak od czasu do czasu robiła ćwiczenia, reagowała opowieściami o tym, że jest inteligentna. W tej inteligencji nie mogła pojąć, że angielski i rosyjski nieco się różnią i że „I from Moscow” nie jest do końca poprawne. Oczywiście człowiek stara się motywować pozytywnie, ale trudno mi było eksplodować entuzjazmem, gdy słyszałem, że „He from Germany, She Russia” i to po raz setny. Pisownia liczebników przebiegała to, co widuję u dzieci – ja wiem, że angielski ma kurewską pisownię, no ale nie da się tego przeskoczyć, trzeba wrębać na pamięć. Na moje poprawki pani reagowała informacją, że przecież to to samo, i że i tak się da zrozumieć, a „tlev”, to przecież niemal to samo, co „twelve”. Jej wiara we własne siły wzruszała, pani była całkowicie bezkrytyczna i przeświadczona o swoim geniuszu. A że jej odpowiedzi nie zgadzały się z kluczem? (bo mnie to nie mogła uwierzyć na słowo, w końcu skąd ja mogę wiedzieć?) Ach, co tam, to przecież to samo, czy „he is”, czy „you is”! Do tego ciągle bawiła się telefonem, bo przecież ona jest inteligentna i wszystko łapie w lot, ma podzielną uwagę, więc jej nie przeszkadza umawianie się z siostrą na piwo i odkrywanie tego, że w trzeciej osobie liczby pojedynczej dodajemy „-s” (a raczej nieopanowanie tej wiedzy). W końcu nawet, jak go nie doda, to będzie tak samo. W odróżnieniu od pani z Terespoła, ta mi nie działała na nerwy, więc jak zniknęła, to nawet mi było szkoda, bo przynajmniej miała fajne poczucie humoru. Ubierała się jak domina z taniego pornosu, więc miałem rewie mody – co lekcję inne wysokie obcasy, nierzadko do kolan.

Do tego zwiewne bluzki, czego bym raczej nie polecał osobie jej postury, ale tak jak nie miała kompleksów na punkcie swojej znajomości języka, tak też uważała, że ze swoim bębmem wygląda powabnie.



*Samochodem jedynie 112 h (8,714.7 km), jeżeli wyruszysz już teraz. 5 dni i 21 godzin pociągiem.
Piechotą 1660 godzin, czyli 70 dni*

Pewnego dnia robiliśmy ćwiczenie i nikt za nic nie mógł zajarzyć, więc powtarzałem, zmieniałem układ słów, no nic nie pomagało, wszyscy byliśmy na krawędzi płaczu. W końcu powiedziała mi:

– Panu to powinni dawać mleko za szkodliwe warunki pracy.

Niegdyś w Związku Radzieckim ludzie pracujący w bardziej wymagających fizycznie zawodach dostawali przydział mleka, żeby wynagrodzić im okoliczności wykonywania robót. Na pewno to wiele pomagało jakimś górnikom czy stolarzom. Przyznam, że trudno mi było się nie zgodzić. Naprawdę, nie ma żadnego logicznego uzasadnienia tego, że jedne języki inaczej używają przyimków niż drugie. Możemy sobie oczywiście pogadać o tym, że angielski jest głupi z tym całym „to be” i w ruskim tego nie ma, a da się mówić, ale obawiam się, że daleko nas to nie zaprowadzi.

Po odejściu pani „Komsomolsk nad Amurem” zostały mi dwie osoby. Najlepsze. Jedna pod trzydziestkę, druga pod pięćdziesiątkę. Obie miały podejście inne od pań, które odeszły i praca z nimi była nieco odmiennym doświadczeniem. Nie dyskutowały o tym, że im się nie podoba zadanie domowe, tylko przychodziły z pytaniami. Czasem trochę przerażającymi („Te rodzajniki to się tak wrzuca losowo? Co to jest rzeczownik?”), czasem sensownymi. Istniało ryzyko, że grupa padnie – przepisy wewnętrzne głoszą, że muszą być minimum trzy osoby, a jak jest mniej, to mają płacić więcej. Wiedziałem dobrze, że więcej zapłacić nie będą chciały, a w wypadku młodszej to nawet nie ma takiej możliwości – bo jej szalowa praca pozwalała na mieszkanie z trzema innymi osobami na obrzeżach miasta. Ponieważ jednak zarówno mnie, jak i administracji zależało, żeby grupa nie zginęła, wykonaliśmy trochę gambitów, żeby udało się dokończyć we dwie osoby.

Poziom Beginner jest nieco krótszy od innych, ale jednak trwa te swoje 10 tygodni. Oficjalnie, bo mnie nakazano kurs skrócić do niecałych ośmiu. Oczywiście dowiedziałem się o tym bardzo późno

i w efekcie ostatnie dwa tygodnie było tak wypakowane, że bałem się, że mi obie panie umrą. To naprawdę nie jest idealna sytuacja, gdy w jednej lekcji uczysz *can/can't* i za chwilę poprawiasz z *always/usually/never*, dwa wzorce odmiany czasownika (o modalności przecież nie będziesz na tym poziomie truć, więc pukają się w czoło, jakie to durne), a tu jeszcze ludziom się ciągnie jakiś błąd z poprzedniej lekcji. W efekcie wszystko się pierdoli jak koty w marcu, sam bardzo dobrze wiesz, że robisz za dużo i przeciążasz ludzi, no ale zostały dwie lekcje, to wszystko będzie na teście, nie ma wyboru, musisz piłować. Potem dajesz zadanie domowe, którego zrobienie zajmie uczennicom dobre dwie godziny, a połowa pewnie nie do końca wyjdzie.

Jeszcze na wyższych poziomach da się w takich sytuacjach kombinować i wywalać całe lekcje, ale na Beginnerze wszystko jest tak cholernie podstawowe, że nie możesz, no nie możesz. W efekcie nierzadko zaczynaliśmy wcześniej i kończyliśmy później – ze 135 minut robiło się czasem pod 170, a i tak nie wszystko mogłem zrobić, jak wymaga tego dobra praktyka uczenia. Nie muszę chyba nawet pisać, że nikt mi za to nie zapłacił ani kopiejki. Im dłużej jednak to wszystko trwało, tym większą pasję do uczenia ich miałem. Postęp był wręcz namacalny, nigdy nie miałem uczniów, którzy poświęcaliby tak wiele czasu i sił na naukę jak te dwie kobiety. Z czasem więc chodziłem tam z przyjemnością, w co nie mógł uwierzyć absolutnie nikt. Współpracownicy myśleli, że robię sobie jaja, mówiąc, że w sumie fajnie się tego uczy i że szybko mi czas leci, znacznie szybciej niż z wieloma innymi grupami. Pytali, czy ironizuję. Okazało się, że nawet tacy, którzy przeszli taki test bojowy, nie pokochali swoich Beginnerów i bardzo intensywnie modlili się o koniec zajęć.

Me uczennice przerażała jedna rzecz: test końcowy. Nie wiedziały, że testowanie w naszej szkole przypomina odbycie stosunku z syberyjskim tygrysem – trochę śmieszne, trochę straszne. Oczywiście nie chcemy nikogo zrażać, bo by jeszcze przestał płacić, więc jeżeli ktoś nie wykaże się absolutnie dramatycznym nieogarnięciem, to zrobienie 60-70% z testu nie jest jakimś wielkim osiągnięciem. Pomagają w tym „lekcje powtórkowe” – jeżeli ma się grupę słabszą, to de facto opowiada im się, co będzie na teście. I jeżeli w teście jest „John pojechał do Australii”, to na revision robisz „Alice pojechała do Japonii”. I tak nie zawsze to wystarcza, ale jeszcze możesz zacząć stosować kryteria „nie jest poprawnie, ale da się zrozumieć”. Nienawidzę tego, ale jeżeli dorośli ludzie lubią się wygłupiać i im się nie chce, to ich prawo. Jak dostaną gałkę, to może odejdą, a ja będę miał problem. Ponieważ wolę mieć święty spokój i nie ponosić konsekwencji cudzego lenistwa, to zawsze jakoś uskrobię dorosłym te 60%. W ten sposób związek pieniędzy z uczniem prowadzi do dziwnej patologii na rynku prywatnego szkolnictwa. Na pociechę mogę sobie trochę popałować u dzieci. I jeszcze jedno: czasem pytania w testach są tak kretyńskie, że uznajemy je za nieważne – niestety, testów zmieniać nam nie wolno. To czasem też ratuje ludziom kilka punktów.

Moje Panie były przerażone, bo nigdy w życiu nie pisały testu językowego. Gdy się dowiedziały, że jest na 140 punktów, to prawie upadły – przecież nigdy tyle nie robią! Nie znają tylu słów!!! Czy ja im mogę pomóc? W odróżnieniu od wielu innych dorosłych grup, postanowiłem zrobić to wszystko na poważnie. Na lekcję powtórkową czasu nie było, więc test pisały niejako z marszu, przy okazji musiałem wyjaśnić im polecenia do niektórych ćwiczeń. Nerwicę miały totalną, a i ja się bałem, jak to pójdzie. Ledwo wróciłem do domu, zacząłem sprawdzać. Bach, 114 i 113 na 140. Mogłem spokojnie zjeść kolację. Nie miałem niestety okazji im tego powiedzieć – kurs się skończył, więc tylko poinformowano je telefonicznie, że gratulacje. Gdy dowiedziały się, ile powinny zapłacić za kontynuację, to podziękowały. Próbowałem walczyć z logiką naszej szkoły, która prowadzi do tego, że lepiej nie mieć ludzi, którzy płaciliby dużo, niż mieć ludzi, którzy płacą mniej, ale szans nie było. Może i lepiej, miałem poczucie osiągnięcia czegoś wielkiego – gdy weszły do sali, to nie były w stanie powiedzieć niczego. Po dwóch miesiącach opanowały tak naprawdę bardzo dużo, w końcu dwie osoby wolały odpuścić, niż walczyć, one broni nie złożyły, chociaż bywało im bardzo ciężko. A te ostatnie dwa tygodnie... Myślę, że żadne z nas ich nigdy nie zapomni.



Pożegnanie z bronią

Początkowo Beginner wydawał mi się horrorem, w którym nie da się niczego zrobić. Przez te dwa miesiące stał się jednym z najciekawszych kursów, jakie w życiu prowadziłem. Pomagało to, że można u nich mówić po rosyjsku – pozwalało to oszczędzić wiele czasu i mieć pewność, że wszystko rozumiemy tak samo, a przy okazji sam się paru rzeczy nauczyłem. Jednak nadal uważam, że powinni dawać mleko za jego prowadzenie.



Wariacja współczesna: mleko za bycie wrednym

Kult choroszej kopiejki – epizod 1. Widmo kopiejki

[18.03.2017]

Jeżeli dobrze pamiętam, był to czwarty dzień mego pobytu w Moskwie i jakiś trzeci dzień szkolenia pracowego, gdy zrobiono nam wykład o tym, że aby tu szczęśliwie i spokojnie żyć, to trzeba znaleźć prywatnych uczniów lub drugą pracę w innej szkole. Przy okazji poinstruowano nas, że oficjalnie nam nie wolno, ale i tak wszyscy to robią, więc byle tylko inna szkoła nie wrzuciła naszego zdjęcia na swoją główną stronę, bo wtedy mogą być tak zwane jaja. Przez mniej więcej rok trzymałem się z daleka od tematu – ogólnie nie jestem dziko rozrzutny i w miarę było mi dobrze z pieniędzmi, jakie dostawałem. Znaczący nie, że obraziłbym się, gdyby było to więcej, ale też nie czołgałem się od wypłaty do wypłaty, co nieco odróżniało mnie od wielu współpracowników, którzy co miesiąc odkrywali, że jak się przewala jakieś sześć tysięcy w weekend, to potem może być trochę ciężko przeżyć godnie do kolejnego dnia znaczonego pensją. Panujący dookoła kult choroszej kopiejki (żeby chociaż choroszej...) nie sprawiał, że bardzo chciałem do niego dołączyć. W końcu jednak dałem się porwać strumieniowi moskiewskiego wszechświata uczenia i rozpocząłem chałturzenie. Oto zapis różnych epizodów tegoż.

Pierwszego potencjalnego ucznia prywatnego spaliłem nieznajomością realiów rynkowych. Uczyłem go w jednej z naszych szkół w trybie jeden na jeden, zapłacił za dwa tygodnie przygotowań do rozmowy kwalifikacyjnej. Oczywiście nasza szkoła posadziła go na podręczniku do ogólnego angielskiego, więc po dwóch lekcjach zszedłem na własne materiały, które były związane z branżą

kandydata, czyli inżynierią jedzenia. Wiem o tym bardzo wiele, ale przerobiłem z nim standardowe pytania z rozmów kwalifikacyjnych, on podrzucił trochę bardziej specyficznych dla branży i jakoś to szło. Okazało się, że chłop jest wielkim fanem Rammsteina, a że jakieś pojęcie o dokonaniach tej grupy mam, to przygotowałem nawet trochę rzeczy związanych z tematem. Akurat słuchać tego nie było sensu, ale już jakieś aspekty gramatyczne w oparciu o płyty i klipy dało się spokojnie ćwiczyć. Maksym był w ekstazie, bo suma jego doświadczeń z nauki języka sprowadzała się do tego, że podręcznik z czasów Breżniewa, a nauczycielka z czasów Chruszczowa. Dopłacił za kolejny tydzień spotkań ze mną – jeszcze wtedy byłem tak naiwny, że myślałem, że dzięki temu moje akcje na zakładzie idą w górę (nie idą – taki oto panował system motywacyjny). Miałem przez to przejechany grafik, ale ciągnęliśmy.

Pod koniec spotkań wymieniliśmy się numerami telefonów i kilka tygodni później poszliśmy na piwo. Zapytał mnie, ile chcę za uczenie prywatne. Nie miałem wówczas zielonego pojęcia o temacie, więc powiedziałem, że tyle, ile w naszej szkole. Temat umarł. Boże, skąd ja miałem wiedzieć, że on płacił 3500 rubli za lekcję ze mną??? Myślałem, że może jakieś 2000. Tak więc kwestia uczenia prywatnego umarła, ale z Maksymem dość się zaprzyjaźniliśmy, poszliśmy parę razy na piwo. Z radością dowiedziałem się, że przeszedł etap rozmowy kwalifikacyjnej po angielsku, ale niestety potem odpadł na inżynierskim. Przez wiele miesięcy pisaliśmy sobie newsy o tym, że wyszło jakieś DVD koncertowe tej czy tamtej kapeli. Poznałem nawet jego żonę, która zeznała mi, że Rammstein jest najtrudniejszym aspektem ich związku, bo co piątek wieczór oglądają *Live aus Berlin* czy inne cudo. W maju zaś to on musiał cierpieć i wydać fortunę, żeby iść z nią na Eltona. W czerwcu ona na Rammstein.

Maksym sprzedał mi wiele topowych historii. Na przykład ze swojego dzieciństwa, z początku lat 90. Była jakaś kampania wyborcza, on miał około dziesięciu lat. Bawił się z kolegami na krawężniku, gdy podjechał do nich samochód. Opuszczono szybę, zawołano ich. Brodaty pan powiedział, że mają przejść całą ulicę i zerwać wszystkie plakaty kandydata o takim a siakim nazwisku. Na to Maksym zarzucił, że mogą to zrobić, jak im zapłacą. Pan na to wyjął pistolet i powiedział, że jak tego nie zrobią, to ich zastrzeli.

Pewnego dnia Maksym spacerował chodnikiem w centrum Moskwy. Podjechał samochód i niemal go przejechał. Ponieważ mój kolega nie chciał zejść na ulicę, to ostatecznie za jego przyczyną pojazd się zatrzymał. Opuszczono szyby i pokazano mu pistolet, a następnie udzielono pouczenia na temat „Jak chuju chodzisz? Nie widzisz kto jedzie?”. A jechali jacyś Czeczeńcy. Większość historii Maksyma zawierała w sobie jakąś patologię i gangsterkę rodem z *Młodych wilków* Jarosława Żamojdy.

Oprócz fascynacji muzycznych połączyła nas pasja do piwa. A raczej on mnie uczył, jakie piwa są dobre i zrobił tour po ciekawszych piwiarniach w okolicach ulicy Twerskiej i Kuźnieckiego Mostu. Maksym sam warzył własne piwo (dostałem nawet butelkę) i ogólnie brzydził się jakimkolwiek trunkiem, którego składu nie mógł drobiazgowo poznać. W efekcie nasze wyjścia potrafiły dość srogo kosztować, ale nigdy nie żałowałem. Gdy wchodziliśmy do baru, Maksym opracowywał plan, w jakiej kolejności będziemy zamawiać i spożywać. Jeżeli tylko było coś, czego nie znał (co zdarzało się rzadko), to musiał tego spróbować. W efekcie zdarzało mu się płacić naprawdę dużo za piwa średniej jakości np. z Łotwy. Przy tym potrafił się wściekać na jakość obsługi, ale zawsze zostawiał napiwki w stylu 30% zamówienia – piwo 350, on dawał 500, reszty nie trzeba. Z większości tych spotkań wracałem w stanie solidnie bajkowym, bo nigdy mniej niż pięć piw nie wypiliśmy. Pewnego lutowego piątkowego wieczoru doszło do kuriozum: bar był pełen, ale że to był dobry bar, to siedzieliśmy przed lokalem i wynosiliśmy piwa po 350 rubli, żeby je pić na krawężniku. A dokładniej na ulicznym parkometrze. Oczywiście było zimno jak diabli, mokro i nieprzyjemnie, ale ostatnim, co wypiliśmy na krawężniku, było piwo 13% i była to taka petarda, że ledwo do metra wszedłem. Do dzisiaj pozostaje to jeden z najlepszych wieczorów, jakie spędziłem w Moskwie, także dzięki temu, że ustaliliśmy, że w okolicach 1993 tak on, jak i ja, katowaliśmy *Секретные материалы*, czyli *The X-Files* (*Истина где-то там!* jak ślicznie na rosyjski przełożono *The truth is out there*).

Maksym był też rosyjskim patriotą w dość ciekawym, bo wakacyjnym rozumieniu terminu. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że z Rosjanami o polityce rozmawiać się nie da, więc piłowałem temat, że ten Putin, tamten Żyrinowski. Putin go nie bolał, Żyrinowski także, ale patriotyzm mego przyjaciela wyrażał się w obieraniu na wakacje kierunków sugerowanych przez ojczyznę. Tak więc, gdy po igrzyskach w Soczi okazało się, że stracili na tym fortunę i próbowali nagnać turystów do gospodarskiego miasta XXII Igrzysk Olimpijskich, to Maksym pojechał tam z żoną na dwa tygodnie. W styczniu. Wspominał to jako najgorszy urlop świata. Było za ciepło na jeżdżenie na nartach, a za zimno na spacer, miasto opisał słowami: „nudna, nieciekawa i droga dziura”. Kilka miesięcy później, latem, wybrał się na Krym, żeby wspierać świeżych rodaków. Wrócił z chujami na ustach: drożej niż w Egipcie, Ruskich nienawidzą i oszukują na każdym kroku, pogoda się nie do końca udała, za zimno na pływanie, ogólnie depresja. Mam nadzieję, że Rosja nie wymyśli, żeby jej obywatele jeździli do Syrii, bo biedak pojedzie i znowu wróci załamany.

Przy tym całym patriotyzmie, Maksym sprzedał mi jedną piękną frazę: „Rubel nakrył się pizdą”. Tymi słowami skomentował załamanie kursu w lutym 2016 roku. Do dzisiaj dokładnie tymi słowami podsumowuję sytuację finansową w Rosji. Przy całym swoim patriotyzmie Maksym nie rozdzierał szat: mówił, że wspólnie z kolegami zainwestowali znaczną część swoich oszczędności w obcych walutach w ruble.

- Kupujesz ruble, gdy notują historyczny dół??? Sprzedajesz dolary po 86 za rubla???
- Stary, zobaczysz, Kreml nie pozwoli, żeby to padło. Wykupią.
- A jeżeli nie?
- To będzie zmiana ustroju, ulica ich zmiecie. Ale nie martw się, stać ich jeszcze.

Czas pokazał, że miał rację. Nie wiem, kiedy i czy powrócił do obcej waluty, ale jeżeli wyczekał do czerwca, to zarobił jakieś 20-30% na spekulacji walutą.

Koniec końców, wiele miałem szczęścia w tym, że zamiast zostać jego prywatnym nauczycielem, to zostałem kolegą. Z uczenia pewnie wyciągnąłbym kilka tysięcy rubli, a potem cała relacja by umarła. A tak przez dobre kilka miesięcy miałem kogoś do wyjść na piwo i do opowieści z różnych aspektów rosyjskich realiów.

Kult choroszej kopiejki – epizod 2. Nowa kopiejka

[18.03.2017]

Pewnego dnia w marcu matka mej najulubieńszej uczennicy zaprosiła mnie do pustej klasy. Coś, co mogło być początkiem pięknego pornosu, okazało się być rozmową o przyszłości naukowej jej pociechy. Zasugerowała, że byliby zainteresowani wzięciem dziecka ze szkoły na rzecz tego, żebym ja ją uczył. Niestety, jestem uczciwym idiotą i zgodnie z zapisami, jakie mam w kontrakcie, odmówiłem. Ba, ja nawet myślałem, że to może taki test ze strony pracodawcy. Na swoją obronę dodam, że obecnie bym nie odmówił, tylko od razu tam pognał.

Jakoś z tej rozmowy wyszło, że wymieniliśmy się numerami telefonów. Dostałem w parę dni później pytanie, czy mogę kogoś polecić. Poleciłem Aligatora, bo – znowu – jestem idiotą. Dopiero trochę później zrozumiałem, że dziecko absolutnie chciało mnie i nikogo innego. W sumie nie takie dziwne, to jak nam się razem pracowało, to była bajka. Nastia rozpierdała ćwiczenia w drobny mak, była absolutnie najlepsza w swojej grupie, do tego przegrzeczna i dobrze ułożona. Był to jedyny przypadek, że gdy ją czasem zostawiano w szkole na 40 minut przed lekcją, to wymyślałem jej różne zabawy, żeby się nie nudziła. Teoretycznie był to mój czas wolny, ale chyba bym umarł, gdyby jej było nudno i smutno samej pod salą. Aż mnie współpracownicy pytali, co się dzieje, że siedzę i gadam z dzieckiem na korytarzu, gdy nie mam lekcji – bo zazwyczaj staramy się leczyć rodziców z takich pomysłów, że mogą nam podrzucać dzieci godzinę przed lekcją, a zabierać dwie po, bo my przecież i tak się nimi zajmujemy.

Temat powrócił we wrześniu. Tym razem zgodziłem się, umówiliśmy się na dzień, godzinę i miejsce. Zmienili. Drugi termin chwycił. No cóż, jak mi mówili, że to blisko stacji metra, to nie spodziewałem się dwudziestominutowej odysei po cholernie nieciekawej okolicy (wliczając w to kaukaski komis samochodowy z pojebanymi psami wyskakującymi przez płot). Gdy już zlokalizowałem brzydki blok, dość typowy dla moskiewskiego budownictwa, i przeszedłem przez klatkę schodową cuchnącą kocim moczem, drzwi otworzył mi ojciec Nastii. W gaciach.

– Me English no – poinformował od razu, uśmiechając się dość pocieszenie i rozkładając ręce.

– Dobrze, mówię po rosyjsku, tylko proszę przy Nastii tego nie ujawniać, bo będzie pizda z uczeniem.

Nie wzruszyło go to. Mnie powaliło ich mieszkanie. Mieli tak ładnie, że właśnie o czymś w tym stylu marzyliśmy, gdy szukaliśmy własnego lokum w Moskwie. Boazerie, ekspres do kawy, parkiet, ciepłe kolory, wszystko nowe i świejące. Tyle że mieli ciemno jak u nas, bo radzieckiej architektury bez wyburzenia pokonać się nie da. Na osłodę mieli taką galerię alkoholi w barku, że mogli sobie całą rodziną wyłączyć wizję na wiele miesięcy.

Spędziłem jedną z przyjemniejszych godzin miesiąca. Nastia, chociaż była na wczesnym poziomie A2, opowiadała mi o swoich wakacjach, ja jej o moich, ćwiczenia przewaliliśmy w rekordowym czasie. Przedstawiła mi młodszą siostrę, pokazała swoje ulubione książki Astrid Lindgren, cudownie miłe popołudnie. Aż się wahałem, czy brać za to pieniądze, ale suma doświadczeń jest taka, że jak ludzie dostają coś za darmo, to tego nie szanują. Byłem trochę zły na ojca, że po lekcji wkolebał się w gaciach i rzucił basem na pół domu „TO TYSIĄC, TAK?”. Tak, tysiąc. Nie możesz kurwa jakoś dyskretniej tego uregulować?

Krzyknąłem bardzo mało na warunki moskiewskie, bo wiedziałem, że wiele się nie urobię i zależało mi na tym, żeby ją uczyć. Niegdyś w Gruzji uczyłem o wiele mniej lotną dziewczynę za darmo, bo wierzyłem w to, że ma to sens i nie chciałem obciążać skromnego budżetu jej matki (objętej ostracyzmem przez rodzinę, bo rozwódka). Tu widziałem sens, a kopiejkę mogłem pobrać i tak. Zasada: jak chcesz mieć ucznia, to mówisz mniej. Jak nie chcesz, to więcej. A ja bardzo chciałem. Umówiliśmy się na kolejną lekcję. Odwołali, bo pojechali do Riazania na weekend.

Następne DWA miesiące próbowaliśmy zgrać nasze grafiki. Nie udawało się. Okazało się, że Nastia ma tak napakowany rozkład zajęć – balet, basen, konik, olimpiada wojskowa – że nie wraca do domu przed 17, a wtedy znowu ja mam lekcje. Do tego dochodził czas dostania się do ich mieszkania. W pewnym momencie rozważano nauki o 20, ale powiedziałem, że nie, dziesięciolatki nie uczy się dobrze o tej porze. W efekcie temat umarł. Narodziło się jednak wiele nowych.

Kult choroszej kopiejki – epizod 3. Atak klonów

[18.03.2017]

Moim głównym impresariem moskiewskim została matka Nastii. Kilka dni po pierwszej i ostatniej lekcji z jej dziecięciami zadzwonił do mnie nieznany numer. Zazwyczaj jak w Moskwie dzwoni nieznany numer, to znaczy, że będą chcieli pieniądze i lepiej nie odbierać, ale jakoś tak chwyciłem. Był to Andriej, który dowiedział się od Nastiowej matuli, że jest tu geniusz nauczania, który daje prywatne lekcje w dobrej cenie i mieszka niedaleko od niego.

Tu zacząłem mieć problem, bo cena była zaniżona dla Anastazji, a niekoniecznie dla kogoś, kogo w życiu na oczy nie widziałem. Ponieważ jednak był październik, a ja miałem bardzo niewiele do roboty (moje godziny w głównej pracy wynosiły całe osiem tygodniowo plus trochę zastępstw), to się zgodziłem. Wiedziałem, że żywotność prywatnych uczniów jest krótka, więc myślałem, że najwyżej ze dwa tygodnie i amen. Podczas tej pierwszej rozmowy ustaliłem, że córka ma lat osiem i nie umie niczego. Jest to mój ulubiony wiek, adres był minutę od metra, więc postanowiłem zobaczyć i w wypadku rozczarowania ukreślić sprawie łeb. Zaopatrzyłem się w zestaw kserówek z książki, z której mógłbym

uczyć wyrwany ze snu o 5 rano i pojechałem zobaczyć, co też życie dobrego przyniosło. Trochę trudno było mi uwierzyć, że Ira nie umie niczego, moskiewskie szkoły w tej części miasta jednak czegoś uczą, małe są szanse, że ktoś w wieku ośmiu lat nie umie nic, obstawiałem więc, że rodzice po prostu nie doceniają córki i wydaje im się, że rozumie mało, a tymczasem jej wiedza jest bardzo duża – często tak bywa. Jednak nie było tak tym razem.

Chryste Panie, jak to możliwe, że w wieku ośmiu lat dziecię nie umie czytać i pisać w swoim PIERWSZYM języku? Toż w takiej sytuacji ekscentrycznym pomysłem jest męczenie biedaczki jakimś egzotycznym alfabetem! No ale próbujmy.

Ira stała się stałą pozycją w moim grafiku i przerażała mnie przez wiele miesięcy. Kopiejką szybka i stabilna, ale chwilami wielce męcząca. To dziecko nie było w stanie zrozumieć niczego, a jeszcze mniej umiała zapamiętać. Miałem wręcz wrażenie, że się uwstecznia. Czego bym jej nie przyniósł, to jej nie interesowało. Wszystko robiła na odwal, oczywiście z milionem komentarzy. Po sześciu miesiącach dalej toczyliśmy koszmarnie zmagania z alfabetem, zresztą takie same przeżywała z cyrylicą. Do tego bardzo szybko weszła w irytujący tryb nastolatki, więc w wieku 9 lat miała wszystkie wady podrostka i dziecka, bez zalet związanych z każdą z tych grup wiekowych. Zadania po jakimś czasie dawałem babci, która obiecała, że zrobią. Często robili na odwal, w ogóle lub też uzupełniała je babcia. Jeżeli proszę o regularne prowadzenie tygodniowego kalendarza jedzenia, to trudno mi uwierzyć, że przez cały tydzień, dzień w dzień, wypełniała go tym samym kolorem, a do tego codziennie jadła to samo – kuchnia rosyjska bywa ciężka, ale bez przesady. Jeżeli daję jej wzorki do rysowania, to zapewne chodzi mi, żeby kółka wyglądały jak kółka, a nie trójkąty.

Przy tym wszystkim okrutnie było mi żal wszystkich zaangażowanych po drugiej stronie; ojca, który był dla mnie zawsze przeziębiony i kilkakrotnie paliliśmy sobie pod klatką schodową, dyskutując o życiu. No i babci, która chciała, żeby wnuczce jakoś poszło w życiu, tylko robiła za nią absolutnie wszystko i sprawiała, że im dalej w las, tym bardziej Ira miała wywalone na naukę absolutnie czegokolwiek. Pewnego dnia z dumą pokazała mi, że ma pałę z matematyki, tym samym zabijając jakąś naiwną wiarę, że może chociaż przedmioty ścisłe jej idą.

Od listopada pojawiła się pewna dodatkowa zachęta do odwiedzania Iry: kot. Został znaleziony na transformatorze wysokiego napięcia, dokąd porwały go wrony. Jakiś lokalny bohater wdrapał się na słup, przegonił ptaki i zniósł rozdziobanego malutkiego kotka ze złamanym ogonem. Kolektyw sąsiedzki postanowił ratować zwierzę i w ten sposób kociątko trafiło pod Irowy dach. Była to mała radość, ilekroć przychodziłem, to mogłem doglądać kota (któremu imię zmieniano przynajmniej raz na miesiąc). Prawdopodobnie przez wiele miesięcy naszej współpracy kot nauczył się więcej niż Ira. Niewykluczone, że magiczne kamienie, które babcia kupowała z gazetami i eksponowała na szafie też coś tam opanowały, niestety Ira nie.

W odróżnieniu od mieszkania Anastazji, tu wszystko było w naszym standardzie: kilogramy gratów, sypiące się AGD i dziwaczne dekoracje w stylu wypchanego ptaszka w klatce, dziecięcych plakatów z *Winx* i smutnych puzzli ze zwierzętami. Tyle że ten kot wnosił trochę życia do salonu.

W wigilię Ira wręczyła mi choinkowe bańki nawiązujące do rosyjskich bajek. Wzruszyłem się, zwłaszcza *Emelią* (to jedna z głębszych bajek kraju, ale na jej cześć zrobili tanie piwo). Jeszcze nie skończyłem dziękować, gdy Ira wywaliła:

– Jak się nie podoba, to do taty pretensje, on kupił, mi tylko kazał dać i złożyć życzenia.

Królowa salonów. Po stronie zysków niematerialnych – kilka razy dowiedziałem się od Iry o tym, że w szkole mówili im coś ciekawego. Choćby to, że Amerykanie ukradli Dziadka Mroza, zmienili mu imię, a czasem nawet pokazują go jako Murzyna w zielonym stroju. Albo o tym, że budownictwo mieszkaniowe w USA jest na o wiele niższym poziomie niż w Rosji. Czy też dramatyczna opowieść o tym, że zorganizowali im Dzień Kobiet i dostała niedobre czekoladki i brzydkie kwiatki. Już w tym wieku Ira rozwinęła materializm mogący zawstydić większość jej rówieśników. Niestety, tylko w tej dziedzinie udało jej się wyprzedzić swoją grupę wiekową.

Na jakiś czas Ira stała się moją ostatnią prywatną uczennicą. Przez cały październik dzwonili do mnie ludzie z pytaniami o edukowanie ich dzieci. Stadami. Musiałem odmawiać, bo albo nie wyrabiałem się czasowo, albo nie miałem ochoty zajechać się na śmierć. Co dziwne, ilekroć chciałem kogoś polecić, to nie, my wiemy, że pan i pan ładnie mówi po rusku. Zacząłem podnosić ceny. Nikogo to nie zraziło, bo wiele szkół prywatnych od września wywaliło swoje w kosmos. Dzięki temu można było mieć nauczyciela dojeżdżającego do mieszkania ucznia w cenie porównywalnej do szkoły językowej. Ba, ja to jeszcze byłem skromny, znam ludzi, którzy zaczęli prosić o 3000 rubli za 90 minut, a nawet 5000! I zdarzało się, że dostawali takie pieniądze.

Początkowe doświadczenia w uczeniu prywatnym mnie samego nauczyły kilku rzeczy:

1. Sprawdzać bardzo dokładnie odległość ucznia od metra. Jeżeli ludzie od razu nie mówią, że to trzy minuty z buta, zakładać, że będzie bardzo daleko. Albo spuścić po brzytwie, albo piłować cenę.

2. Krzyczeć dużo kopiejek, więcej niż to warto i więcej niż by wypadało. Ludzie w Moskwie lubią dużo płacić. Jeżeli powiesz za mało, to uznają, że jesteś desperatem, a potem jeszcze zaczną stękać, że po dwóch tygodniach dziecko na CPE nie gotowe. Skoro płacą dużo, to przecież nie powiedzą sobie tak łatwo, że wywalają pieniądze w błoto.

3. Znajomość rosyjskiego wygrywa bardzo wiele. Więcej niż amerykański czy brytyjski paszport. Bardzo wielu rodziców jest „me English no” i cenią sobie możliwość porozmawiania z guwernerem. Te rozmowy są o niczym i donikąd też prowadzą, ale mimo wszystko lubią wiedzieć, że jakby co, to można pogadać, choćby o tym, że jest zimno.

4. Wszystko jest robione na ostatnią chwilę. Początkowo marzyłem, żeby ustalić stabilny grafik, który pozwalałby mi na oszczędność czasu i mniej jeżdżenia po mieście. A gdzie tam, nie dość, że mój rozkład jazdy w głównej pracy ciągle ulegał zmianom, tak i plany moich uczniów były wielce niestabilne. W efekcie co tydzień biegałem gdzie indziej w innych godzinach. W Moskwie wszyscy tak żyją, ale ponieważ przez pierwszy rok tak nie miałem, naiwnie myślałem, że i drugi mi się uda. Nie udał.

5. Jeżeli ktoś chce zacząć „za tydzień”, to chleba z tej mąki nie będzie. Zapomną, coś im wypadnie, przełożą, przestaną się odzywać. Tylko „TERAZ!!! ZARAZ!!!”. Innych terminów stolica Rosji nie zna. Najlepiej teraz-zaraz, bo dziecko duka, a za tydzień ma egzamin B1. Albo ktoś ma słomiany zapał, który potrwa parę dni. Jeżeli się w to bawić, to lepiej pogodzić się z tym, że dojdzie do dwóch-trzech lekcji, a potem sprawa sobie spokojnie umrze.

6. Gdy rok temu kolega mówił mi, że wystarczy złapać jednego prywatnego ucznia, a potem występuje efekt lawiny, to myślałem, że bredzi, a przynajmniej przesadza. Nie bredził i nie przesadzał. Z jednej Nastii wyrosło mi ponad pięć możliwości. Z nich wyrastały kolejne. Gdybym akceptował wszystkich, to musiałbym rzucić główną pracę i zająć się tylko nimi. Oczywiście zarabiałbym o wiele lepiej i na swoich warunkach, ale niestety, rosyjska wiza pracownicza stanowiła pewną przeszkodę w tym planie. Zdrowiej też jeść dłużej, ale mniejszymi łyżkami.

Pewnego dnia babcia Iry dała mój numer swojej znajomej. Tak rozpoczyna się opowieść o jednym z najbardziej pamiętnych, przerażających i dochodowych doświadczeń w całej mej karierze nauczycielskiej.

Kult choroszej kopiejki – epizod 4. Kopiejka kontratakuję

[18.03.2017]

Nieznany numer, pewnie znowu dowiem się, że jestem winien Iwanowi kasę i jak nie oddam, to mnie dojadą. Albo że kupiłem volkswagena i kiedy przyjadę odebrać samochód. Oba te tematy nie są zmyślane, miałem takie rozmowy, tę o volkswagenie to nawet o 5 rano. Z jakiegoś powodu ludzie potrafią zadzwonić o 23 lub 4 rano, że chcą pieniądze albo żeby im doładować telefon. No nic, odbiorę, bo przecież może być ktoś znajomy z nowego numeru.

- Bo my mamy numer pana od Lery Iwanownej...
- Kogo?
- Pan uczysz jej wnuczkę prywatnie.
- Irę?
- Tak, tak, właśnie tak. Bo my też potrzebujemy nauczyciela.

Była końcówka października. Mój grafik się zagęszczał, ale jeszcze byłem w stanie tyknąć coś w ciągu tygodnia. Ira mi spadła na niedzielę i byłem z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Niby dwie godziny, ale zawsze, z niedzieli robił się dzień pracujący. Nie mogłem jej i tak przesunąć, ale nie paliłem się do kolejnego ucznia. Z drugiej strony, zaczynał mnie wciągać temat, bo tak jakoś ciężiej się robiło w portfelu, a lżej na duszy. Bardzo mi jednak nie zależało, więc krzyknąłem dużo. Temat chwycił. Byłem pewien, że to jakaś sąsiadka babci Iry i że może uda mi się na jednym przejeździe robić dwie lekcje, niekoniecznie w niedzielę. Umówiliśmy się na spotkanie zapoznawcze po kolejnej lekcji. Wybór miejsca i terminu wskazywał na to, że mieszkają w pobliżu.

Skończyłem z Iry, była jakaś 16:10, rozpoczęła się odyseja dzwonienia, gdzie też przy stacji Ulitsa 1905 Goda możemy się umówić. Wychodziło, że moja interlokutorka rozumiała to wszystko inaczej niż ja, położyłem i podzwoniłem solidnie, zanim ich w końcu znalazłem.

Siedzieli w samochodzie z cyklu symbol statusu, terenówka w skórze. W środku ojciec, babcia i dziecko. Jezusie Nazareński, my tu mówimy o paru lekcjach języka, a nie planie adopcyjnym. Ruszyliśmy z parkingu i rozpoczęliśmy jeżdżenie po centrum Moskwy, szukając miejsca do zatrzymania się na kawę i ciastka. Po drodze rozmawialiśmy o milionie rzeczy. Mój rosyjski zebrał komplementy, moje polactwo już nie, ale ten rosyjski je przyćmiewał. Podobnie podobała im się suma moich doświadczeń z Kitaja, ale już nie z Gruzji.

Jest to wzruszające, jak ludzie potrafią pytać o rzeczy, o których nie mają pojęcia. Już same pytania pokazują, że nie wiedzą, a im dalej, tym lepiej. Najzabawniejsze są zawsze subtelne dywagacje, czy aby nie jestem pedofilem, no bo mężczyzna z dziećmi? Tu ich nie było, bo właśnie mężczyzny szukali. To kolejna kpina: „nasze dziecko musi mieć męskiego nauczyciela, bo tylko on je postawi do pionu”. Akurat w naszej drużynie Aligator bardziej stawia uczniów do pionu i to o jakieś dobre kilkanaście procent niż ja, no ale jak wyjaśnić rodzicom, że po prostu tak to działa i posiadanie ptaka nie determinuje charakteru? Z moich doświadczeń większość mężczyzn, którzy uczą, jest mniej piśmiana niż kobiety. A jak do równania dodamy Rosjanki, to szala przechyla się zdecydowanie na korzyść kobiet. Jeżeli potrzebujecie kogoś, kto się pozna nad dzieckiem i na nie powrzeszczy, to celujcie w samotne, starsze Rosjanki. Oczywiście 100% gwarancji nie ma, ale szanse są spore.

Dziecko przedstawiło się jako Dania (długo się prosiłem o tę informację), miało lat 6 i coś tam po angielsku ogarniało, wydawało się, że więcej niż standardowy okaz na tym etapie życia. Walę więc do starszyny plemiennej, że mogę go uczyć, jak mi się wpasują w grafik. Mówią, że mają nieco alternatywne życzenia niż takie zwykłe lekcje, chcieliby, żeby spędzać z nim czas, a nie tylko uczyć – pójść z nim do kina, może na hokej, do restauracji. Chcieliby, żeby te spotkania były na wiele godzin, może dni, oni mi oczywiście będą za to płacili moją stawkę godzinową. Dziwne, ale wiele godzin, to wiele kopiejek. Jeżeli przy cenie, którą uzgodniliśmy, robiłbym z nim jakieś cztery godziny tygodniowo, to jestem bogaty. Dobyłem kartki i rozpisałem, jak akurat miałem wtedy zajęcia.

Oglądaliśmy to wspólnie i okazało się, że Dania ma strasznie w chuj rzeczy do roboty – a to hokej, a to francuski, a to logopedę. Jakoś tam wybraliśmy godziny najmniej niedogodne dla wszystkich i ustaliliśmy, że zaczynamy za dwa dni. Wskoczył dość dziwny temat:

- Czy nie chciałby pan u nas mieszkać?
- Ja mam kontrakt, ja pracuję w szkole.
- Możemy wykupić pana kontrakt, pieniądze to nie problem.
- Dziękuję, może zobaczymy, jak to będzie wyglądało i kiedyś jeszcze powrócimy do tematu.

W końcu znamy się już z 10 minut, więc wizja wprowadzenia się do państwa wydaje mi się bardzo rozsądną i nic mnie w niej nie dziwi. Zapytałem, która stacja metra, zgadywałem, że ta, przy której się spotkaliśmy, ale może się przecież okazać, że jednak gdzieś indziej, jedną w prawo lub lewo.

– Nie, nie, tam gdzie mieszkamy nie ma stacji metra. Pan sobie dojedziesz na jakąś stację i będzie czekał samochód.

Kurwa, będę uczył jakichś rolników z podmoskwia. Zasugerowałem, że ten dojazd będzie mi zajmował dużo czasu, więc zaproponowali, że za niego zapłacą. Świetnie, która stacja metro? Kuncewo. Ech, no dobrze, mogło być gorzej. Wtorek rano, Kuncewo, będzie kierowca. Ogarnęliśmy logistykę, wyrzucili mnie w średnio oczekiwanym przeze mnie miejscu. Szczęśliwie, Moskwa to metro, metro to Oktyabrskoye Pole, Oktyabrskoye Pole to dom. Wróciłem. Kupiłem sobie ładne piwo. Nie wiedziałem, czy jest po co. Na odpowiedź musiałem czekać kolejne dwa dni, a życie w Moskwie nauczyło mnie tego, że w takim czasie ludziom potrafi się wszystko odmienić. Z drugiej strony, wyglądali na zdeterminowanych.

We wtorek o 11 rano byłem na stacji Kuncewo. Ze strony piorun wie jakiej. Znalazłem się z kierowcą. Spytałem, dokąd jedziemy. Powiedział, że na Żukówkę. Nic mi to nie powiedziało. Zanim mogłem dopytać, musiałem jeszcze pogadać sobie o tym, jakim cudem nie jestem z USA i czy tak można sobie przyjechać z Polski i uczyć angielskiego, bo to przecież niemożliwe.

Chyba każdy Rosjanin wie o Rublowce. Rublowka to podmoskiewskie osiedle rosyjskich milionerów, gdzie ceny gruntów są obłędne, kicz przelewa się przez kilkumetrowe płoty i wszystko jest symbolem statusu. Obecnie z racji kryzysu podobno nieco w tej okolicy potaniało, ale uciekająca z Ukrainy oligarchia pomogła utrzymać ceny na wysokim poziomie. Historia prestiżu okolicy zachodniej części Moskwy sięga samego Lenina, który tamże wyzionął ducha. Stalin miał dachę właśnie na Kuncewie i umarł sobie tam (niestety, do dzisiaj nie wolno wejść, podobno pilnują tego panowie z ostrą bronią i słabym poczuciem humoru). Potem mieli tam swoje dachy Breżniew i Jelcyn, a obecnie mieszkają Putin i Miedwiediew. Nie wiedziałem, że Rublowka dzieli się na kilka części, a jedną z najbardziej prestiżowych jest Żukowka. Sama Rublowka z okien samochodu nie powalała, przyroda typowo rosyjska – rachityczne drzewa bez liści, oczywiście brzozy, jakieś chaszczce, dużo błota, mało chodników. Przy wyjeździe z Moskwy droga była dość szeroka, ale potem stała się zwykłą dwupasmówką. Za to pełno sklepów w stylu Porsche i luksusowych butików. Wyglądało to kuriozalnie. W końcu przyjechaliśmy na miejsce, czyli do bramy grozonego osiedla, na wejściu stali panowie z bronią. Na drodze wewnętrznej absolutny zakaz jeżdżenia szybciej niż 20 km/h, kara za wykroczenie: 5000 rubli. Trochę mi się śmiać chciało: w normalności ludzie nie muszą zamykać się na bardzo drogich grodzonych osiedlach, żeby przestrzegano przepisów drogowych. A droga taka, że nie wiem, jak można by tam szybciej jechać. Podjechaliśmy pod bramę, powitała nas ochrona wewnętrzna, w strojach wojskowych i z bronią. A ja myślałem, że to jacyś podmoskiewscy rolnicy będą. Jezus Maria, w co ja się wpakowałem?

Rezydencja robiła wrażenie rozmachem i całkowitym bezguściem. Kto, kurwa, w środku Rosji buduje greckie kolumny i po kiego chuja? Portyk cały! Dookoła kolejny płot. W ogrodzie topiary, rzeźby z trawy, dominowały dinozaury. Stało kilka samochodów i kilku kierowców zabijało czas, gadając ze strażnikami. Szofer zaprowadził mnie do domu, gdzie przejęła mnie służba. Wkroczyłem w realia wcześniej mi nieznane.

Wewnątrz mieli oczywiście drewniany parkiet, wszystko czyste, ogromne i całkowicie martwe, wręcz sterylne. Białe lub kremowe ściany, robione na wymiar szafy z jakichś bardzo cennych gatunków drewna. I w tym całym dobrobycie nie mieli pantofli dla gościa. A ja akurat miałem skarpetki w szopy, bardziej kontrastować z wnętrzami byłoby trudno. Stałem więc w wielkim przedpokoju w stylu *Przeminęło z wiatrem* i nie wiedziałem, co ze sobą robić. Udało mi się spytać jakąś służącą o łazienkę, wskazała mi. Tam czekały już ręczniki bawełniane do jednorazowego użytku, a i papier toaletowy jakby inny niż ten, co ja zwykłem kupować.

W końcu zjawiła się babcia Dani i zaprosiła mnie do salonu. Zasiadłem przy wielkim stole suto zastawionym talerzami i sztućcami. Pełno szkła, luster, kieliszków, kilkanaście typów widelców, a krzesło było tak ciężkie, że myślałem, że sam go nie odsunę. Zasiadłem i rozglądałem się. Za bardzo nie wiedziałem, co mam robić. Stan ten pojawiać się będzie bardzo często podczas moich wizyt na Żukowce, ale nigdy nie stanie się dla mnie przyjemnym. Po jakimś czasie dostałem domową lemoniadę ze świeżo wyciskanych owoców. Po chwili pojawił się talerz zupy z krewetkami, a ja postanowiłem nie informować gospodyni, że nie jem mięsa i nie lubię krewetek. Widziałem też, że nie są to takie krewetki z mojego sklepu osiedlowego, tylko jakby nieco większe. Przy tym ile kosztują te z osiedlowego, to te musiały być warte więcej niż ja. Siedziałem i jadłem sam ze sobą. Szczęśliwie dali jakieś wyszukane pieczywa, więc kombinowałem, żeby nie czuć tych krewetek za bardzo – trochę tego puchatego pieczywa, trochę słonego, krewetka z zupą, weszło, zapić sokiem. Zastanawiałem się, czy to znaczy, że zawsze będę dostawał obiad, a jeżeli tak, to czy nie lepiej powiedzieć, że nie jadam mięsa, o ile krewetki wcisnę, to już jakiegoś języka wołowego nie.

Po jakimś czasie Dania przyszedł ze szkoły. Przyniósł sobie hamburgera w styropianowym pudełku i sok w butelce.

– Nie chcesz tej pysznej zupy i świeżutkiego soku z miliona owoców z przyprawami?

– Nie, ja wolę to!

Siedziałem więc i patrzyłem, jak Dania spożywa hamburgera. Babcia zasugerowała wnukowi, żeby pokazał mi dom. Poznałem psa-miniaturkę, którego miał od paru tygodni. Przy okazji zauważyłem dość dużo zdjęć jakiegoś faceta w garniturze z Putinem i Miedwiediewem. Dzięki temu mogłem sobie odpuścić jakiegokolwiek pytania o poglądy polityczne. Dom, jak już wspomniałem, wielki. Boazerie, lustra, meble stylizowane na stare, pełne obić i drewnianych krawędzi.

– Dania pokazał dom?

– Tak, piękny dom. To chyba przejdziemy do lekcji?

– A czy Dania pokazał kino? Nie? Dania, pokaż panu kino! Oglądajcie sobie film.

Na trzecim piętrze naprawdę mieli kino. Przed wejściem trochę zdjęć gwiazd, ale wszystko standardowe, bez polotu – Marilyn Monroe, Marlon Brando z *Ojca chrzestnego*, Charlie Chaplin. Sala niezłych rozmiarów, całe życie o czymś takim marzę. Bywałem w mniejszych kinach studyjnych. Nadszedł czas wielkiej decyzji: co też oglądniemy? Po chwili Dania wybrał *Madagaskar 3*, po angielsku – bo mieli i po rosyjsku (w ogóle mieli takie hektary filmów, że człowiek mógłby tam siedzieć z miesiąc). Dziadek okazał się mieć etat operatora i rozpoczęliśmy seans. Czasem robię takie krótkie ćwiczenia z moimi uczniami, zależnie od poziomu – co widzimy, co wydarzy się dalej, co się wydarzyło, co ona ma ubrane, jaka jest pora roku, pogoda. Wybieram jednak formy krótkie i przygotowuję sobie pytania, więc więcej z tego gadania niż oglądania. Ale jak naukowo rozegrać cały *Madagaskar 3* z uczniem na poziomie A1?

Ilekróć próbowałem z nim rozmawiać, kazał mi oglądać film i być cicho. W sumie dobry nawyk, ja też nienawidzę, jak ludzie gadają podczas oglądania filmu. Przez jakąś godzinę piłowaliśmy ten *Madagaskar 3*, a ja go czasem męczyłem, żeby mi coś powiedział po angielsku. Wiele z tego nie wynikało – to tygr, to żyraf, to duże, tamto małe. W pewnym momencie przyszła babcia i podała nam migdały z rodzynkami i chujowe ruskie batoniki. Dania wybrał batoniki, ja migdały z rodzynkami. Wezwano Katię, która była guwernantką Dani i jego brata. Niestety, okazało się, że Dania się z nią nie

lubi i głównie z tego powodu wymyślono mnie. Katia jeszcze przed „dzień dobry” była nastawiona do mnie jak ZUS do emeryta. Nie takie dziwne, zapewne bała się, że zacznie się od jednej lekcji, a skończy na tym, że wyrucham ją z pracy. Porozmawialiśmy więc o Dani, a gdy wyszła, to babcia mnie spytała, czy Katia aby dobrze mówi po angielsku. Zaznaczam, że babcia nie mówiła w ogóle. Powiedziałem, że mówi rewelacyjnie i wtedy zza kadru powinien był rozbrzmieć głos: „A MOĞŁ ZABIĆ!!!”, bo przy tym, w jaki sposób Katia ze mną rozmawiała, to rosyjskie służby graniczne są miłe.

W końcu udało mi się iść z Danią do jego pokoju. Pokój średnio dla dziecka, chyba że już w takim wieku ktoś odkrył w sobie pasję do drewnianych skrzyń i kilkumetrowych biurów. Spróbowałem zobaczyć, czy pacjent potrafi pisać – bo z mówienia już wiedziałem, że jest dobrze. Nie umiał, świetnie, to jasne, czym się będziemy zajmować, już setki ludzi nauczyłem w życiu pisać. To jeszcze niech zobaczę książki, jakie masz w szkole. O, dobre książki, tak, takie powinny być.

Czas naszego widzenia zbliżał się ku końcowi. Na zajęciach okołojęzykowych spędziliśmy w sumie ze trzy minuty. Na krewetkach, *Madagaskarze* i diabli wiedzą czym – ponad dwie godziny.

Babcia zapytała co i jak. Odparłem, że chętnie go będę uczył, że zajmę się jego zdolnościami pisanymi („Ooo, to pan wiesz, że on nie umie pisać!!! Jak to możliwe, że tak szybko pan żeś zauważył?”). Zapytała ile. I tu pojawił się problem: realnej pracy wykonałem zero. Za to oglądałem film rozwalony na wielkiej kanapie i jadłem lepiej niż w domu. Z drugiej strony, no nie był to mój czas wolny. Mówię więc, że trudno mi to wycenić, więc zasugerowałem opłatę za jedną godzinę. Dostałem za dwie. Nie żałowałem tej wyprawy.

Na stację metra odwiózł mnie kierowca. Gdy staliśmy uwaleni w korku, zobaczyłem reklamę czasopisma dla mieszkańców Rublowki. Okładka zachęcała czytelników do kupna, kusząc tym, że w środku znajdą odpowiedź na pytanie „Jak pokazać bogactwo, a nie popaść w kicz?”. Pomyślałem sobie, że znam ludzi, którzy powinni wykupić sobie całoroczną prenumeratę. Tym razem miałem dość rozmownego kierowcę, który chętnie odpowiadał na moje pytania. Dowiedziałem się, że korki są, bo władza jeździ. Putin podobno lata helikopterem, ale Miedwiediew to tak koło 9 rano jedzie do centrum, a koło 15 lubi sobie wrócić na obiad do domu, no i dlatego stoimy. Ale i tak dobrze, bo czasem zamykają całkiem i w ogóle nie da się nigdzie przejechać, tylko na bok trzeba zjechać i czekać, aż przejadą.

Mieli do mnie dzwonić w ciągu paru dni, żeby umówić kolejne spotkanie, ale temat Żukowki-Rublowki urwał się na jakieś dwa miesiące. Nie odezwali się do mnie, a ja z tego powodu nie cierpiałem. O sprawie praktycznie zapomniałem, miałem wiele innych rzeczy do zabicia czasu. Ba, ja wręcz byłem zawalony robotą po suficie, koncentrowałem się na własnym rozwoju naukowym, miałem ważny egzamin do napisania i wizja jeżdżenia po podmiejskich posiadłościach dla kopiejkii całkowicie nie współgrała z moim grafikiem.

[18.03.2017]

Pod koniec listopada mój telefon nagle zaczął dziko dzwonić. Dzwoniła babcia z Żukowki i kręciła do mnie przez niemal cały piątek. Był to jeden z takich dni, że miałem, co robić, więc nie odbierałem, postanowiłem sprawę zignorować, niech będzie to ten przypadek, że brak odpowiedzi jest najbardziej znaczącą wiadomością. Mielście dzwonić ponad miesiąc temu, nie zadzwoniliście, po sprawie. Za dwa tygodnie miałem mieć egzamin i żadne, żadne, nawet najbardziej chorosze kopiejki mnie nie interesowały, bo piłowałem zestawy egzaminacyjne, czytałem literaturę przedmiotu, a jeszcze do tego uczyłem kilka grup.

Koło 21 wróciłem do domu, odbiłem sobie cydr i oddzwoniłem. Tylko dlatego, że miałem DWANAŚCIE nieodebranych połączeń i zacząłem się zastanawiać, co też mogło wprawić ich w taką determinację. Poza tym bałem się, że będę mi wydzwaniali przez całą sobotę. Po drugiej stronie słuchawki czekał mnie surrealizm na miarę Salvadora Dalego.

– JAKIE TO SZCZĘŚCIE, ŻE PAN DZWONI!

– Nie no, luz, ja tylko miałem cały dzień szkołę, a nie będę omawiał prywatnego ucznia w miejscu pracy.

– To cud! Bo my wiemy, że Bóg nam ciebie zesłał!!!

Napiłem się dużo cydru.

– Bo my od dawna szukamy nauczyciela dla Dani i on nikogo nie akceptuje, on chce pana.

– No dobrze, tylko mieliście dzwonić dwa miesiące temu, ja obecnie nie mam na nic czasu.

– Ja dam matkę Dani! Ona pana przekona.

Chyba jak zakrzywi czasoprzestrzeń albo nauczy mnie bilokacji... Matka Dani wybrała angielski. Kadziła mi dobre kilka minut, zanim przeszła do rzeczy. A rzecz taka, że Danię trzeba edukować.

– No fajnie, tylko ponad miesiąc nie dzwonicie, a teraz nagle wielka pasja do nauki. Ja mogę z tym żyć, ale pewnie zaraz wam się znowu odwidzi.

Oczywiście, że nie odwidzi się, oni zrozumieli, że koniecznie to ja muszę uczyć Danię. Przy tym, ile chcieli płacić, to mogli sobie zatrudnić profesora uniwersytetu. Rozpoczęto wielkie przepraszanie, że milczeli. Czułem się durno, to jest w końcu biznes, a nie małżeństwo ani wojna, przepraszać to można świat za Ksenię Sobczak.

Umówiliśmy się na za dwa tygodnie, bo wcześniej za nic nie mogłem. Stwierdziłem, że czy Bóg mnie zesłał, czy Aeroflot, to im się pewnie odwidzi przez te dwa tygodnie i temat zginie. Myślałem, że to koniec rozmowy, ale myliłem się. Wesoła karuzela śmiechu dopiero się rozkręcała.

– Chcielibyśmy, żebyś pan z nami jechał na Sylwestra na NIE ZROZUMIAŁEM.

– Przepraszam, dokąd???

– To jest na Wyspach Kanaryjskich, mamy tam dom.

– Jakie Wyspy Kanaryjskie? Wy mnie w ogóle nie znacie, a ja was.

– Ach, proszę jechać! To właśnie lepiej się poznamy. Spędzimy miłe dwa tygodnie! Pozna pan Danię i nas!!!

Skończył mi się cydr i zaschło w gardle. Kto zaprasza obcą osobę na wspólne spędzenie dwóch tygodni świąt w prywatnej rezydencji na Wyspach Kanaryjskich? Przecież to jakiś obłąd. Co im powiedzieć? Pomógł nawyk planowania wszystkiego z wyprzedzeniem: miałem już kupione bilety do Woroneża. Gdzie oni mi tam z jakimiś banalnymi Kanarami, jak tu Woroneż czekał na odkrycie! Zagrałem kartą Aligatorzą. No już we dwójkę nas tak bardzo brać nie chcieli, chociaż mieliśmy się

zastanowić, czy aby nie chcemy, bo w sumie by się dało. Nie, nie chcieliśmy.



Tylko idiota zamieniłby Woroneż na Kanary! (źródło: www.wyspykanaryjskie.pl)

Dwa tygodnie później telefon milczał. Czyli jednak im się odwiedziało, coś za niespodzianka! Zrzućmyliby mi jeszcze wyjazd do Woroneża tymi Kanarami! Dopiero pod koniec grudnia zadzwonili, że jednak tak. Rozmowa miała miejsce w poniedziałek, poprosiłem, żeby mi potwierdzili w czwartek wieczorem. Miałem ogólnie nieco luźniej w życiu, więc ni mnie to ziębiło, ni grzało, że taki cyrk odchodzi.

Nie zadzwonili, więc w czwartkowy wieczór zaprzyjaźniłem się z cydrem i ruskim piwem Emelia, bo akurat w następny piątek szedłem do roboty na 18. Pooglądaliśmy sobie filmy do 2 w nocy, bo skoro mogliśmy, to czemu nie? Z racji tego, że plan miałem taki luźny, to nie ustawiałem żadnego budzika.

Ze snu wyrwało mnie *Badlands* Springsteena, bo taki właśnie mam dzwonek połączenia przychodzącego. Była 9:27 i była to oczywiście babcia z Żukowki z dramatycznym pytaniem, o której się widzimy, bo Dania w sumie dzisiaj już nie pójdzie do szkoły. Normalnie kraj jeszcze szedł, jak nie na lekcje, to na jołki i inne gówno, ale „normalnie” to nie arystokracja z Żukowki spod greckiego portyku. Zebrałem jakoś tam myśli, że niech będzie 11:30, ale nie Kunczewo, nie dam rady w takim czasie się zebrać i dojechać. Musi być moja stacja metra, Oktyabskoye Pole. Babcia zgodziła się bez najmniejszych oporów. Zjadłem śniadanie, umyłem się, zebrałem materiały dla Dani – leżały gotowe od jakichś dwóch miesięcy. Rozpoczął się festiwal słuchania *Badlands* jako połączenia przychodzącego, tym razem od kierowcy, a nie od babci.

Jakie są ulice na Oktyabskim Polu? Podałem główne. On, że dobra. Pięć minut później znowu *Badlands*, może bym pojechał na stację Kutuzonovskaya. Pan z chuja spadł chyba, z 50 minut będę jechał. Może być coś przy stacjach Szczukinskaya albo Polezhayevskaya, bo te są blisko mnie. Dobra, to Szczukino. *Badlands*. Że w sumie Oktyabskoye Pole. 3 minuty później. *Badlands*. Może Szczukino jednak. Dobra, Szczukino. Dostałem się tam parę minut przed czasem, *Badlands*, szukamy się, znaleźliśmy się. Jedziemy. Zacząłem się zastanawiać, czy ja aby na pewno chcę tego utworu tak często słuchać.

Kierowca był w wieku emerytalnym, pogawędkę rozpoczęliśmy od tego, co Polacy myślą o zamachu w Berlinie. Opowiedział, że pracował przez wiele lat na Szczukinie, ale już nie pamięta niczego, poza tym, że na Oktyabrskim Polu bardzo źle się autem jeździ. To są żelazne punkty rozmów z kierowcami w Moskwie, gdzie tak bardzo źle się jeździ i jak dramatycznie nie da się zaparkować. Ponieważ źle jeździ się wszędzie, a zaparkować nie da się nigdzie, to owoce tych rozmów są dość przewidywalne, niemniej nierzadko satysfakcjonujące.

Z tej rozmowy o problemach topograficznych zachodniej Moskwy jakoś gładko przeszliśmy do tego, że Stalin miał rację, deportując Czeczenów. Ich to trzeba wybić do nogi! Że jemu bohater Związku Radzieckiego w Leningradzie w 1976 mówił o tym, że Czeczeni mordowali Rosjan za jakieś głupie spalanie wioski! No, kto to widział, żeby za spaloną wioskę mordować żołnierzy? Że głowy takich młodych rosyjskich żołnierzy na pale nabijali, co 100 metrów głowy Rosjan były! I poszło! Arabowie nie mają nawyków pracowania. Niemcy to już nie Niemcy. Dobrze, że Stalin deportował Niemców Nadwołżańskich (używano określenia „Niemcy z Saratowa”). Ukraina to nie jest kraj! Jak Polacy mogli zapomnieć, że Ukraińcy ich mordowali?

Miłe 30 minut ruskiego nacjonalizmu w rozkwicie, w tym jeszcze pozycja Chin w świecie, co mają zrobić kraje OPEC, jakie są trendy na kursach walut, no nie nudziłem się. Miałem takich rozmów z milion, więc za bardzo się nie piłowałem o ten nacjonalizm, bo i tak wiem, że do niczego to nie prowadzi. Zawsze miło usłyszeć, że Stalin miał rację. Tak sobie gadaliśmy, ja robiłem balony z gumy i trochę powyklinałem rzeczywistość mojej pracy i kursy walut, dodając, że PLN dołuje lepiej od rubla. Rosjanie uwielbiają słyszeć, że Polska, co im uciekła w Jewro Sajuz, ma ekonomię w dupie i walutę też. Zaprawdę, można na tym budować przyjaźnie międzynarodowe.

Po przybyciu na miejsce okazało się, że moim kierowcą był dziadek Dani. Widziałem faceta kilkadziesiąt sekund w październiku, gdy bawił się w kinooperatora. Po takim czasie i w ciuchach zimowych, a także kaszkiecie, nie poznałem go. Chwała, że nie rzuciłem niczego o pojebanych nowobogackich pracodawcach, co nie wiedzą czego chcą i dzwonią po sto razy.

Jeszcze zanim wszedłem, ujrzałem, że hacjendę solidnie odwalili na święta. Na parapecie mieli wypchanego lisa śnieżnego, w ogrodzie dinozaury ustąpiły miejsca Mikołajowi i reniferom. Czyli jednak nie kupili sobie tego czasopisma o pokazywaniu bogactwa bez popadania w kicz...

Tym razem byłem lepiej przygotowany i miałem skarpetki czarne, a nie w szopy, dzięki temu mogłem maskować swoje stopy na niektórych dywanach. Dania w sumie się ucieszył, że przybyłem, ale też bez przesady. Babcia zaordynowała naukę, Dania powiedział, że woli film. Na te słowa babcia dała się przekonać i wysłano nas na film do znanej mi już nieźle sali kinowej na trzecim piętrze. Następne kilkadziesiąt minut ogarniałem *Smurfs 2* – losy Gargamela, kota i bohatera zamienionego w kaczkę. Efekty naukowe tego podejścia były do przewidzenia. W czasie seansu pobawiłem się takimi gwoździakami jak z klipu do *Only NIN*, już nawet nie udawałem, że próbuję coś z nim osiągnąć, ale czułem się arcydurnie. Potem przyszedł brat Dani, Maksym. Maksym miał cztery lata, był biegły w angielskim, francuskim, no i rzecz jasna rosyjskim. Za nim pojawiła się Katia, znana mi z poprzedniej wizyty domowa guwernantka, co się z Danią nie polubiła. A jako że ze mną też nie, więc można by powiedzieć, że mieliśmy przynajmniej coś wspólnego, chociaż Dani chyba nie posądzała o to, że chce jej odebrać chleb. Gdy tylko się dowiedziała, że nie mówię po francusku, przeszła z Maksymem na ten język. W efekcie Maksym mówił po rusku z Danią, ze mną po angielsku, a z nią po francusku. We wszystkich trzech narzeczach komentował *Smurfs 2*, do tego omawiał ze mną *Star Wars: Rogue One*, używając przy tym całego zaawansowanego słownictwa – *blasters*, *lightsabers*, wszystkich imion bohaterów i present perfect, do tego czasów ciągłych. Gdzieś tak kątem oka widziałem, że Dania nie jest za szczęśliwy, że ucinamy sobie pogawędkę, a na niego nikt nie zwraca uwagi. No cóż, co poradzić? Ty przez godzinę chimerycznie milczysz, a brat wpada i jest oceanem energii.

Zaproszono mnie na posiłek, dziecięta odmówiły pójścia. Skomplementowałem babci, co mogłem znad talerza zupy z grzybów, na które mnie nie stać i jakich w sklepach, gdzie kupuję jedzenie, nie sprzedają. Posiliłem się też truskawkami i czereśniami (takie cuda w grudniu kosztują fortunę!) oraz francuską bagietką (oczywiście świeżo przywiezioną z piekarni). Przypiliowałem, że ja naprawdę muszę z Danią sięść do roboty.

Poszedłem do jego pokoju i usiedliśmy. Dania wyjął grę planszową z wiewiórką z *Ice Age* i odmawiał zajęcia się czymkolwiek, dopóki nie zagramy. Zegraliśmy, oszukiwał, wygrał. To robimy.

Dałem mu ćwiczenia na pisanie. Dość dobrze zaczął, ale jak zrobił błąd, to go poprawiłem i tak nim to wstrząsnęło, że uciekł dwa piętra niżej, schował się do szafy i nie chciał wyjść. Spocząłem obok jego kryjówki i bawiłem się z psem. Od naszego ostatniego widzenia pies wypadł z łask Dani i snuł się porzucony po tej wielkiej rezydencji. Siedziałem więc przy szafie, zabawiałem psa i prosiłem Danię, żeby wyszedł. Dania nie wychodził przez kilka minut, więc poszedłem szukać babci. Po drodze spotkałem z pięć osób ze służby, więc: „Zdrastwujcie, gdzie babuszka?”. W końcu znalazłem babcię, a jej udało się przekonać Danię do tego, że z szafy uciekł do sypialni rodziców i schował się pod kołdrą. Teraz uparcie odmawiał wyjścia spod kołdry zamiast z szafy, była to zawsze jakaś odmiana i urozmaicenie. Zastanawiałem się tylko, co ja robię w tym filmie i kto wynajął tego scenarzystę. Babcia powiedziała do wnuka, że przecież brat taki grzeczny, a on to co? Brak reakcji. Postraszyła go tym, że zadzwoni do ojca, ale i to nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia. Dość szybko zrozumiałem dlaczego. Dobyła telefonu i dała na głośnomówiący. Rozmowa z ojcem wyglądała mniej więcej tak:

– Dania, ale zrób ćwiczenia z angielskiego! Jak ładnie zrobisz, to pozwolę ci przyjść do mnie do pracy na popołudnie. No zrób, no ja cię proszę, no Dania!



*Obrazowe wyrażenie moich myśli:
„Nie obrażaj dzieciaka!”*



„Dług każdego ucznia – dobrze się uczyć!”

Dania dał się przekonać, początkowo do bycia ze mną w pokoju, bo jeszcze nie do uzupełniania obrazka literkami. Zaproponowałem mu dość prosty interes: robisz trzy worksheets i masz mnie z głowy. Zrobił w 10 minut, prawie wszystko dobrze, już go za wiele nie poprawiałem, bo przecież mógł mi znowu uciec. Nie mógł uwierzyć, że deal jest deal i że tyle, tak jak mu powiedziałem. Że robota skończona, ma wolne, może sobie uciekać do szafy, pod kołdrę albo do pracy ojca.

Chwilę później poszedłem do babci i zacząłem objaśniać sytuację. Po pierwsze, przestańcie go w jego obecności porównywać do brata na skali „jesteś gorszy od Maksyma, chociaż ma 4 lata, a ty 6”, bo go zajeście, w sumie już zajeśliście. Po drugie, rutyna i normy. Nie może być tak, że składa się modły i obietnice za to, że chłopak zrobi proste ćwiczenie. Po trzecie, on z angielskiego i ogólnego rozwoju jest zasadniczo ponad poziomem. Tak, jego brat jest jeszcze na innym etapie życia, ale Dania puszczony do naszej szkoły, dostałby o wiele więcej punktów w testach niż większość uczniów w jego wieku. Po czwarte, czy on ma jakichś kolegów? Bo szuka przyjaźni jak szalony. Od paru godzin we mnie, a ja mam o kilka lat więcej niż on i to nie bardzo tak może być.

Dowiedziałem się, że to chwala, że on nie jest zapóźniony, bo bali się, że to istny debil. Maksym ma opanowane trzy języki, a Dania zaczął mówić dopiero jak miał cztery lata. No późno, ale bywa. Był pierwszy, więc się z niego bardzo cieszyli i być może go nieco rozpieścili. Nieco... O zabawki to się przewracałem, większość leżała w pogardzie. Ale jak tylko wykazywało się zainteresowanie, to Dania prezentował kolejne *igruszki* i nawet próbował mi opowiedzieć coś o nich po angielsku. Widziałem też, że ma słabą cierpliwość, słabszą niż większość dzieci, ale to nie takie dziwne, skoro miał takie przeładowanie bodźcami na każdym kroku i w każdej chwili. Na me ostatnie pytanie padła odpowiedź, że niestety nie, nie ma żadnych kolegów. Bo ja przecież widzę, że on jest niesłowiański. Ano nie jest modelowym Iwanem, wygląda gruzińsko-ormiańsko. Czy ja słyszę, że źle wymawia głoski w ruskim? No słyszę, że te „ż, szcz, cz” mu słabo wychodzą, bywa, mam więcej takich uczniów. Ba, są ludzie, którzy całe życie mają z tym problemy. Z tego powodu w szkole się z niego śmieją. Nie ma żadnych kolegów. „Sąsiedzi prędeż pozwolą dzieciom bawić się z psem niż z nim. Z PSEM! W szkole go wyzywają i się z niego śmieją, że jest czarny! No czy on jest czarny? No przecież nie jest! I nie ma się z kim bawić!”.



O, właśnie tak! „Człowiek człowiekowi – przyjacielem, towarzyszem, bratem!”

Wyjaśniłem, jak tylko delikatnie potrafiłem, że to nie może być moja ręka, bo najpewniej mnie znienawidzi, a w najlepszym razie będzie się mnie bał, a to nie o to chodzi. Że rutyna i praca, bardziej niż osiągi. No i tak sobie pogadaliśmy, ona swoje, ja swoje, jedno z drugim punkty styczne rzadko znajdowało. Padło pytanie, czy mógłbym przyjść następnego dnia. Może jednak chciałbym się do nich wprowadzić? Dobrze zapłacać!!! Nogi się pode mną ugięły.

Odparłem, że wydaje mi się, że mamy tu kilka problemów. Na dzień dobry, ja mam nieco więcej lat niż on. My się tam oczywiście możemy jakoś zaprzyjaźnić, ale to nie ma nic wspólnego z językiem angielskim, tylko z całkiem innymi rzeczami. Obawiam się, że nie rozwiążecie tego, kupując mu nauczyciela w charakterze kolegi, chociaż przy tym, ile chcecie płacić, to ja sobie sam kupię kilku przyjaciół.

Babcia na to, że mi powie, bo nie jestem Rosjaninem, więc chyba i ja to zrozumieć, bo wiem, jacy są Rosjanie. Opowiedziała mi, że są wykluczani społecznie. Że nikt z sąsiadów nie chce mieć z nimi do czynienia, nigdzie ich nie zapraszają, do nich nie przychodzą, a na ulicy unikają. Do tego Dania potrzebuje męskiej ręki, a w domu takiej nie ma.

Po oglądnięciu grafiku Dani ustaliliśmy, że spotkamy się we wtorek dość późnym wieczorem. Rozkład zajęć Dani na każdy dzień zawierał język obcy, logopedę, psychologa i hokej lub basen. Miał więcej do roboty niż Springsteen na tournée. Ja nawet bym chciał mieć taki ładnie rozpisany tydzień, tyle że może nie jako sześciolatek. Wymyśliłem pewne rozwiązanie problemu samotności Dani, ale postanowiłem zachować je dla siebie. Należało go wysłać na metro Szczołkowskaja, gdzie mieszkają stada imigrantów z Azji i Kaukazu, tam znalazłby sobie kolegów, którzy gdzieś mieliby odcień jego skóry. A najlepiej na rok do Dagestanu, tam zobaczyłby, jak się buduje przyjaźnie i relacje międzyludzkie bez oglądania się na religię i pigment. Tyle że za taki pomysł, to chyba by mnie psami pogonili. I to całą drogę z Rublowki na Szczołkowską, jakieś 56 kilometrów.



Zamienić tego typu standardy na burżuazyjne salony? NIGDY!!! (źródło: nevsovo.ru)

Przyszło do płacenia, babcia ponownie zadała pytanie niemalże sakramentalne: ile? Mówię, że tak jak poprzednio, czyli nie wiem. Pyta, ile biorę. Mówię, że zazwyczaj naprawdę z ludźmi coś robię, a nie oglądam *Smurfy 2*, wpierdalam truskawki z melonem i ganiam się po szafach z pacjentem. Babcia, że ona mnie chce zachęcić, więc podwoi moją stawkę za godzinę. Podczas tej rozmowy babci portfel wysypał się na glebę, miała same banknoty o nominale pięciu tysięcy rubli. Będąc człowiekiem uczynnym, podniosłem je dla niej, a ona na to rzekła, że to moja wypłata i mogę nie oddawać. Znam bardziej subtelne sposoby płacenia służbie, np. babcia Iry zawsze mówiła dziękujemy i dawała mi pieniądze do ręki. Jakoś przyjemniej jest wtedy człowiekowi. Mimo że zarobiłem bardzo dużo, to nie czułem się jakoś dziko doceniony ani spełniony zawodowo. Jeszcze na pożegnanie porozmawialiśmy sobie o mojej potencjalnej wyprawie na Wyspy Kanaryjskie. Gdyby mi ktoś kiedyś powiedział, że będę się wykręcał od wakacji na Kanarach na rzecz Woroneża...

Na stację Kunczewo odwiózł mnie kierowca z Kazachstanu. Jechaliśmy skodą, wcześniej zaś merolem. Zapewne straciłem twarz, że nie wydoilem ich na więcej, to uznali, że mogę jeździć skodą. Szczęśliwie w piątkowe popołudnie ruch na drogach sprawiał, że mogliśmy znowu odbyć rozmowy o tym, jak strasznie źle jeździ się po tym mieście.

Na samym początku tej wizyty spotkałem ojca. Urzekł mnie tym, że po angielsku pierdolnął z ciężkim akcentem, a po mojej odpowiedzi na „How are you?” zapytał, czy znam francuski. Na moje „nie” odezwał się po francusku. Odpowiedziałem mu po niemiecku i na tym skończyła się nasza komunikacja. Kompleksy każdą dziurą wylażą, no ale pokazał mi, światowiec!

Wracałem sobie i tak w sumie mózgiem mnie zawodził. Z jednej strony zarobiłem więcej niż za trzy dni normalnej pracy. Z drugiej żał mi było tego dziecka, któremu dorośli próbują kupić znajomych i bardzo słabo im to wychodzi. Płacąc mi, logopedzie, trenerom hokeja, służbie, Katii próbowali pozbyć się wszystkich możliwych obowiązków wobec potomka. Podziękowałem niebiosom, że w jego wieku mogłem jeździć rowerem po bagnach i nie miałem dwudziestu mieczy świetlnych, magnetycznych puzzli i truskawek poza sezonem. Miałem za to kolegów, a nawet koleżanki.

Po głowie pałętało mi się kilka pomysłów, co dalej z tym zrobić. Przede wszystkim chciałem im wyjaśnić, że to wszystko nie ma wielkiego sensu, szkoda ich pieniędzy i mojego czasu. Że powinni cieszyć się z dzieciaka, dać mu spokój, pozwolić wybrać coś, co go interesuje, może niekoniecznie musi to być hokej, niech znajdzie kumpli przy wspólnej pasji i tyle. Niech go wypuszczą z tej koszarnej, nowobogackiej bańki i wtedy znajdzie sobie ludzi, którzy wybiorą towarzystwo jego, a nie psów. Jeżeli zaś bardzo chcą, to możemy się bawić, ale musi być atmosfera nauki. Może lepiej niech kierowca przywiezie Danię do mnie do mieszkania, bo nie ma tam żadnych zabawek i szaf do chowania się. W zamian rosyjska klasa średnia, dywan na ścianie i wybijający sracz, ręcznik jeden dla wszystkich, a papier toaletowy nie z jedwabiołów. Wiedziałem, że to nie przejdzie...

Po tym wszystkim moja normalna lekcja z dziećmi była takim spacerkiem, że ledwo ją zauważyłem. Nawet uczenie Iry następnego dnia było łatwe i przyjemne – w końcu ona nie uciekała przede mną po szafach i jednak robiliśmy w godzinę znacznie więcej niż w trzy w sali kinowej na najdroższej ziemi w kraju.

Kult choroszej kopiejki – epizod 6. Dziedzic kopiejki

[30.03.2017]

Miałem jeszcze jedno spotkanie z Żukówką. W poniedziałek wieczorem zadzwonili, żeby poinformować, że dziecko jest chore, że oni wszyscy też są chorzy i że przepraszają. Byłem pod wrażeniem tego, że nasza komunikacja weszła na tak wysoki poziom, że do mnie dzwonią, i to nie na ostatnią chwilę. Umówiliśmy się na połowę stycznia, życzyłem miłego wypoczynku na Kanarach, a oni mi nie życzyli miłego pobytu w Woroneżu, bo nie powiedziałem im, że tam się wybieram. Zapewne pomyśleliby, że szydę z ich wspaniałej ojczyzny. Trochę jakby ktoś powiedział, że planuje spędzić upojne turystyczne chwile w Wałbrzychu, Sosnowcu lub Radomiu.



Woroneż nieustannie inspiruje! Czyli karmienie legendarnego miasta głupimi pomysłami przez deputatów

Mniej więcej w połowie stycznia umówiliśmy się na kolejne spotkanie. Standardowa procedura, ale tym razem po dotarciu przed hacjendę tylko zmieniłem samochody, z mniejszego jeepa na niemal jeepobus. Dania był wcześniej bardzo grzeczny i w nagrodę mógł nie iść do szkoły, a nawet jechać na daczę ojca.

Myslałem, że ich rezydencja to już były krzaki. Dopiero w jakiejś dwudziestej minucie wyprawy samochodowej zrozumiałem, że tam to byliśmy w sumie całkiem blisko centrum. Szczęśliwie, był to jeepobus na jakieś dwanaście osób, z odpowiednią mocą, więc nigdzie się nie zakopaliśmy – droga może nie była w standardzie gruntowej, a jeżeli była, to lód i śnieg nie gorzej to skrywały, na pewno nie była to też droga ekspresowa. Wydawało mi się, że jedziemy gdzieś, bo dzięki temu Dania nie będzie mógł uciekać do szaf i dojdzie do jakiejś lekcji. Już podczas trzeciego spotkania mogłem zacząć mieć nieśmiałą nadzieję, że być może uda mi się odbyć sensowną sesję naukową z sześciolatkiem uczniem. Oczywiście jak zwykle rzeczywistość pokonała moją naiwność.

Dacza naprawdę wyglądała na wiejski domek w porównaniu z kwaterą główną, żadnych greckich kolumn, żadnych rzeźb ogrodowych. Tylko jeden ochroniarz i to bez stroju maskującego (moro świetnie maskuje na śniegu, jak mogłem wcześniej zobaczyć). Pan domu powitał nas w dresie. Ach, byłbym rozczarowany, gdyby było inaczej! To musiał być ruski klasyk, to musiał być dres! Dyplomatycznie sprawę ujmując, nie wyglądał jak milion rubli. Zdałem sobie też sprawę, że to inny tata niż ten, którego poznałem kilka tygodni wcześniej, ale zapewne w tych kręgach tak bywa, że ma się kilku ojców.

Dom był zrobiony w drewnie, raczej nie w rosyjskiej brzozie. Wszystko wystylizowano na końcówkę XIX wieku w Anglii. Nie było słowa po rosyjsku, wszystko opisane po angielsku. Stylizacja poszła tak daleko, że nawet toaleta była dość drewniana, a kurki przy umywalce rozdzielone w ten arcykretyński sposób znany z Wysp.



Typowa rosyjska dacza raczej nie ma wiele wspólnego z brytyjskimi rezydencjami wiejskimi...

Dania był bardzo dzielny, że przejechał tę drogę w samochodzie, więc ledwo weszliśmy, dostał w prezencie zestaw klocków do malowania. Zainteresowało go to w ogóle i niemal z własnej woli pokazał mi swój pokój. Tu miał bardziej stylowe zabawki, mniej plastiku, więcej drewna, w tym dom dla lalek większy od niego samego. Zamiast szafek były kufry, jakieś pieńki do siedzenia, wszystko bardzo ładne, całkowicie nieużytkowe i absolutnie nie dla dziecka. Poza tymi drobnymi mankamentami, bardzo dobre. Zasiadliśmy na drewnianych siedziskach przy drewnianej skrzyni i udało mi się zrobić jakieś dobre dwadzieścia minut zajęć, zanim Dania uciekł po raz pierwszy. Znalazłem go przy

telewizorze. Przynajmniej nie w szafie, więc babcia zasugerowała, że może coś oglądniemy.

– Niiieeee, ja nieeeeeee chcę, nieeeee!!!

Tym razem to nie Dania histeryzował, tylko ja. *Madagaskar 3* jeszcze dało się przeżyć, *Smurfs 2* już nie, nie chciałem poznać najciemniejszych zakamarków videoteki Dani. Poza tym, tak bez kina? Na telewizorze? Nie, to nie ma sensu, ja to muszę mieć kino! Ojciec coś do Dani pogadał, wiele to sensu nie miało, ale skuszony obietnicami uczeń zgodził się iść ze mną i z ojcem do pokoju. Zacząłem go zabawiać i delikatnie wprowadzać temat lekcyjny i w końcu coś chwyciło na jakieś dziesięć minut. Potem można było zrobić szkice do obrazu *Dania ucieka po raz wtóry*. Uratował go obiad, który był już niemal gotowy do podania, więc postanowiliśmy, że możemy zrobić przerwę.

Nie wiem, czy słowa te były przeznaczone dla moich uszu, czy też przypadkiem się na nie załapałem. Babcia opowiadała ojcu, że Roman, poprzedni nauczyciel Dani, wydzwania i błaga, żeby mu pozwolili popracować z dzieciakiem. Że stracił pracę i nie ma, za co żyć, no a oni go już nie chcą. Nie byłem pewien, czy chcieli, żeby mnie dramatyczne losy Romana przestraszyły, czy też po prostu rozmawiali o tym przypadku. Z jednej strony pierwsze wydaje się bardziej prawdopodobne, z drugiej ja nie miałem wtedy być nigdzie w pobliżu kuchni, ale od dziecka mam taki wielki talent, że udaję się do kibra, kiedy jest to najmniej potrzebne.

Na obiad były smażone parówki, stylizowane na niemieckie. O, jaki delikates! Jedynym szczęściem było to, że kierowca przywiózł świeżego lawasza z pobliskiej gruzińskiej piekarni, a na deser był dżem, więc jakoś udało się oszukać system wypiekami z konfiturą. Kierowcę bardzo polubiłem, bo gdy tylko dowiedział się, że jak mnie odwiezie, to może zjechać na weekend, rozpoczął ustalanie, do kiedy ja tam jestem potrzebny. Miałem być o 4 na stacji Kuncowo, więc ten zaczął snuć wizje dramatycznych korków, które czekają śmiałków, którzy odważą się wybrać na Kuncowo w piątkowe popołudnie. Robił, co mógł, wyprawy krzyżowe brzmiały przy tym jak spacerki. Najpierw powiedział, że musimy wyjechać o 15, bo korki, dramaty, daleko, ciężka droga, jakiś śniegopad może się zdarzyć. Powiedziałem, że będę miał w pamięci jego doświadczenia z przejazdów i postaram się wyjść, jak tylko będę mógł najwcześniej.

Poszedłem dokończyć z Danią, oczywiście nie szło to w ogóle, zaczynaliśmy dopiero po raz trzeci, znowu po dziesięciu minutach rozpoczęło się tarzanie po podłodze i różne ucieczki, tym razem bardziej duchowe niż cielesne. Inną sprawą było to, że oglądał mnie już solidnie ponad dwie godziny, więc nie byłem bardzo zdziwiony, że się nieco zmachał i stracił (nieistniejące) zainteresowanie tematem.

Przez ostatnie 15 minut rozmawiałem ze starszą rodową. Powtórzyłem im wnioski z naszego poprzedniego spotkania. Mówiłem długo i chwilami mój rosyjski mnie zawodził, ale nie miałem wątpliwości, że zrozumieli. Przekaz był taki:

Problem macie gdzie indziej, nie w angielskim, językowo chłopak jest lotny. Nie jestem psychologiem, mogę więcej zaszkodzić, niż pomóc (inna bajka, że miewam wątpliwości co do geniuszu większości terapii, no ale to nie moje barany), jeżeli będę się bawił w uczenie go pewności siebie. Nie może być tak, że mu na wszystko pozwalacie, nie może być tak, że dajecie mu codziennie milion zabawek, przecież on i tak się nimi nie interesuje. Jeżeli bardzo chcecie, to ja to mogę ciągnąć, mogę przyjeżdżać i się z nim bawić, tyle że mam pewne opory moralne przed braniem pieniędzy za coś takiego.

– A może mógłby się pan do nas wprowadzić? Ja odprowadzę Katię i będzie się pan zajmował Maksymem, on jest bardziej zdolny, to lepiej pójdzie.

– Katia przecież zajmuje się Maksymem – nieśmiało zauważyłem.

– Oj, ale to nie problem! Możemy ją zwolnić i zajmie pan jej miejsce. Maksym tak bardzo chciał pana dzisiaj zobaczyć, łzy, były łzy! On miał łzy w oczach, gdy dowiedział się, że z nami tu nie przyjedzie. ŁZY!

Łzy to taka grupa, w której śpiewała Anna Wyszkonii... Pomyślałem sobie, że Katia była taka niemiła, bo ona zapewne właśnie w ten sposób zdobyła pracę, że wyruchała z niej kogoś, kto im się znudził. Obawiała się więc całkiem słusznie, że za chwilę i ją to czeka, a ja byłem oczywistym

kandydatem do zrobienia tego. Szczęśliwie czy nieszczęśliwie, nie miałem takich zamiarów, bo uzależnianie całego swojego życia – mieszkania, wizy i wypłat – od ludzi, którzy mają łączność z Bogiem, a nie mają jej ze swoim dzieckiem, jest moim skromnym zdaniem sportem bardziej ekstremalnym niż bungee nad rzeką pełną aligatorów.

– Nie, nie! Lubi ją, a ja nie będę wpierdalał się między wódkę a zakąskę (użyłem nieco innych słów, chociaż w ten sposób byłoby o wiele szybciej).

– Kiedyś mieliśmy taką czarną nianię i oni obaj ją lubili, ale w zeszłym roku wyjechała, myśleliśmy, że może pan by mógł...

– Dziękuję, to naprawdę bardzo miła oferta, ale nie. Ja jednak lubię uczyć w szkole, tych parę epizodów w roli zwierzątka salonowego mi wystarczy.

„Tak, a jak za miesiąc wam się znudzę, to sobie znajdziecie następnego, a potem następnego. Pytanie, czy prędzej skończą się nauczyciele w Moskwie, czy Dania wyzionie ducha”.

Widziałem dobrze, że nie tego oczekiwali. Sprawa stanęła na „będziemy w kontakcie”. Zapłacili mi znowu bardzo dużo. Kierowca przypominał o czekającej nas wyprawie na Kuncewo i że już 14:40, to się trzeba pakować, bo tam rzeki, wodospady i pasma górskie po drodze. Umówiłem się jeszcze z Danią, co mam mu przynieść w tygodniu, wybrał sobie i poszedłem czekać, aż kierowca osiodła mustanga. Zapaliłem i porozmawiałem z ochroniarzem o rasie psów, które strzegą rezydencji, bo nie bardzo miałem pomysł na inne tematy. Zacząłem myśleć o tym, jak wygląda dola kierowcy i dlaczego nigdy nie jechałem więcej niż raz z tym samym. Może ich też zmieniali tak nerwowo i chaotycznie? Finansowo cała ta impreza wyszła mi rewelacyjnie, ale była bardzo smutna. Dzieci w gruzińskiej biedocie mają więcej przyjemności z życia niż Dania zamknięty w rezydencji z milionem zabawek i prywatnym kinem.

Kierowcy zależało jeszcze bardziej ode mnie, żeby być wcześniej w domu, więc jechaliśmy krzakami, chwilami drogami gruntowymi, a chwilami rowami. Na Kuncewie byłem grubo przed czasem, a w szkole to nawet za wcześniej. Gdybym przeliczył rubla na minutę, to jeszcze bym zadzwonił, że mają zwalniać Katię, bo ja chcę. Nie zrobiłem więc ani jednego, ani drugiego.

Był to koniec moich przygód z najbogatszą dzielnicą kraju. Dzwonili do mnie jeszcze raz, ale było to w środku lekcji, nie oddzwoniłem. Znudziło mnie informowanie ich, że proszę o telefony w godzinach takich, a nie innych, bo przecież nie mogę odebrać. Zapewne znaleźli kogoś innego, może im go też zesłał Bóg, może wyruchał Katię z pracy, nie wiem i zapewne nigdy się nie dowiem. Mogę z tym żyć.

Jednym z wielkich pytań krążących między nauczycielami w Moskwie jest następujące: jak wbić się w gig na Rublowce? Wszyscy wiedzą, że są tam magiczne pieniądze, że są wakacje z bogaczami, ale szkoły raczej nie ogłaszają się kanałami dostępnymi dla śmiertelników. Teraz już znam odpowiedź, jest zupełnie prosta. Należy uczyć dziecko, które nas bardzo polubi, potem jego rodzice polecają nas rodzinie, która ma kota ze złamanym ogonem, a tam okazuje się, że babcia zna z dawnych lat kogoś, kto obecnie jest mieszkańcem tego wspańskiego osiedla. Tylko tyle, potem już jesteśmy w grodzonym raj, gdzie w zdepersonalizowanych wnętrzach je się produkty kuchni etnicznych, dzieci nie bawią się ze sobą, ochroniarze w moro przytupują w śnieżnych zaspach obok rzeźb dinozaurów, a w kioskach można kupić (a raczej nie) czasopismo o tym, jak zrobić w domu bizantyjski przepych, który nie będzie popadał w kicz.

[30.03.2017]

Pod koniec moich przygód z dzielnicą tak bogatych, że się Boga nie boją, dostałem kolejną wiadomość od matki Nastii. Jej dawny kolega potrzebował krótkiej pomocy w przygotowaniu do rozmowy kwalifikacyjnej. Nie chciało mi się tego brać, więc dałem warunki solidnie wolnorynkowe i myślałem, że chłop za nic tego nie łyknie – ja bym nie łyknął i znajomym też nie polecił. Oczywiście myliłem się i już w kilka dni później mogłem rozpocząć odyseję Lew Salonowy – Lew, bo tak mój uczeń miał na imię. Salonowy, bo spotkania odbywały się w naszym salonie. Z czasem oznaczenie kodowe ewoluowało do „Animalny Element Salonowy”.

Po pierwszych kilkunastu minutach wiedziałem, że mam do czynienia z kimś wyjątkowym – słownictwo wchodzące w C1, gramatyka na słabym A2. Lew był w stanie mówić o wszystkim, tylko nie istniały dla niego jakiegokolwiek czasy, wszystkie przeszłe formy czasowników były regularne, przyimki omijał albo kopiował z rosyjskiego, a zaimki nie miały znaczenia. „I, me, mine”, toż jeden pies. Był inżynierem i chciał podciągnąć angielski, bo zgodnie z tym, co mówiła matka Nastii, miał mieć rozmowę o pracę w dużej, międzynarodowej firmie. Jego zadaniem było chwycenie kontraktu na kilkanaście miesięcy, wybudowanie w tym czasie dość wysublimowanej hali targowej i skasowanie za to ogromnej kopiejki. Mówił mi, że tak to w jego branży działa i że po takim kontrakcie może mieć spokojnie urlop przez kilkanaście miesięcy. Przy tym, o jaką pensję aplikował, mógł z miesiąca pracy byczyć się kolejne cztery, a oszczędnie to i z sześć.

Naszą przygodę rozpocząłem od przerobienia pytań z rozmów kwalifikacyjnych, tego całego nonsensu „co pan przyniesie naszej firmie?”, „gdyby pan miał być flamingiem, to jakiego koloru?”, „gdzie się pan widzi za pięć lat?”, „jaka jest pana największa słabość?” i w ten deseń. Lew był zafascynowany, bo znał te pytania, ale nigdy nie myślał, jak z nimi walczyć. Ja niestety już parę razy na nie odpowiadałem, więc trochę pomysłów miałem. Spędziliśmy kilka lekcji, zajmując się całym tym durnym cyrklem. Potem przeszukałem zasoby internetu i znalazłem pytania, który potencjalny pracodawca zadawał podczas rozmów kwalifikacyjnych. Akurat na inżyniera budownictwa wiele nie było, ale jeżeli na każde inne stanowisko pytają, co pacjent wie o filozofii firmy, to można spokojnie założyć, że i jego o to zahaczą.

Po tygodniu Lew był zachwycony, a i ja nie mogłem narzekać. Spotykaliśmy się dość często i jego lekcje przynosiły mi drugą pensję. Pod względem przygotowania były dość łatwe, a przeprowadzanie ich banalne. Gdy już zajęłam temat rozmowy kwalifikacyjnej, przeszliśmy do tego, jak napisać CV, gdyby kiedyś jeszcze gdzieś je wysyłał. Wyjaśniałem, że są różne kultury pisanie CV i ta rosyjska jest nawet pocieszna, ale nie polecałbym wysyłania informacji o tym, że nie jest się w szponach alkoholizmu ani narkomanii do pracodawców z innych krajów – swołocze, nie rozumieją. Jest jedna fajna rzecz w rosyjskiej kulturze pracy: aplikując, podaje się, ile by się chciało zarabiać. W ten sposób można sobie oszczędzić rozmów z pracodawcami, którzy nie są w zasięgu naszych oczekiwań.

Po półtora tygodnia mieliśmy wyrąbane na blachę najbardziej prawdopodobne pytania z rozmowy kwalifikacyjnej i CV skrócone z siedmiu stron do czterech. To była rozmowa z cyklu Wschód spotyka Bliższy Wschód, w stylu „Nie, to naprawdę nie jest ważne, że w 1986 roku jeździłeś pół roku na ciężarówce w zakładach ZIL! Nic sprzed 1991 nie jest ważne, bo nie da się tego zweryfikować, to było ponad ćwierć wieku temu, a poza tym nie aplikujesz tam na mycie podjazdów, tylko na szefa budowy! Skończenie technikum w 1995 jest ważnym osiągnięciem, ale jak potem zrobiłeś uniwersytet, to chyba nie musisz tego pisać, nikt tam nie będzie czytał sześciu stron twoich wesołych przygód!”.

Gdy skończyliśmy tematy pracownicze, przeszliśmy do kaźni, czyli gramatyki. Samo słowo „gramatyka” sprawia, że ludzie wymiotują i mdleją, ale jak uczyłem parę osób w paru miejscach, to jeszcze nie widziałem, żeby komuś się szalowo poprawił język bez znajomości tejże. Można to opakować w piosenki, gry i kolorowanki, ale nie ma bata, w pewnym momencie patrzy się na ten goły

przepis na jakiś past perfect i się go pojmuje lub nie. Tu zaczęły się schody – mój uczeń przyjmował do wiadomości, że w angielskim istnieją jakieś inne czasy niż teraźniejszy, ale nie bardzo chciał ich używać. Mimo, że nie pracował, to zadań domowych nie robił jakoś dokładnie i moje błagania, żeby sobie poklikał nieregularne czasowniki, nie spotykały się ze zrozumieniem. Przeszła forma od *come* nie mogła się uwolnić od *comed*, *get* od *getted* i tak dalej. Sprawy nie ratowała totalna niemożność zrozumienia tego, że język wroga ma np. różne warianty na zadawanie pytań zależnie od słowa posiłkowego i podmiotu. (Po ludzku sprawy ujmując, „Were you there? 'Did you go there?’” „Who won the match?’” versus „Did they win the match?’”) Szyby parowały, gdy to kładłem i ćwiczyliśmy. Po paru godzinach męki z simple past przeszedłem na present perfect i wbiłem mu go do głowy w bardzo ograniczonym zakresie. Ratowałem pierwszym warunkiem i to jakoś poszło. Zaimki mogła, ale to i tak nic, bo przyimki to była totalna loteria. Zaczęłem obserwować pewne zmęczenie materii przeciwnika, moje w sumie też – ile można siedzieć na tym samym? Po jakimś miesiącu spotkań, sprawa uległa zawieszeniu i ostatecznie umarła. Pod koniec odbierałem sugestie, że może dałoby się taniej, ale pozostawałem na nie głuchy – beczelnie sobie pomyślałem, że za mniej to mi się nie chce. Finansowo sprawa wyszła mi cudownie, jedynym problemem było to, że moje ilości czasu wolnego bardzo się skurczyły. Jednak zyskałem na tym w nieco inny sposób: dzięki opowieściom Lwa.

Lew naprawdę był kierowcą w zakładach ZIL w 1986 roku. Pochodził z rodziny o tradycjach socjalistycznych i dość późno zrobił mało prestiżowe studia. Miał za to tony doświadczenia życiowego, głównie z placów budowy, od poziomu noszącego cegły do osoby zarządzającej tym wszystkim. Wyjaśnił mi, że ludzi takich jak on zatrudnia się nie z powodu jakiejś gigantycznej wiedzy inżynierskiej – sam projekt hali handlowej jest prosty jak jebanie – tylko po to, żeby załatwili wszystkie zezwolenia. A one są jak Pokemony, „Gotta Catch’em All!”. Absolutną bzdurą jest robienie tego w sposób oficjalny, strata czasu, energii, pieniędzy i nerwów. Należy zapłacić (i to bardzo solidnie) komuś takiemu jak on i nie ma sprawy, on wie, dokąd iść i ile gdzie się płaci, żeby wszystko było w porządku, tak na papierze, jak i na budowie. Przy okazji gwarantuje, że nie będzie płacił więcej, niż naprawdę potrzeba.

– Zaczynam widzieć pewne poważne różnice między Polską a Rosją. Nie, że u nas tak nie bywa, ale jednak, te zezwolenia na jakąś gęstość betonu lub wyjścia pożarowe, to u nas w większości wypadków trzeba naprawdę zdobyć, a potem naprawdę spełnić wymogi. No chyba że hotel Gołębiowski...

– Wiem, wiem. To jest straszne. Czemu wy tak sobie utrudniacie życie? U nas się płaci i jest spokój.

Lew pracował w wielu miejscach w całym kraju. Pewnego dnia zahaczyliśmy o temat Ułan Ude i kasyna tamże.

– Otwieraliśmy kasyno, kolejka stała na kilka godzin przed, w momencie otwarcia się rzucili. Niektórzy siedzieli kilka dni, pili, palili, jedli, grali i przegrywali. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. A jak jedziesz samochodem i są zakręty, w których trzeba zwolnić niemal do zera, to dzieci podbiegają i próbują wsiąść do samochodu, żebrząc przy tym o jedzenie. Ja w sumie w ogóle nie wiem, czemu mówią, że w Rosji bywa jakaś poważna patologia, problemy społeczne, a nawet, że bieda.

Z innych opowieści Elementu Animalnego dowiedziałem się, że pewnego dnia kopali fundamenty i znaleźli jakieś pozostałości z czasów mniej więcej jaskiniowych. Wszystko stanęło, musieli zapłacić za kolejne zezwolenia, budynku się za nic nie dało przenieść. Serwują człowiekowi takie obrazki jak to Indiana Jones z radością odkrywa skarby kultury, a tu rosyjski inżynier z pianą na ustach pogania archeologów, żeby zabrali ten prehistoryczny śmieć, bo każdy dzień przestoju, to poważne straty finansowe. Kilka miesięcy w plecy.

Inne kilka miesięcy w plecy miał, gdy podczas budowy okazało się, że ktoś coś źle wyliczył i że w miejscu, gdzie mają robić, stoi garaż z czasów sowieckich. Totalna ruina, żaden samochód tam nie parkował, ale należał do pary emerytów, która za nic nie chciała go sprzedać. Zanim uregulowali wszystko, to poczekali sobie kilka miesięcy. Próbowałem go delikatnie podpytać, czy gdyby zezwolenia wydawano naprawdę, czy gdyby dbano o dopełnienie wszystkich procedur, to czy być może nie

wyglądałoby to nieco inaczej. Przynęty nie chwycił, ale i tak byłem pozytywnie zaskoczony, że ktoś się w ogóle przejął zaistniałą sytuacją.

Mimo pracy w branży nieco bardziej lukratywnej niż moja Lew mieszkał w umiarkowanie prestiżowej dzielnicy na południu Moskwy. Niby chciał się przeprowadzić, ale zabierał się do tego jak pies do jeża i tak już od jakichś szesnastu lat oglądał zarzygane schody i połamane strzykawki na klatce schodowej. Miał nastoletniego syna i bał się o niego, zwłaszcza z powodu stad narkomanów w okolicy. Przeganiał ich, ale zawsze wracali, a czasem kazali mu wypierdalać i zostawić ich w spokoju.

– Nie możesz zadzwonić na policję?

– Przecież to oni sprzedają im narkotyki.

W sumie zadzwonić sobie mógł... Po przebojach z bogatymi i ich dzieckiem, to były dla mnie bardzo relaksacyjne zajęcia. Gdy się skończyły, miałem więcej kopiejki niż się spodziewałem. Szczęśliwie już niemal nikt się do mnie nie odzywał, sam nie szukałem. Nie licząc Iry, którą uczyłem do samego końca pobytu w Moskwie, była to moja ostatnia kopiejka. Miła, łatwa, przyjemna, ale też nieco rozczarowująca. Lew nigdy nie dotarł na rozmowę do międzynarodowej firmy, bo zadzwonił kolega, że będą rozkręcali biznes. No a skoro kolega i biznes, żadnej rozmowy kwalifikacyjnej, to o wiele lepiej. Zachęcałem, żeby jednak poszedł, że jeżeli dostanie pracę, to jej po prostu nie weźmie, a jeżeli nie dostanie, to będzie miał jakieś doświadczenie z tym, jak wygląda rozmowa kwalifikacyjna w firmie międzynarodowej. Nie dał się przekonać, a ja nie wiem, czy praca marzeń z kolegą stała się ciałem, czy pozostała w sferze planów. A przede wszystkim, czy wyprowadził się z tej dzielnicy narkomanów.

Od początku mego pobytu w Moskwie słyszałem o tym, jak zbawienni dla budżetu nauczyciela są uczniowie prywatni. To prawda, zarobiłem w ten sposób bardzo dużo. Ludzie mówiący o tym, jak bardzo nauczyciele mają fajnie, bo sobie mogą dorobić, zdają się nie widzieć jednego: jak wiele czasu to zajmuje. Jak bardzo trudno jest zgrać kilka różnych, całkowicie niezależnych porządków i planów zajęć. Już nie wspomnę o przygotowywaniu lekcji i materiałów, reagowaniu na potrzeby uczniów i utrzymywaniu ich zainteresowania, które potrafi umierać bez ostrzeżenia. Jednak wszystkie te trudności bledną w obliczu jednego, a raczej jednej: kopiejki. Kult choroszej kopiejki na terenach rosyjskich ma pewne tradycje.

„Nie częstuj nikogo, lepiej rób tak, żeby ciebie częstowali, a przede wszystkim chowaj i ciułaj kopiejki, to najpewniejsza rzecz na świecie. Kolega albo przyjaciel oszuka cię i w biedzie pierwszy cię wyda, a kopiejka nie wyda, w jakiegokolwiek byś się biedzie znalazł. Wszystko zrobisz i wszystko możesz pokonać na świecie kopiejką”.

Mikołaj Gogol, *Martwe dusze*

[17.05.2017]

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką omawia się z nauczycielem, który podjął pracę w naszej firmie, jest ta dotycząca potencjalnych form zatrudnienia. Gdy wybieraliśmy cyrograf do podpisania z naszym moskiewskim dzierżawcą, mieliśmy kilka opcji. Oczywiście żadna nie była idealna, każda miała swoje plusy i minusy.

1. Można było zostać nauczycielem opłacanym za godziny.



Jenot w pracy (źródło: zasoby.ekologia.pl)

Jak to jest? Jakie to uczucie? Gdzie to boli i jak bardzo swędzi?

Przy wyborze tej formy współpracy nie otrzymujesz mieszkania, nie masz godzin gwarantowanych, nie masz urlopu, nie masz biletu na metro. Masz tylko wizę.

Dlaczego więc w to iść?

Bo stawka za lekcję jest solidna. Co więcej, można odmawiać przyjmowania zajęć, odpadają wszystkie obowiązki w stylu dyżurów i seminariów. Zakładając, że oboje mielibyśmy po 25 lekcji tygodniowo i znaleźlibyśmy sobie nie bardzo drogie mieszkanie, to zarabialibyśmy o wiele więcej niż na kontrakcie.

Dlaczego w to nie poszliśmy?

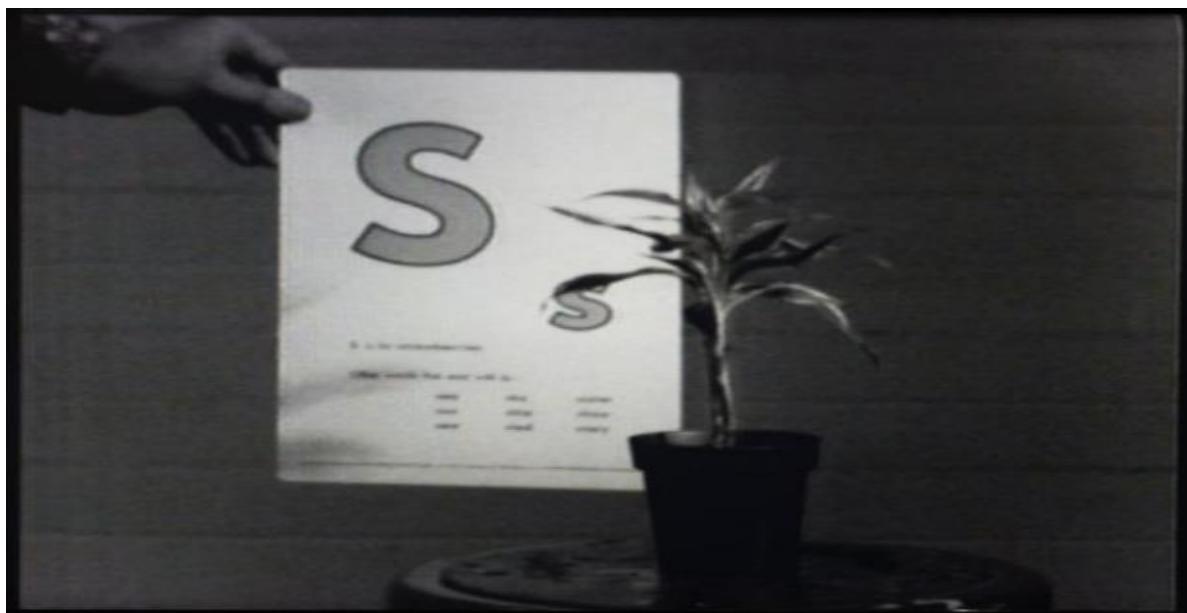
Haczyk numer jeden zasadzał się na tym, że najpierw lekcje dostają nauczyciele kontraktowi, a co zostaje, rozdawane jest godzinowym, więc nierzadko ci nauczyciele mieli potężne okna między lekcjami. Nawet z takim bólem jest to nieco ruletka, może się okazać, że dostaniesz jakieś 10-15 godzin, bo np. rekrutacja nie idzie albo ktoś cię nie lubi i tak ci kretyńsko układa zajęcia, że jeździsz po całym mieście od 9 do 21. Przecież to jasne, że żadna nowa grupa nie chce się otworzyć, gdy jej bardzo potrzebujesz. Nie pracujesz przesadnie dużo, za to całymi dniami, a pieniędzy za wiele nie dostajesz. W takiej sytuacji trudno być zrelaksowanym, zwłaszcza gdy zbliża się koniec miesiąca, gospodarz puka po czynsz, a ty mu przecież nie wyjaśniasz, że nie zapłacisz, bo było święto narodowe i odwołali ci lekcje. Mimo zarabiania więcej to i tak nie wynajmiesz penthouse'u przy Arbacie. Chociaż znam przypadek ludzi, którzy zrobili coś w tym stylu. Poza tym, że musieli mieszkać we czwórce i korzystać z jednej łazienki, to zasadniczo nie było problemów. Cztery dorosłe osoby, które pracowały w najdroższej szkole językowej w Moskwie, żeby mieszkać w centrum, musiały zdecydować się na życie w standardzie studenckim.



Przeciętne mieszkanie w Moskwie. Ten styl. Ten szyk
(źródło: avito.ru)

Zauważyliśmy też pewną tendencję u ludzi, którzy poszli na ten tryb współpracy – stawka za godzinę była na tyle dobra, że chcieli mieć jak najwięcej lekcji, więc zbierali wszystko, co im dawali. W efekcie zarabiali względnie dużo, ale nie mam pojęcia, kiedy cieszyli się z tych pieniędzy, gdy tłukli ponad 30 lekcji tygodniowo, rozstrzelonych od świtu do zmroku. Już nie mówiąc o tym, jaka była jakość tych zajęć i co przynosili uczniom (sugerowana odpowiedź: gje).

Rekordziści dobijali nawet do 50 godzin tygodniowo i pozostawało tylko czekać na zawały serca (wiem, że jeden był). Kontrakt taki opiewa na 12 miesięcy i tu jest jeszcze inny nożyk w plecy: nawet jeżeli przez cały rok wytłuczesz solidnie godzin, to w wakacje masz ich malutko, kontraktu zerwać nie możesz (znaczy możesz, ale referencji nie dostaniesz, a jak ktoś o ciebie zapyta, to nie odpiszą za miło), a gwarancji, że uciulasz na opłaty, nie ma. Rosyjska ruletka na całego. Znamy ludzi, którzy nie wyszli na niej źle, ale znamy też takich, którzy przeklinali więcej ode mnie. A w sierpniu, to wielu godzinowych wzięłoby uczenie kaktusa o 3:30 rano, żeby tylko dostać jakieś pieniądze.



John Baldessari już kiedyś miał taki pomysł, ale trudno ocenić, czy odniósł sukces
(źródło: mumok.at)

2. Mogliśmy pozostać na kontrakcie, zarabiać mniej za godzinę, ale mieć opłacone mieszkanie, święta narodowe, rachityczny urlop, a w przypadku, gdyby godzin brakowało, i tak dostawalibyśmy pełne pensje.

Tu mieliśmy opcje na 6 lub 9 miesięcy, 24 lub 30 godzin tygodniowo. Po dłuższych kalkulacjach i przemyśleniach, wybraliśmy bramkę numer dwa. Na sześć miesięcy, bo baliśmy się kursu rubla. Przez cały pierwszy rok naszej współpracy na zakładzie wszystko było bardzo stabilne. Mój plan zajęć zmienił się kosmetycznie, i to na moją korzyść. Bywały powody do irytacji i wściekłości, ale krótkotrwałe, ogólnie współpraca na linii administracja-nauczyciel jakoś tam się układała. Wiedzieliśmy już dobrze, na co jak reagować, z jakimi problemami da się wygrać, z jakimi nie. Wpasowaliśmy się jakoś w to, o parę rzeczy jeszcze chcieliśmy podrzeć dupę, inne odpuściliśmy. Zналиśmy dobrze rozmiar ringu i wiedzieliśmy, kiedy liny wbijały się w plecy. Baliśmy się tylko jednego; że pewnego dnia wstaniemy rano i zobaczymy, że za dolara nie płaci się około 60, a bliżej 100 rubli. Miesiąc lub dwa na takich stratach da się żyć, ale im krócej, tym lepiej. Nie chcieliśmy też mieć zerwanego kontraktu i braku możliwości otrzymania referencji. Po sześciu miesiącach zawsze można przedłużyć – z taką myślą wybraliśmy formę współpracy na rok 2016/2017. 24 lekcje tygodniowo, czyli cztery razy po sześć dziennie, piątki wolne na uczniów prywatnych – tak to sobie wizualizowaliśmy, bo tak też bardzo wiele osób miało rozpisane zajęcia.

Dlaczego nie 30 lekcji?

30 lekcji tygodniowo jest nierealnym czasem pracy, chyba, że ma się cudowne szczęście dostania przyjemnych kursów. Zazwyczaj się go nie ma i naprawdę, tyle nie da się pracować. 30 lekcji w klasie przekłada się na 50-60 godzin tygodniowo, gdy wliczymy czas przygotowywania się. Tak się nie da, da się 24 lekcji, które stają się 40-50 godzinami tygodniowo. Wiedzieliśmy to wszystko. Podpisując kontrakty na drugi rok, obawialiśmy się – powtórzmy to – tylko kursu rubla.

Takim małym dzwonkiem ostrzegawczym powinien być dla nas pewien mail w czerwcu, w którym to namawiano nas do relokowania się na podmoskwie, do dzielnicy Khimki. Khimki to jeden z wielu tzw. „spalnych rajonów” stolicy, czynsze są tam niższe, ale nie ma metra, należy jechać autobusem z ostatniej stacji linii 7, czyli Planernaya. Z atrakcji, to Khimki oferują galerię handlową Khimki (z Ikeą).



Witamy w krainie, w której Moskwa ginie (źródło: tripadvisor)

Niby autobusy są gęsto, ale dotarcie do szeroko rozumianego centrum to spokojnie godzina, a przy korkach i pechu mogą wyjść nawet i dwie. Dlatego też dość długo pytaliśmy bardziej zaprawionych w bojach o to, z jakiegoż to powodu mielibyśmy wybrać mieszkanie na końcu miasta zamiast we względnej bliskości centrum. Argumentów za nie było żadnych, przeciw wiele, ale pisanie maili zajęło kilka dni, zanim ostatecznie udało mi się przekonać dział kwaterunku, że nie chcemy mieszkać na Khimkach i że bardzo lubimy Oktyabrskoye Pole. W końcu łaskawie zgodzono się i pozwolono nam zostać w szlachetnej dzielnicy Szczukino.

O co w tym chodziło?

O to, że ludzie, którzy decydowali się na Khimki, dostawali całe mieszkanie na własność. Wykładnia: mieszkasz na zadupiu, ale sam ze sobą, bez współlokatorów. No daleko, ale całe mieszkanie „w Moskwie” dla siebie! Okazało się jednak, że przecież może być lepiej! Wystarczy wysłać tam nas. Skoro od lat żyjemy ze sobą, to w jednym pokoju się nie pogryziemy, a szkoła wynajmie mieszkanie o mniejszym metrażu, w gorszej lokalizacji, za to upchnie tam dwójkę nauczycieli – za jakąś połowę ceny naszego. Tak więc jakieś świeżynki miały dostać naszą siedzibę (wykładnia: mieszkasz sobie w Moskwie, to musisz mieć współlokatora, nawet jak ci się nie podoba), a my mieliśmy wypierdalać na zadupie, do o wiele gorszej dzielnicy, w nagrodę za to mogąc spędzić więcej czasu, jeżdżąc do i z pracy.



Taki to majestatyczny bonus przygotowano dla nas na koniec pierwszego kontraktu. Za wzorową postawę w pracy i budowie socjalizmu. Ja nie bredzę. Nam wypisano i przypieczętowano papiery, że nas kochają i że, kurwa, modelowi pracownicy. Za nieodwoływanie zajęć, za niechorowanie, za bycie pod mailem, za kulturę pracy, za relacje z innymi, za terminowość testów, za zbiorcze wyniki ankiet uczniów.

W nagrodę za to wszystko dano nam możliwość wyniesienia się na zadupie. Bo uznano, że skoro jesteśmy aż tak głupi, że po roku nadal jesteśmy grzeczni, to trzeba zobaczyć, czy nasz idiotyzm sięga jeszcze Khimek, czy też być może kończy się na Szczukinie. Tak jak łeb mam duży, to jednak nie aż tak. Zostaliśmy na Oktyabrskim Polu. Pierwszej z nagród za dobrze wykonaną pracę udało nam się uniknąć. Na szczęście kolejnych już nie. A tych przewidziano wiele.

Jak powinna wyglądać wdzięczność wobec nauczyciela

(źródło: <http://www.topeducationdegrees.org/school-propaganda/>)

[17.05.2017]

Gdy rozpoczynaliśmy we wrześniu nowy rok akademicki, czekało na nas spotkanie całego kolektywu. Oczywiście w czasie jego trwania nie działało kilka rzeczy. Obserwując standardy pracy w naszej szkole, można by pomyśleć, że nauczyciele kurewsko nienawidzą technologii, za to dziwnym szacunkiem darzą bałagan. Że uwielbiają niepodpięte głośniki, nie rzucające rzutniki, a najbardziej podnieca ich zepsuty mikrofon. I gdy już to wszystko się tak sypie, wzywa się Timura. Kilka razy, bo Timur akurat ma lampion po wczoraj albo pali peta na zewnątrz, albo nie słyszy. Timur nie jest Słowianinem, ale w odróżnieniu od Słowian potrafi to wszystko ogarnąć, więc Timur w znoszonych gaciach pochyla się, wypina, manipuluje kablami, a my wszyscy patrzymy w jego dupę jak w zapowiedź zbawienia. Bo nikt poza Timurem nie wie, jak to podpiąć, żeby działało. Jak już on się ogarnie, to zaczyna się spotkanie, opóźnione o naście minut. I tak wszystko to jest bełkot, więc z dwojga złego, dupa Timura ma jakiś walor zabawowy, prelegenci nieco mniejszy. Ale to nie jest sytuacja, w której mieliśmy jakiś wybór i nie mogliśmy przegłosować Timura.



Timur ponadczasowym sternikiem i kapitanem!

Paru nauczycieli nie rozumiało tego, że jak w polu godzina widzimy „pałkę, daszek, krzeselko, kółko”, to są spóźnieni. W Moskwie spóźnić się można tylko na własne życzenie lub jeżeli ktoś nie zna zegarka (oczywiście można też nie znać miasta, ale to jednak nie nasi pracownicy). Jeszcze w okolicach 13:40 wchodził ludzisko i jęczało, że im metro uciekło. Miałem swoją serię przemyśleń na temat jakości współpracowników, a także kusiło mnie zapytać, czy na lekcje też tak docierają.

Wracając do spotkania... Poza standardowym słodkim popierdzywaniem o tym, że cudownie nas widzieć, dowiedzieliśmy się, że jedną z największych radości bycia nauczycielem jest możliwość uczenia lekcji na zastępstwach. To jest niesamowicie rozwijające, ciekawe i należy być wdzięcznym za takie uśmiechy losu, jak cover na drugim końcu miasta o jakiejś chorej godzinie, najlepiej na książce, której się nie zna, i w grupie wiekowej, za którą się nie przepada. Jakaś logika w tym jest, bo w takiej sytuacji często musisz myśleć bardzo na bieżąco, starać się o wiele bardziej niż w swoich grupach, ale jeszcze nie słyszeliśmy, żeby ktoś to lubił. Nawet doświadczeni nauczyciele często mówili, że jak cover to cover i z pełną fontanną go jebać, albo się uda, albo nie, najważniejsze, żeby nasze własne grupy szły dobrze i żeby tam się wszystko zgadzało i grało. Cover robisz, żeby go przeżyć, bo inaczej szkoła straci pieniądze. Jakość lekcji pozostawiona jest tobie, czyli po prostu bądź. Zastępstwo to wypadek, awaria trybików w maszynie, która, owszem, zdarza się, ale bardzo rzadko. Cały nasz pierwszy rok potwierdzał tę teorię. Coverów mieliśmy mało, wiele o nich nie musieliśmy myśleć. Nagle jednak dowiedzieliśmy się, że może będziemy mieli szczęście i będziemy mogli więcej nauczyć w takiej formie. Olaliśmy to z łoskotem. Pieśń o niezwykle adekwatnym tytule.

W roku 2015 nasz boss witał nas z wielkim optymizmem i mówił, że jaki kryzys, kryzys to był w 1987, jak jedzenia nie było, że damy sobie radę, że pokonamy wszystkie problemy, że tylko niedowiarki sięją defetyzm i że my z tego kryzysu wyjdziemy tacy mocni, że konkurencja będzie czołgała się i płakała, bo jesteśmy razem. Coaching dla bardzo początkujących, ale on chyba w to wszystko wierzył. Zebrani raczej nie, zwłaszcza ci, którzy już tam nieco pracowali. A dla Rosjan odwołania do 1987 są bardzo cliché. Na szczęście na sali nie było zbyt wielu Rosjan, bo ci bardzo rzadko dostawali kontrakty. Tak jak nam mówili, że warto zostać nauczycielem godzinowym, tak zazwyczaj Rosjanom i Rosjankom nie pozwalano na pracę na kontrakcie. Były wyjątki, ale wyjątki cechuje pewna rzadkość. Ludzie z Zachodu jednak byli pod wrażeniem. Trochę narodowość nie ta, ale niektórzy byli ubrani na tę modłę, niestety, bez farbek do twarzy.

W 2016 mowa zagrzewająca do walki nie była już w standardzie Williama Wallace'a, a bardziej w stylu Rocky'ego Balboa po starciu z Ivanem Drago. Niestety, bez podrabianego Gorbaczowa. Dowiedzieliśmy się, że jest ciężko i że organizacja jest nam bardzo wdzięczna, że zostaliśmy z nimi. „Zostaliśmy” nie było zbyt dobrze dobranym słowem, bardzo wiele osób odeszło, na sali więcej było świeżynek niż weteranów. Jednak słuchałem tego wszystkiego lewym jadem, każdy wiedział, że idzie zmarnować godzinę, potem każdy ją kolektywnie marnował, a następnie szedł na seminaria naukowe, gdzie było ciekawiej. W tym momencie zazdrościliśmy nauczycielom godzinowym, że nie muszą na tym być (dla nauczycieli kontraktowych była lista obecności i sankcje finansowe w razie absencji – poważnie). Czuć było, że przemowa była pisana pod nie-Rosjan, bo ci nasłuchali się w życiu takiej ilości bajek, że nie wypada im więcej ich opowiadać.

A nas? Co nas to miało obchodzić? Drugi rok pracy, kontrakt podpisany od dawna, więc tylko mieć nadzieję, że nie dostanie się dzieci z piekła rodem. Lekcje spadały na nas z wysokiego nieba, a raczej ze skrzynki mailowej. Rozdział je dział *timetabling*, czyli *rozpisanie*, a po polsku to chyba będzie jakiś koordynator zajęć. Rozpisanie w liczbie kilku osób (każda odpowiedzialna za inną część Moskwy) siedziało, zbierało informacje o kursach z całego miasta i kleiło podział zajęć dla nauczycieli. W pierwszym roku pracowała tam bardzo fajna dziewczyna, która to złożyła mi super miły rozkład zajęć. Do tego nawet parę razy pogadaliśmy, gdy akurat na siebie wpadliśmy. Potem odeszła, następna przyszła i odeszła, potem jeszcze jedna, ale w końcu jeżeli z rozdzielnika dość losowego dostałem niezłe zajęcia, to skoro mają moje preferencje i cały mój profil, to powinno być jeszcze lepiej. Było.

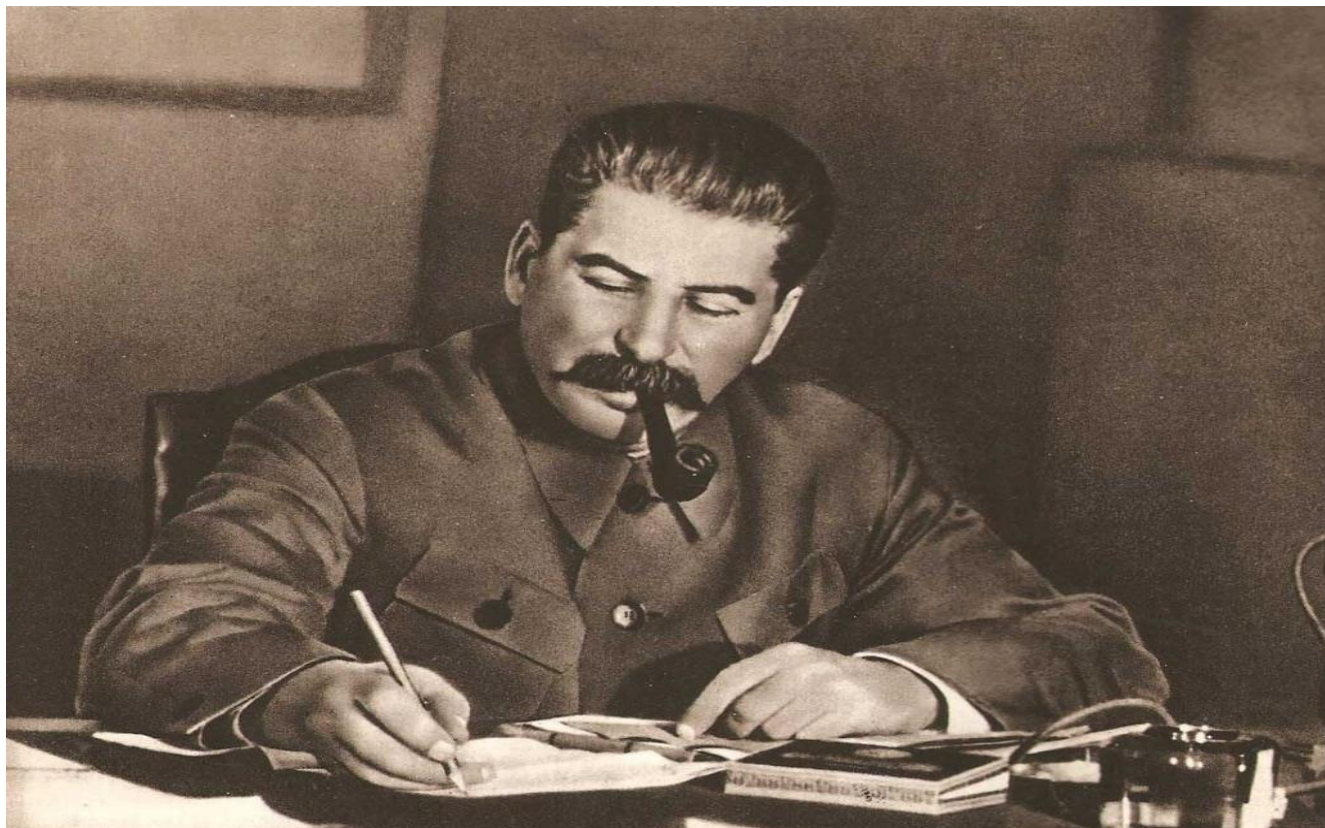
Kreśląc nieco szerszy kontekst: każdy nauczyciel języka wroga (jak zapewne i innych przedmiotów) ma swoje preferencje. Ja bardzo lubię dzieci 6-12, mniej nastolatków, jeszcze mniej dorosłych, a najmniej dzieci 3-5 (tu będzie jedno „ale”, ale potem). Wiele nauczycieli najbardziej lubi dorosłych. Wbrew powszechnej wierze, że obecnie angielski zna każdy i uczy się głównie business/medical/aviation/legal English, to znacznie częściej prowadzi się niskie poziomy. Tak w ogóle to oczywiście najwięcej grup jest dziecięcych i nastoletnich. Dlatego nie wydawało mi się przesadnie bezczelne proszenie o danie mi grup 6-12 i kursów IELTS. Oczywiście nastolatki wezmę, dorosłych też, ale nie chcę nikogo poniżej szóstego roku życia. Amen. Pozostawało tylko czekać na otwarcie grup.

Rozpiskę zajęć przysłano nam jeszcze w sierpniu i wyglądała bardzo dobrze. Dokładnie to, o co prosiliśmy, dziękowaliśmy aż, że wzięli sobie do serca nasze preferencje. Jeszcze w lipcu pisaliśmy dokładnie, czego chcemy, a czego nie. W sierpniu je potwierdzili. Co mogło się wydarzyć we wrześniu?

Zajeżdżimy kopiejkę klienta. Wyznania poobijanego nauczyciela

[24.05.2017]

We wrześniu rok szkolny sobie mijał, a my mieliśmy malutko lekcji – nie otworzyła się większość z zaplanowanych grup. Początkowo miałem mieć cztery dni w tygodniu po sześć lekcji dziennie. Po miesiącu miałem totalny burdel, z zajętym piątkowym wieczorem, kawałkami popołudnia w poniedziałek i środę, godziną we wtorki i czwartki i właściwie niczym więcej na stałe. Pod godzinami byłem o dobre dziesięć, a co ciekawsze, nie byłem wyjątkiem. Przeważająca większość nauczycieli kontraktowych była pod godzinami.



Dział timetabling przy pracy

Największe jednak zdziwienie budziło w nas odkrywanie tego, że godzinowi mają lekcji po suficie. Co otwierała się nowa grupa, to dostawali ją oni. W efekcie, mnie płacono za 24 godziny, a wyrabiałem w sumie od 6 do 14, zależnie jak zawiąło, ale zawsze od poniedziałku do piątku. W tej samej szkole i w te same dni moja koleżanka na kontrakcie godzinowym miała 28 lekcji w ciągu czterech dni! Chwilę nad tym wszyscy dumaliśmy, aż po jakimś czasie przypomnieliśmy sobie zebranie kolektywu, A spotkało B i dało C. Z okazji roku pańskiego 2016/2017 wymyślono sobie, że nauczycieli kontraktowych będzie się trzymało do robienia zastępstw i do uczenia grup, których inni nie chcą, czy to z powodu godzin zajęć, czy to z powodu przedziału wiekowego – wiele osób nie chce uczyć dzieci w wieku 3-6, w tym i my. Jednak skoro kontraktowy nie może odmówić, to proszę, macie chłam wszelaki.

W efekcie tej decyzji, zaczęto rzucać w nas wszystkim, czego nie chciał wziąć nikt. A gdzie zasada, że najpierw kontraktowi dostają klasy, a potem godzinowi? Skarż się, skarż się, na sam Kreml sobie możesz napisać. Podpisałeś kontrakt? Przyjechałeś do Moskwy? To teraz cierp. Tamte plany? Tamte plany to były projekcje! Nikt nikomu niczego nie obiecał. Co z tego, że miałeś mieć Upper-Intermediate, daliśmy je komuś innemu i nic ci do tego.

Październik był czasem, gdy dopiero do nas docierało, że zmuszono nas do gry w pokera, w której siedzimy tyłem do wielkiego lustra, a w tym czasie rozdają nam znaczone karty i nie bardzo pozwalają na odejście od stołu. Dopiero w grudniu zrozumieliśmy pełen obraz katastrofy i tego, jak bardzo nas ujebano. Wtedy po raz pierwszy policzyłem sobie, ile mam dni do końca kontraktu. Wiedziałem też, że następnego nawet nie dotknę.

Cała sprawa miała pewien wymiar psychologiczny: na etapie połowy października wszyscy żyliśmy w paranoi, że zaraz zaczną zwalniać: wielu z nas nie miało nawet dwudziestu godzin na kontraktach trzydziestogodzinnych; wszyscy jeździliśmy po mieście i robiliśmy zastępstwa; grupy, które miały się otwierać – przepadały... A nam za to wszystko płacono. Relaksu nie było, bo człowiek nie znał dnia ani godziny, gdy go wezwą na jakiś zakład, gdzie może czekać grupa C1, ale może też czekać grupa czterolatek, które jeszcze gaworzą. Panował strach przed zwolnieniami, przy piwach mówiło się, że firma zatrudniła zbyt wiele osób i zaraz zaczną dziękować – bo ile osób może dostawać za 30 lekcji, gdy uczą ledwie 18? W tym fachu znalezienie pracy późną jesienią jest bardzo trudne, a struktura wypłat sprawia, że oszczędności ma bardzo mało osób. Przy okazji zajmowałem się własnym rozwojem zawodowym i oddawaniem cześci kopieje. Na nudę narzekać nie mogłem, ale przyszłość nie malowała się w pastelowych barwach.

Z ciekawszych epizodów jesiennych, na pewno zapamiętam następujące. Pod koniec września dostałem dość specyficzną panią psycholog, której syn studiował w Australii. Wybierała się do niego w odwiedziny i bała się, że wyjdzie na kretynkę ze względu na swoje kompetencje językowe (średnie A2). Początkowo nie byłem przesadnie podniecony wizją uczenia kogoś na tym poziomie, ale nie mogłem odmówić. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu – była bajka! Najpierw ustaliliśmy wspólnie, co jej potrzebne (lotnisko, zakupy, restauracja, transport miejski, sprzęty domowe), potem ja lepiłem lekcje, kompilując kilka książek. Czasem wychodził z tego bajzel, bo miałem jakby trzy lekcje z różnych parafii gramatycznych, za to wszystkie np. o lotnisku. Uczennica miała pasję i zapał, przyszła nawet raz i powiedziała, że oglądała z mężem jakiś film, a tam coś, co jej pokazałem i że to super, że to działa, że to ma sens. Gdyby wszyscy mieli taką motywację i tak miło się odnosili do człowieka... Rzucała się na wszystko jak dzik na żołędzie, zadania domowe robiła godzinami, przepisując przy tym nowe słówka po kilkanaście razy. Po dwóch tygodniach niemal się zaprzyjaźniliśmy, nasze wspólne poziomy stresu opadły właściwie do zera. Po trzech wyjechała do Australii. Prosiłem, żeby wpadła pogadać po powrocie, ale niestety nie dowiedziałem się, jak jej poszło w Krainie Kangurów. Mnie z nią poszło fajnie, ale od dnia kiedy weszła do szkoły było jasne, że po tych kilkunastu lekcjach oddali się.



Nasz Nikita nie krył się z tym, że miał rosyjskich rodziców

We wrześniu poznaliśmy też Nikitę. Istnieje pewna reguła: uczeń imieniem Nikita jest zawsze najgorszym uczniem w grupie. Sasza, Vladimir czy Igor są w porządku, ale jak masz Nikitę, to masz problem. Ten Nikita był dziesięcioletkiem, którego zapisano na 1-2-1 z angielskiego.

Rodzice nie wiedzieli, czego chcą, poza tym, że mamy go nauczyć języka, oczywiście jak najszybciej. Rodziców osobiście i tak nigdy nie poznaliśmy, bo dziecię miało gruzińskiego kierowcę („Me English no!”), który nie był w stanie nam powiedzieć niczego o związanych z edukacją panicza oczekiwaniach. Błądząc solidnie po omacku, robiliśmy z nim lekcje łączące materiał z jego szkoły z tym, czego u nas uczyło się na tym poziomie.

W państwowej był koszmar, podręcznik najgorszego rosyjskiego typu (a nawet sortu). Na zadania domowe kazano mu się uczyć kretyńskich wierszyków, których nie rozumiał. Siadaliśmy z nim, robili rymowaną, przeglądali gramatykę (solidnie losową, taką, której nie zrozumiałby nikt) i w pozostałym czasie przewalali trochę ćwiczeń, z którejś z naszych książek, do tego gry i zabawy. Dziecko cudownie lotne i wdzięczne, z początku budziło w nim konfuzję to, że lekcje były tylko po angielsku, ale z czasem przyzwyczał się i nie było to dla niego problemem. Niestety okazało się być problemem dla... rodziców! Matka Nikity uznała, że jej syn jest zbyt głupi, żeby uczyć się angielskiego po angielsku i zażądała od szkoły nauczyciela z Rosji. Nie pomogły wyjaśnienia, racjonalne argumenty ani to, że chłopak naprawdę lubił z nami pracować. Jak myślicie, co stało się po jakimś miesiącu pracy z rosyjską nauczycielką? Rodzice wypisali Nikitę ze szkoły. Co oczywiście nikogo by nie obchodziło, gdyby nie pewna korelacja obecności Nikity z kopiejką jego mamy.

Pierwszy raz na godziny wszedłem pod koniec października, ale już na początku grudnia ich nie miałem – jedna z grup skończyła się. Do tego zakończył się mój 1-2-1. Była to wspaniała przygoda, dziewczyna koło trzydziestki, która bała się mężczyzn, ale jeszcze bardziej przerażały ją kobiety. Żądała więc nauczyciela-samca, a że nasza szkoła lubi pieniądze bardziej niż politykę równouprawnienia (którą to oczywiście ma zapisaną w paru ładnych papierach), to samca dostawała. Przede mną miała kilku nauczycieli, ale większości z nich nie lubiła. Jeszcze zanim zacząłem, ostrzeżono mnie, że jest inaczej i żeby być empatycznym.



Sokolniki okiem (a raczej pędzlem) Lewitana

Byłem, ale wyglądało to tak, że ilekroć zbliżałem się na odległość poniżej metra, to dostawała paniki. Żeby jej nie stresować, siadałem dość daleko. Ja tam mogę sobie krzyczeć, natura mnie tak hojnie wyposażyła, że umiem, ale ona akurat nie mogła, więc ja ją słabo słyszałem.

Dość szybko wyznała mi, że jest lesbijką i chyba była rozczarowana, że nie zrobiło to na mnie wielkiego wrażenia. Nie wiem, po co mi ta informacja w kontekście uczenia kogoś języka. Rozumiem, że w Rosji to nieco wyższy poziom trudności, ale trudno mi wiązać orientację seksualną z tym, że kobieta wpada w histerię i zapaść, bo zrobiła błąd w ćwiczeniu.

Kładłem teorie uczenia: jak na 20 przykładów masz 2 błędy, to jesteś boska, to jest poziom dla ciebie. Robiłem motywację pozytywną. To wymiatasz, tu trochę mniej, ale jedziemy razem! Nic nie działało. Nie pracowała, była malarką, pieniądze brała chyba od rodziców – ciuchy, tablet i telefon warte więcej niż pół naszej szkoły. Ustaliłem, że jej ulubionym malarzem był Lewitan, więc próbowałem z nią rozmawiać o malarstwie rosyjskim (patrzcie ludzie, z czego można się podciągnąć, przygotowując się do zajęć).

Nie szło jeszcze bardziej niż angielski, którego to poziom miała dość dobry – B1 wchodzące w B2 (na B2 nie chciała iść i mówiła, że na pewno nie da rady – dałaby, ale jak ktoś nie chce, to nie będę go na siłę uszczęśliwiał). Nie mam wszystkich danych, ale na pewno miała trójkę nauczycieli przede mną i dopiero ostatni jej się spodobał. Jak z nim pisałem, to widziałem, że chciał mi pomóc, ale nie wiedział jak. Ostrzegł, że miał sceny, że składała na niego skargi, że chciała go zmienić i dopiero po kilku miesiącach go zaakceptowała. Że jak przetrwam, to potem jest fajnie i że nawet piekła mu ciasta. Nie przetrwałem. Nie dostałem nawet zupy z oleandra.

Gwoli prawdy: przede mną też kogoś odwaliła, zaś po mnie dostała innego, którego zaakceptowała. Chłop był bardzo świeży, pełen dobrych chęci, ale też dość wystraszony. Myślę, że polubiła go dlatego, że mogła go zdominować, a raczej, że po prostu siedzieli sobie przerażeni wspólnie (na niego chyba zresztą też złożyła skargę). Z tej okazji on musiał jeździć pół Moskwy, żeby się z nią zabawiać i gaworzyć. Cieszył się jak trędowaty na kwarantannę, bo mówił, że mu z nią ciężko i że chwilami całkowicie nie wie, co robić, gdy ona zamyka się w sobie.

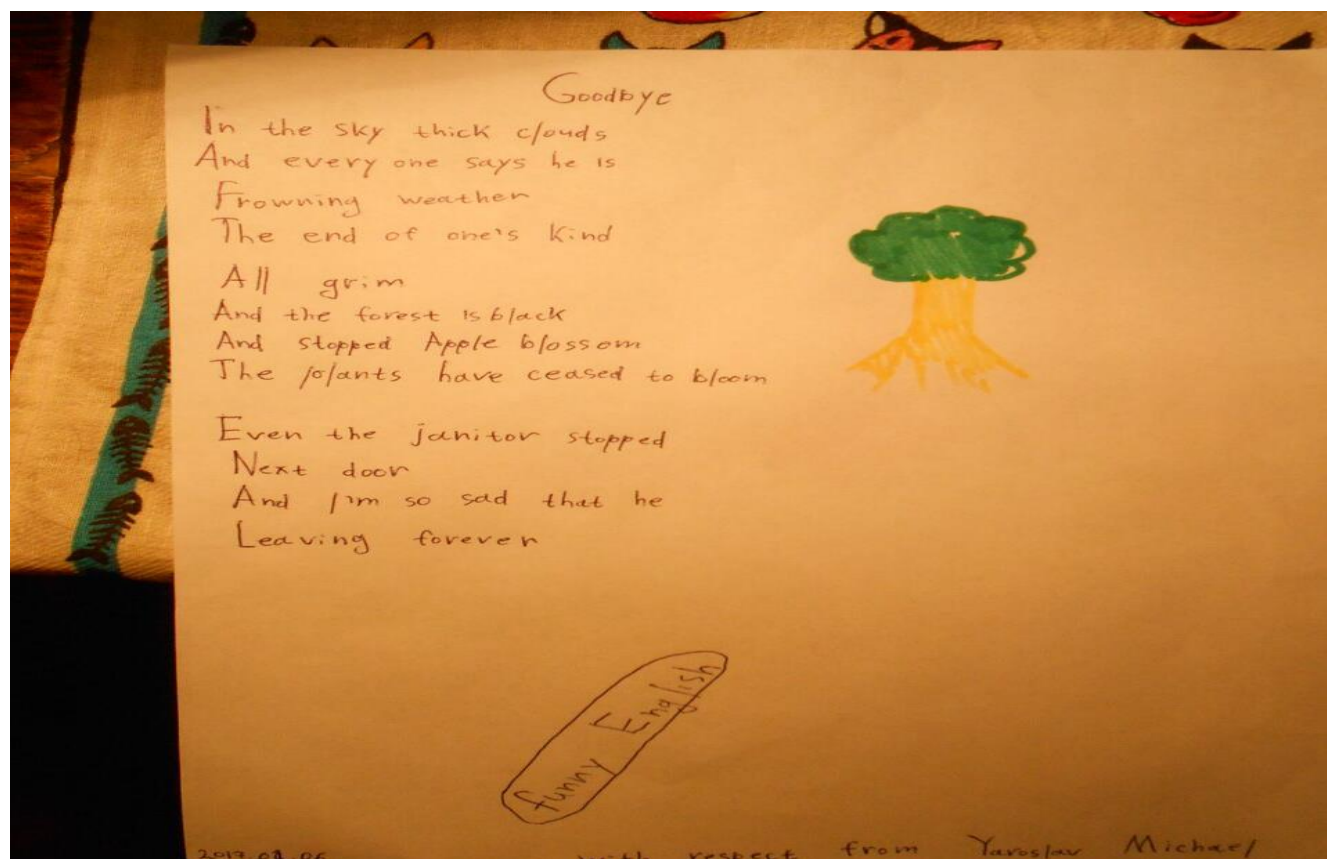
Takie okazy przez DEKADY szły do nauczycieli godzinowych. Dla wszystkich było jasne, że to długo nie potrwa, i że nie będzie szampana z truskawkami na końcu. Jednak nagle godzinowi walili sobie pod 30 na grupach nastolatków (które niemal zawsze trwają cały rok), a my, kontraktowi, dostawaliśmy takie przelotne zjawiska. W tym ludzi, którzy uznali, że kurs angielskiego wychodzi taniej niż psychoterapia, a jest bardziej akceptowalny społecznie.

[25.05.2017]

Ostatecznie przeuczyłem trzy grupy z zakresu, o jaki prosiłem, dwie z neutralnego i dwie spoza mojej listy tolerancji. Najpierw dostałem 10-12 latków na A1. To wybitnie standardowy kurs, na książce, której nikt nie lubi. Bo i jak kochać podręcznik, który wydano, zanim uczniowie się narodzili? W efekcie telefony komórkowe bohaterów wywoływały śmiech, temat o piłce nożnej (w którym finał mistrzostw świata grały Brazylia i Francja) niedowierzanie, a David Beckham pytania, kto zacz. Jakoś to szło, uczniów miałem dość przyjemnych, poza jednym dramatem, który dużo płakał i bardzo źle pisał.

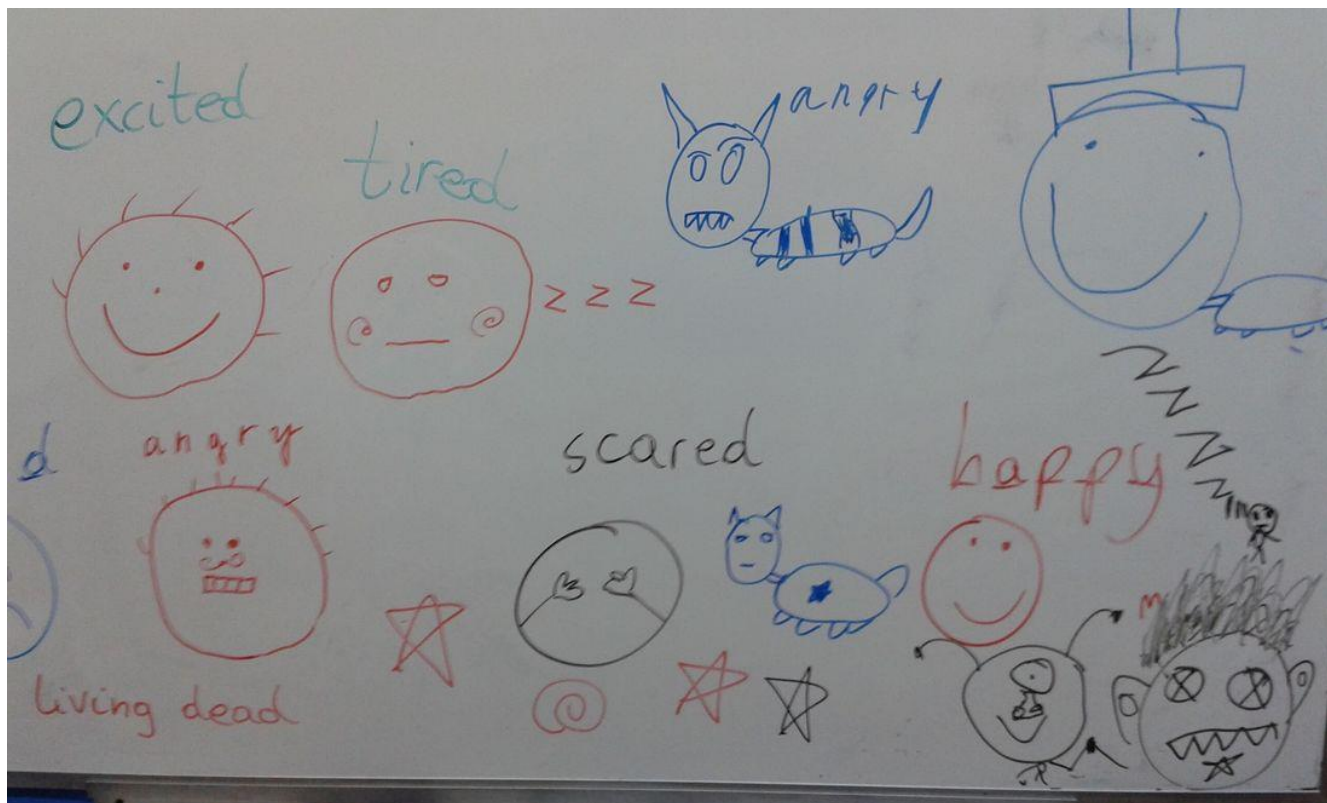
Od stycznia zrobiło się tam smutniej, bo odeszła prymuska. Jej rodzice przysłali pismo do sekretariatu naszej szkoły, w którym napisali, że bardzo dziękują mi, jak i całemu kolektywowi szkoły. Tłumaczyli, że dziecko muszą zabrać z powodów finansowych, ale jak tylko się odbiją, to powrócą. Chwała im, że nie wiedzieli, że nie powinno się takich pism przysyłać na filię, tylko na centralę. Filia sobie przeczyta, pokaże nauczycielowi i jeszcze sobie pomyślimy, że coś tam fajnie zrobiliśmy. Centrala takie coś zakopie pod stertą innych papierów i nigdy nikomu nie powie. Co innego gdyby to była skarga, wówczas centrala skrzętnie odnotuje nasze niecne postęпки i w odpowiednim momencie ciśnie nam nimi w twarz (oczywiście gdyby skarga na filię trafiła do filii, wówczas mielibyśmy do czynienia z dokładnie odwrotną procedurą). A tak przeczytaliśmy sobie, głębiej westchnęli i poszli dalej robić swoje.

Również w tej grupie miałem ucznia, którego rodzice co miesiąc mieli wypisać, bo chcieli się przeprowadzić do Dubaju, ale w końcu zostawał. Po jednym z takich ogłoszeń, gdy był już pewien, że to jego ostatnia lekcja, przyniósł mi liryk.



To był funny English. Pozostaje czekać na wersję depresyjną. Nie powiem, było miło. Przysięgał, że nie używał Google Translate, tylko siedział ze słownikiem

Miałem grupę, o której trudno wiele powiedzieć, poza tym, że wszystko szło w standardzie. Jedni byli lepsi, drudzy gorsi, brak powodów do skrajnych opowieści i odczuć.



Nawet nieźle jak na siedmiolatków, zwłaszcza living dead

Moją ulubioną klasą została taka, w której miałem tylko trzy osoby. Otwarto ich bardzo późno, jakoś w drugiej połowie października. Już się cieszyłem na konieczność odrobienia około dwóch miesięcy przy kursie, który trwa dziesięć. Dzięki solidnej jakości materiału ludzkiego do marca wyprowadziłem to na prostą. Lekcje były dziką przyjemnością, dwie dziewczynki chodziły do jednej z lepszych szkół w mieście (a jedna do klasy z moją ulubioną zeszłoroczną uczennicą), wszystko działało, tylko po jakimś czasie musiałem przestać ze współzawodnictwem, bo przegrywający płakali i im było głupio, a mnie jeszcze gorzej. Jedna dziewczynka była mocniejsza i wszystko wygrywała, a co za zabawa w takiej konfiguracji? Lepiej ją zrozumiałem, gdy poznałem matkę, która robiła jej piekło o bardzo słaby wynik testu. Jedyne 87% i najwyższy wynik w grupie. „Może dla pana to jest dobry wynik, dla mnie to porażka! Ona powinna mieć 100%”. Ile można tłumaczyć, że jeżeli by miała 100%, to musiałbym ją przenieść do grupy wyżej, gdzie by znowu miała koło 80%? Jeżeli ktoś ma 9-10 lat i jest na środku A2, to naprawdę nie idzie tej osobie źle.

Była to jedyna grupa, w której się pożegnałem. To jak się na mnie wkurwili, to ja się tak na centralne biuro nigdy nie wkurwiłem. Myślę, że ludzie przy rozwodach sobie takich tekstów nie walą. „Jak możesz nas zostawić? Kto nas teraz nauczy angielskiego? Przecież jest marzec, jak możesz odejść???” Wściekli się, wyszli z sali, ale po minucie wrócili zapłakani. Gdyby ktoś wtedy robił zdjęcia, to mógłbym dzielić celę z pewnym księdzem z Modlniczki, którego los życia poniósł na Dominikanę. Jak wyjaśnić dziesięciolatkom, że poza nimi nie mam zbyt wielu radości życia i że ja po prostu mam dosyć jeżdżenia po Moskwie, mam dosyć fatalnych grup, dziwnych godzin pracy i tego, że moja pensja topnieje w oczach z miesiąca na miesiąc? Że z tego, co płacą, ja widzę bardzo mało. Więc nie wyjaśniłem niczego, tylko powiedziałem, że wypada nam się cieszyć, że udało nam się spotkać i spędzić ten czas ze sobą.



Gwiazda na 23 lutego, połączona z kultem cwjetów, edycja wycinanka

Poza tym miałem piątkowe piekło. Z tą grupą wszystko było źle. Tylko w sytuacji zaszczepienia kopiejką można wrzucić do jednej grupy trójkę sześciolatków i jednego czterolatka. Z tej okazji, otworzyć grupę na jednej książce, a nie drugiej, oczywiście gorszej. Czterolatek i tak przyszedł łącznie bodajże cztery razy, a może trzy, a potem go wypisano, bo nie dawał sobie rady (Szok! Naprawdę?). Cała reszta była uczniami naszej szkoły od lat i bardzo dobrze rozumiała reguły w niej panujące, czyli że wolno im absolutnie wszystko. Językowo byli dość dobrzy, ale w temacie zachowania... Ja takich dzieci nie widziałem nigdy wcześniej i mam nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć.

Grupę dostałem, bo przydzielona wcześniej nauczycielka była kobietą, a rodzice zażyczyli sobie męczyznę. Bo kobieta nie utrzyma dyscypliny. Ponieważ mamy pełne równouprawnienie, to dano im męczyznę. W tamtej grupie Klaus Barbie nie utrzymałby dyscypliny.

Po pierwsze, suma doświadczeń jest taka, że dzieci mają kłopoty z dłuższymi lekcjami. Należy więc uczyć je w piątkowy wieczór od 18 do 19:45. Po drodze 15 minut przerwy, więc nawet jeżeli czasem udaje się zrobić coś sensownego w pierwsze 45, to i tak na drugie 45 się wyluzują i dramat. Potwierdziła się teoria, że jeżeli z dziećmi jest coś nie tak, to musisz koniecznie poznać ich rodziców, wtedy dopiero zobaczysz nie tak. Matka jednego z nich była pracowniczką FSB i po paru rozmowach z nią zrozumiałem dlaczego Rosjanie mawiają, że policja, to jedno, bywa lepiej lub gorzej, ale FSB to są dopiero bydlaki. Chciałbym powiedzieć, że obalę ten stereotyp, ale po co kłamać? Współczuję każdemu, kto musiał coś z tą panią załatwić. I sobie współczuję, że musiałem zmarnować taki kawał życia.

Gdy koło grudnia uszczęśliwiono mnie grupą czterolatków, dostałem ciężkiej kurwicy. Proszę, że nie chcę najmłodszych, dostaję CZTEROLATKI??? W dwóch salach obok w tym czasie nauczyciele godzinowi robią sobie nastolatków, a ja siedzę i uczę Saszę i Maszę, jak się używa nożyczek??? Czy wyjść do reszty ochujali???

Oczywiście nikt nie musiał mi się z niczego tłumaczyć, zrugano mnie, że jestem niegrzeczny i nieprofesjonalny, że mam uczyć, co mi dają, że mogłem sobie psychiczną od Lewitana utrzymać, to bym nie miał problemu. Na pytanie, gdzie, kurwa, są te grupy, co mi je rozpisaliście w sierpniu (zaistniała 1 z 6), odpowiedzi nie dostałem. Nie pisałem nawet, że skoro panna zmienia nauczycieli częściej niż podpaski, to szanse na jej utrzymanie miałem raczej niskie i że oby wam tak ktoś kiedyś zrobił. Był grudzień, do końca kontraktu miałem trzy miesiące. Nie chciałem być oskarżony o sabotaż,

więc zabrałem się do tych czterolatków z taką pasją, jak do żadnych innych zajęć, jakie w tamtym sezonie miałem. Nie będzie to piękna opowieść w stylu *Gliniarza w przedszkolu*, że po paru tygodniach pokochałem moich uczniów, ale nie będzie to też opowieść w stylu *To* – jak zostałem klaunem wciągającym dzieci do studzienki kanalizacyjnej. Zostałem jedynie klaunem.



Tylko z braku dzieci odmiennych etnicznie, impreza ta tak nie wyglądała



Chodź, chodź, dzisiejsza lekcja odbędzie się poza klasą

Wszystkie moje przemyślenia na temat tej grupy wiekowej się potwierdziły – nauka języka obcego jest totalną abstrakcją, bo jeszcze za bardzo nie znają własnego. Wiele czasu lekcyjnego spędza się na uczeniu ich trzymania ołówka, używania kleju, a nożyczki, to jak Edward Nożycoręki. Dzieci nie mają pojęcia, po co mają łączyć jakieś kropki, narysowanie prostej linii jest absolutnie poza ich zasięgiem, a do ust wsadzić potrafią sobie wszystko. Poczucia czasu nie mają w ogóle i potrafią pytać co dwie minuty, czy to już koniec. Potrafią też doprowadzić do płaczu i załamania tym, że rzeczy (wydawałoby się) trywialne okazują się dla nich niemożliwe.

Nauczyłem się jednak paru rzeczy, przede wszystkim tego, jak bardzo pomaga rutyna. Po paru lekcjach pierwsze i ostatnie kilkanaście minut robiliśmy niemal to samo, zmieniając odpowiednio sety leksykalne (tak do ośmiu słów, ale raczej sześciu), więc musiałem planować tylko środek. W przypadku tej grupy wiekowej postęp mierzy się bardziej tym, że nie chcą chodzić do kibla, a wolą siedzieć na lekcji. Te dzieci (trójka) nigdy nie były wcześniej w szkole i miałem nieco w gaciach, że jestem pierwszym nauczycielem, jakiego spotkają w swej edukacji. Absolutną fikcją było prowadzenie tego jedynie po angielsku, sam po rosyjsku nie mówiłem, ale na różne pytania i problemy reagowałem. Nie mam pojęcia, jak robią to ludzie, którzy nie rozumieją uczniów, gdy ci proszą o wypuszczenie ich do toalety. Bywały przypadki, że ktoś się u kogoś połał, wtedy nie tylko nauczyciel miał w gaciach.

Dodajmy do tego, że nasze sale nie były przesadnie przystosowane do tej grupy wiekowej – mieliśmy stoliki i krzeselka odpowiednich rozmiarów, ale do tego w sali było np. ostro kanciaste biurko nauczyciela, tak akurat z rogiem na wysokości czoła-oka dziecka. Na podłodze bywał syf po poprzednich starszych grupach (jak bardzo chciałeś, to mogłeś po nich posprzątać, sprzątaczką przychodziła po 21). Mimo tych przeciwności losu kilka razy nawet się uśmiełem i wychodziłem uradowany.

Pewnego dnia zapytano mnie (oczywiście w języku Puszkina, a nie Szekspira):

– Pan teraz pracuje na czwartym piętrze. A czy jak będzie pan pracował wystarczająco dobrze, to czy za rok będzie pan na piątym piętrze?

– Za rok to ja będę w piwnicy, w takim białym stroju z bardzo długimi rękawami, które się wiąże na plecach.

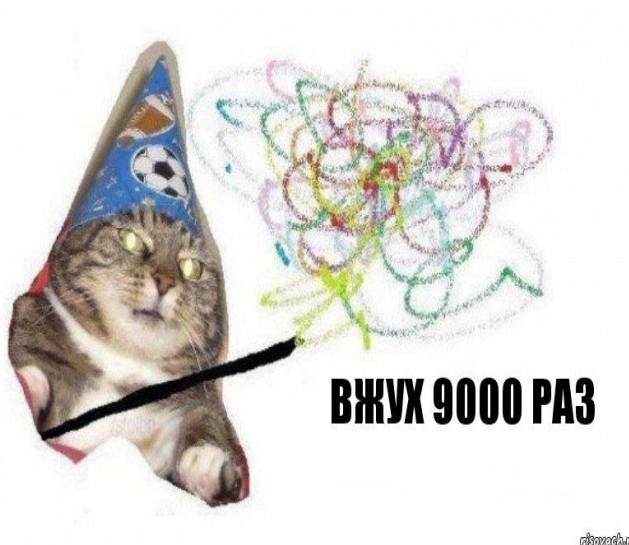
– Proszę pana, to trzeba wyjaśnić! Jest już noc, a pan pracuje, normalni ludzie nie pracują, a pan tak. DLACZEGO?

– Synu, ja sobie to pytanie zadaję już od dobrych kilku lat...

Z dumą też ogłaszałem co jakiś czas współpracownikom, że NIKT NIGDY w tej grupie się nie rozplakał. W skali tego, jakie ryki zdarzało się słyszeć, było to pewne osiągnięcie. Opus Magnum radości nastąpił na jednej z naszych ostatnich lekcji – zrobiłem im różdżki do rzucania czarów. Kij tam z angielskim, wszyscy rzucali czary, a jeden nawet mówił VZHUH! (co poza pewnym walorem rozrywkowym specjalnie dobre nie było, bo mieli mówić Abracadabra 1-2-3!). VZHUH to taki mem internetowy, kot-magik, który sprawia, że coś się dzieje lub nie, np. VZHUH i złapała cię drogówka. VZHUH i zostałeś gejem. VZHUH i nie masz kaca. Nie wiem, jakim cudem on to poznał, ale prawie się udusiłem ze śmiechu.



Vzuh, edycja wyjazdowa



Ogromny vzuh

Chodzi jednak o to, żeby te plusy nie przysłoniły nam minusów. Postęp w zakresie języka był znikomy, o wiele lepiej szło z klejem, wycinankami i tym, jak współpracowali ze sobą – od zero do dzielmy się wszystkim, istna komuna. Po każdej lekcji spędzałem przynajmniej z 10 minut, wyjaśniając rodzicom lub nianiom, co i dlaczego robiłem z ich dziećmi. Byli zachwyceni, a ja chwilami przerażony. Wiedziałem, że zadania domowe często robią oni, więc gdy pewnego dnia czteroletnia Olesya miała wszystko źle, to poszedłem wyjaśniać ojcu, o co też w tym chodziło i że nie umie liczyć latawców. Tak bardzo bano się, że ich dzieci wyjdą na głupsze od reszty grupy, że liczyli kotki, kreślili labirynty, łączyli kropki i kolorowali rybki. Znacznie bardziej jednak bali się, że to oni wyjdą na dawców jakichś fatalnych, debilnych genów, więc robili to wszystko i chwalili się sobie pod salą, kurtuazyjnie udając, że nawzajem w to wszystko wierzą.

Zaczęła mnie trochę wkurwiać inna rzecz: nauczyciele nieznający rosyjskiego szli sobie po takich zajęciach do domu. Rosjanie i ta garstka z nas, która rosyjskim operowała, spędzała czasem i 20 minut na rozmowach pod salą. Niby wygrywałem sobie to, że same zachwyty, ale nasz zakład nie przepisywał zachwyty klientom na kopiejkę dla nauczycieli ani nawet na dyplomy pracownika roku. Dla mnie taka rozmowa była dość oczywista, przecież to czteroletnie dziecko nie wyjaśni w domu, że lepili bałwanki, bo się uczyli słów o zimie, a potem rodzic sobie myśli: „co za gówno, za co ja płacę????”. No więc u mnie rodzice na bieżąco wiedzieli, że labirynty robimy, żeby ćwiczyć prowadzenie linii, kropki łączymy, żeby ćwiczyć proste linie, a łączenie takich samych obrazków to wstęp do rozróżniania małych i dużych liter. W efekcie nikt mi z tej grupy przez trzy miesiące nie odszedł, a wszyscy wydawali się dość szczęśliwi. Poza mną.

Przygotowywanie lekcji zajmowało mi dosłownie oceany czasu! Wycinałem, kleiłem, lepiłem, kserowałem. Nierzadko te 45 minut w sali znaczyło dla mnie ponad 100 poza klasą. Poczucie postępu uczniów było dość śladowe, ogarnęli trochę kolorów i liczebników, jakieś zabawki, ale jak na trzy miesiące nauki, to nie bardzo dużo. Co gorsza, miałem tę grupę od 18:15 do 19:00, czekałem na nich od 16:20, a w grudniu o 19:15 zaczynałem dorosłych na B2. Bywało więc, że o 19:13 ucinałem rozmowy po rosyjsku z rodzicami, wpadałem na B2, i zaczynałem mówić w stylu:

– O, panie Aleksandrze, jak miło, że pan przyszedł! Dobry ma pan dzisiaj humor? Bo ja tak, jestem bardzo, bardzo szczęśliwy!

Na to pan Aleksander patrzył na mnie i mówił:

– No morduję ten projekt inżynierski już trzeci tydzień, ciągle nam się nie wylicza, a terminy gonią, mailami mnie zasypują, do tego śniegiem wałnęło, żona męczy o nowy samochód.

– Ooo, to pięknie! Bardzo-ładnie-pan-mówi! A pani Masha? Jak-tam-sytuacja-w-służbie-celnej-na-lotnisku?

Dopiero po kilku takich wymianach mój mózg przedstawiał się na to, że ci ludzie znają już alfabet i nie będziemy sobie robili „VZHUH!” różdżką. Chociaż przynosiłem im rzeczy, które robiłem na modłę tych dla dzieci, tylko na jakiś past perfect passive. Działyły. I też zajmowały oceany czasu do przygotowania, ale tu widziałem więcej sensu w mej pracy.

Shczęśliwie lub nieszczęśliwie, tę dorosłą grupę otwarto nieco przez pomyłkę, chodziły na nią tylko dwie osoby i z końcem grudnia ją zamknięto, tym samym zapewniając sobie że ani pan Aleksander, ani pani Masza nigdy nie wrócą do naszej szkoły. Grupa pierwotnie utworzyła się we wrześniu, prowadziła ją moja koleżanka i gdy po miesiącu odeszła jedna osoba, zajęcia zawieszono. Potem wymyślono, że dołączy tam kolejna uczennica i zaproszono ich ponownie na zajęcia. Gdy ich reaktywowano, moja koleżanka miała 28 godzin i odmówiła wzięcia ich ponownie, dostałem ich ja. Robiłem tam takie lekcje, że jak oficjalnie mieliśmy kończyć o 21:30, to dwa razy nas musieli wyrzucać z budynku o 21:40. Oni oboje mieli milion rzeczy do powiedzenia, a ja nie miałem zamiaru im w tym przeszkadzać, z gramatyki tłukli najdziwniejsze ćwiczenia na 80-100%. Rozmowy takie, że tylko przynieście piwa – polityka, literatura, nacjonalizm, praca, sztuka, media, dwie bardzo ogarnięte osoby.

I ja. Był ogień, była pasja, była walka, po obu stronach. Zamęczony byłem okrutnie, ale dziękowaliśmy sobie wszyscy wylewnie za ten wspólnie spędzony miesiąc. Ci biedni ludzie czekali tyle czasu, żeby odbyć całe osiem lekcji i dowiedzieć się, że muszą czekać jeszcze dłużej jeżeli chcą skończyć poziom, ewentualnie mogą zapłacić o wiele więcej za zajęcia w tak małej grupie. Przecież mówili, że jak pieniądze idą za uczniem, to jakoś zabija, a obsługa z szacunkiem. Na pewno.

Istnieje powiedzenie, że jeżeli jesteś winien bankowi 100 tysięcy złotych, to masz problem. Jednak jeżeli jesteś winien 100 milionów złotych, to wtedy bank ma problem. Ta sama logika działała u nas na zakładzie. Gdy miałem 20 godzin, to szukałem sobie kolejnych czterech, żeby dociągnąć do 24, żeby nie być zagrożonym żadnym zastępstwem w dziwnym miejscu i o dziwnej godzinie. Gdy na początku stycznia spadłem na 14 godzin, szukać czegokolwiek przestałem. To szkoła miała problem, a nie ja. Nie istniała żadna ludzka siła, żeby mi wpakować 24 godziny. Już do końca kontraktu nie miałem ani tygodnia w takim wymiarze pracy. Nastął czas coveru.

Casus Wasyla

[15.06.2017]

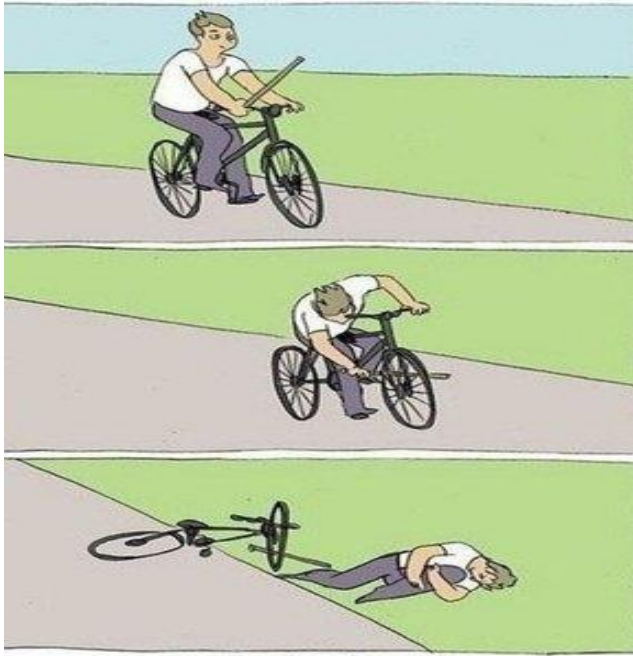
Normalna lekcja z grupą, którą znasz, to jazda na rowerze. Czasem z ramą z włókna szklanego, czasem żeliwną, a czasem coś na przerzutkach nie działa. Jednak rower się toczy, pedałujesz i przemieszczasz się do przodu, szybciej lub wolniej.



Na potrzeby zilustrowania problemu Wasyl jest bykiem
(źródło: personal-injury-san-francisco.net)

Cover to jazda na rowerze, który nie ma w ogóle przerutek, ale za to ma zjebane hamulce. Nie ma powietrza w jednym kole, ma natomiast luzu na kierownicy. Musisz na nim jeździć w deszczu i gradzie, na piaszczystym podłożu, a jak już wydaje ci się, że umiesz się nim przemieszczać, to przychodzi wąsaty Wasyl i zasadza ci kopa w krocze, żeby zobaczyć, czy i po tym dasz sobie radę. No więc jakoś dajesz sobie radę i nie spadasz, ale komfort związany z podróżowaniem trudno ci ocenić przesadnie wysoko. I jak tego wąsatego Wasyla masz raz na miesiąc, a może nawet raz na tydzień, to z tym w miarę żyjesz. Problem zaczyna się kiedy zamiast jakiegokolwiek roweru, znacznie częściej dostajesz samego Wasyla i cios w torbę.

Szczęśliwie, w swym geniuszu uwalania nas coverami, nasi dzierżawcy sami się wyruchali. Czasem pijąc herbatę z koleżanką, zastanawialiśmy się, dlaczego nagle postanowiono nam płacić za nicnierobienie, natomiast jej, na godzinach, aż za 28 lekcji. Miewałem wrażenie, że dziwiła się, że się na nią nie wściekałem, parę razy mi się spowiadała i wręcz przepraszała. Po pewnym czasie frustracji z tym związanej, wpłynąłem na suchego przestwór oceanu. I nie wyszedłem na tym źle. Do końca kontraktu nie przepracowałem 24 godzin tygodniowo. Bywały tygodnie, że tylko te 14, bardzo rzadko dotykałem dwudziestu.



Kontynuując metafory rowerowe: tak wyglądało zarządzanie w naszej szkole (autor obrazka: Corentin Penloup).

I dlaczego odchodzić z takiej cudownej pracy, gdzie płacą za nic?

Wisienką na tym torcie (wiśnie w Rosji są zazwyczaj importowane z innych krajów i bardzo drogie) stały się negocjacje kontraktu. Pewnego grudniowego dnia otrzymałem maila w temacie. Wiadomość ta oczywiście była bardzo ładna i empatyczna („być może chcesz nieco urlopu, zanim podpiszesz nowy kontrakt?”), bo przecież nagle się obudziliście, że mnie już tego cyrografu tak wiele nie zostało.

No fajny template macie, tylko szkoda, że nie oferujecie NIC. Więc ja na to nic odpisałem z pytaniem, jak też nasza firma planuje odpowiedzieć na oficjalnie 12%, a mniej oficjalnie 20% inflację. Na to, że mimo siedzenia tu drugi rok i jasnego określania, co, gdzie i kiedy chcę, to ja mam zapierdol po całej

Zdarzył mi się cover o 9:30 rano. Zdarzył mi się i cover do 21:30. Cover o 9:30 znaczył wstanie o 7. Cover do 21:30 znaczył osiągnięcie domu o jakiejś 22:30. Moje życie to nie tylko moja praca. Chcę móc zaplanować co, gdzie i kiedy robię. Kino, basen, jakieś spotkanie ze znajomymi, jakaś wystawa, jakiś memoriał.

Nasz pracodawca dołożył starań, żebyśmy nie mogli mieć życia poza pracą. No i nie mogliśmy. Nie wiem, czy ktoś się tam strasznie podniecił tym faktem i komuś zrobiło się od tego lepiej, ale wiem, że nasze życie stało się nie do życia. Jest tylko jeden problem: tak jak owce strzyże się wielokrotnie, tak ogolić można je tylko raz – tak więc i taki numer można ludziom zrobić tylko raz.

Moskwie zamiast normalnych godzin pracy w szkołach blisko domu.



Ten baran wie, jak nie dać się ostrzyć ponownie (źródło: slightlywarped.com)

Dowiedziałem się więc, że wszyscy współdzielimy tę samą ekonomiczną rzeczywistość i że z tej okazji podwyżek nie będzie. Na moje chamskie pytania o rozkład zajęć, dowiedziałem się, że będzie, jak będzie. Może mi dadzą te majestatyczne 24 godziny w szkole koło domu, ale może mi ich nie dadzą. A jak mi się nie podoba, to mam problem, w domyśle: nie jestem natywem i robią mi łaskę, że mogę w ogóle pracować, w domyśle: próbuj, gnoju, szczęścia gdzie indziej, niewdzięczny bucu!

Ja tego maila wysłałem do znajomych. Bo po prostu chciałem im pokazać, jak działa jedna z największych szkół językowych na tej planecie. I jedna z najdroższych. Jak wyglądają tak zwane „negocjacje kontraktu”, kiedy z pozycji siły po prostu rzuca ci się w pysk papier gorszy od poprzedniego. Kocham tę nowomowę – „negocjacje kontraktu”. W podobny sposób negocjacje prowadzi krokodyl z rybami. Tyle że w tym wypadku mogliśmy odpłynąć.



Gdyby chociaż nasze kadry były równie atrakcyjne, co ten kot...
(źródło: icanhascheezburger.com)

Na tę chwilę (a nawet do końca kontraktu) miałem dokładnie 0 spóźnień, 0 odwołanych lekcji, 0 dni chorobowego, 0 skarg, a nawet jakieś pochwały od uczniów i ich rodziców. Statystyka ta wynikała w solidnej mierze ze szczęścia, nie z mojego geniuszu (choć znam ludzi, którzy skargi zbierali dość często). I czemu w to nie brnąć? Płacą za 24, a robisz 14, góra 20? Toż to luksusy!

Jedne z pierwszych wielkich zakupów, jakie zrobiłem w sieci Billa, wyszły mnie około 860 rubli. W rok później plus minus taki sam koszyk wychodził pod 1200 rubli. Bardzo wiele rzeczy w Rosji podróżowało, najbardziej drastyczne przypadki to fajki (Chesterfield Lights – z 67 na 100) i mleko (z okolic 30 do okolic 50). Jeszcze na etapie lata 2016 nie było źle, ale już koło grudnia wszystko wieszczyło katastrofę. Nasza główna obawa, kurs rubla do EUR lub USD, nie potwierdziła się, kurs szedł nieźle. Problemem było, ile wydajemy na życie. A wydawaliśmy coraz więcej. Nie widziałem tego ujęcia w polskich mediach, a sprawy mają się tak, że ludzie w Rosji kupują najtańsze, co się tylko da. W luksusowej sieci Azbuka Wkusa rzadko widuje się kogokolwiek, za to w dyskoncie Billa kolejki bywały i na 10 minut.

Jakiegokolwiek lepsze alkohole szły z cenami w kosmos, tylko wódka stała niemal w miejscu. Wódka to wspaniała rzecz, ale obawiam się, że nie można jej spożywać zamiast bardziej klasycznego jedzenia. Co lepsze, piwa zaczęły mieć pojemność 450 ml przy cenie za 500 ml. Bary, lokale, koncerty, nawet muzea – w swej tendencji wzrostowej ceny nie miały wstydu ani umiaru. Również nasza szkoła nie krępowała się, podnosząc opłaty. Niestety nigdy nie miałem dostępu do finansów szkoły jako całości ani poszczególnych placówek, ale nie wiem, czy się nie wyruchali. Jedna rzecz dawała nam do myślenia. Za pracę w święta narodowe płacono nam podwójnie. Lekcje w te dni nienawidzili nauczyciele, administracja, uczniowie i ich rodzice. Jednak nawet za cenę wkurwienia klientów

i pracowników zmuszano ich do przyjsia na zajęcia (albo przynajmniej zaplaceniu za nie). Nam placono 200%. Czyli takie co sie oplacalo. Wiem dobrze, jaka byla moja stawka za prywatnych uczniow. Wiem, ile placili nasi. Kilka razy liczylismy to sobie z paroma administratorami. NIE BYLO TAKIEGO CHUJA, ZE BY NAM NIE MOGLI PLACIC DWA RAZY WIĘCEJ!



Widać przecież, że wiatr hula (ze strony marketu na coroflot.com)

W pewnych kalkulacjach wyszło nam, że nie dostajemy nawet 20% pieniędzy, które przynosimy szkole. Ja rozumiem, że od czerwca do września jest martwy sezon (choć są obozy), różne koszty ukryte, których nie znam. Choć nie wiem jakie, promocja, której nigdy nie było? Bo nasza szkoła promuje się swoją rewelacyjną opinią pośród ludzi i wie, że oni polecą ją znajomym? Dział IT, do którego się nikt nie odzywał, bo po co, chyba, żeby człowieka opierniczyli. Nowe technologie, czyli komputery czasem nawet dziesięcioletnie? A może szalone pieniądze szły na sprzętaczki, które skarżyły się, że im się nie płaci? Czy też na luksusowy papier toaletowy (zazwyczaj drugi najtańszy, no żeby nie ten najbiedniejszy) i mydło w kiblu, których czasem brakowało i po składkę na które nachodziły nas sąsiednie biura?

Gdy przeliczyliśmy to bardzo bizantyjsko, to i tak wychodziło nam, że dobre 50% przychodu szkoły to czysty zysk. Zarówno my, jak i wielu administratorów doszliśmy do wniosku, że może wystarczy już tego radosnego wyzysku.

Że było po chuju, kurwa, ale poświęcanie większości życia na robienie pieniędzy dla kogoś innego nas nie kręci. Jeszcze może by nas utrzymało, gdyby nasz udział w kopiejkach był rozsądny. Nie był. Pewnie byśmy to wytrzymali, gdybyśmy mogli mieć względnie łatwe życie i przyjemny podział godzin. Nie mieliśmy. Dlatego też nie podpisaliśmy kolejnego kontraktu. Wielu naszych znajomych również nie.



Tak plus minus przedstawiała się sytuacja w dziale HR na przełomie roku 2016 i 2017

Najpiękniejsze „wywałowanie” uczciwego i porządnego człowieka widzieliśmy w lutym. Nasz kolega z UK kończył kontrakt. Zaoferowano mu kolejny „na takich samych warunkach jak poprzedni, na kolejne trzy miesiące”. Podpisał jakieś przedłużenie. Dopiero trochę potem zrozumiał, co podpisał: nie przybywało mu urlopu, nie zwiększał mu się bonus końcowy. W końcu było to „na takich warunkach jak poprzednio”. Gdy przyniósł tę opowieść, usiedliśmy i doszliśmy do jednego możliwego wniosku: niektóre firmy po prostu nie powinny istnieć. Jeszcze nigdy tak wielu nie było wyzyskiwanych przez tak niewielu. Jeżeli jeszcze człowiek pracuje w jakiejś korporacyjnej ubojni świń, to w miarę wie, czego się spodziewać. Ale szkoła językowa, pełna książek promujących dobroć, empatię, równe szanse i odwołująca się do wartości takich, jak pomaganie słabszym i rozumienie innych kultur?

Obawiam się, że nigdy w życiu nie uda mi się dowiedzieć jednego: co pani, która podsuwa do podpisania taki kontrakt ciężko pracującemu chłopakowi potem czuje. Jest z siebie dumna? Opowiada potem rodzinie przy niedzielnym obiedzie, że jest bardzo dobrym pracownikiem, bo wyruchała kogoś na kilka tysięcy rubli? A tamci klepią ją po plecach i mówią: „Boziu, córuś, jakaś ty zdolna, jacy my z tatą z ciebie dumni! Ale ty se dajesz radę w tej Moskwie!”. Potem idzie zapalić albo napić się kawy i mówi koleżankom: „Ale go zrobiłam! Nasza firma zarobi o parę tysięcy rubli więcej, to nawet nie będzie promil dochodu. Chłopak stracił z dobre 20% za każdy ten miesiąc. Patrzcie, tak się to robi! A wy kogo dzisiaj zerznięłyście i na ile?”.

Wzruszało wielkie zdziwienie, które panowało, gdy ludzie odchodzili. To po prostu szok, może próbuje ruchać ludzi jeszcze bardziej, więcej i brutalniej! Może dałoby się ich nieco bardzo upokorzyć? Nieco częściej im przypominać, że MUSZĄ coś zrobić? Jak tak zrobicie, to wtedy ludzie będą zostawać na lata.

26 grudnia 1991 roku rozwiązano Związek Radziecki, a raczej ZSRR padło. W roku 2017 jeszcze nie wszyscy w Rosji to zrozumieli i próbowali grać kartami z talii Chruszczowa i Breżniewa. Przegapili tylko, że wiele osób postanowiło odejść od stolika.